

WICEPREMIER PIOTR GLIŃSKI ODPOWIADA KRYTYKOM PROJEKTU POMNIKA BITWY WARSZAWSKIEJ 1920: PRZEKONACIE SIĘ

JANECKI O BUDCE: BORYS NIEMOCNY

MACIEJEWSKI O HOŁOWNI: CZY POSŁUCHA WEZWANIA BISKUPÓW, BY NIE WYKORZYSTYWAĆ KOŚCIOŁA W KAMPANII?



SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 12 (381) 2020
16–22 marca 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

KORONAWIRUS ATAKUJE

CZAS WIELKIEJ PRÓBY





DLA POLSKI

JAK RZĄDZĄCY ZDAJĄ EGZAMIN ZE SPRAWNOŚCI, OPOZYCJA Z POWAGI, A MY WSZYSCY Z ODPOWIEDZIALNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

TAURON

W serwisie obsługowym Mój TAURON masz wszystko!

Mój TAURON to:

- faktury, terminy i umowy w jednym miejscu
- płatności na raz – jednym przyciskiem
- dodatkowe bonusy

Bo ułatwiamy, by było szybciej i wygodniej.



mojtauron.pl

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Wiara w czasach zarazy

Kościół w czasie epidemii koronawirusa staje przed dylematem: jak z jednej strony wypełniać swoją powinność, zapewniając wiernym dostęp do sakramentów będących środkami prowadzącymi do zbawienia, a z drugiej – jak nie narażać ludzi na zarażenie chorobą, która może prowadzić do śmierci.

Chrześcijanie w Europie różnie radzą sobie z tym problemem. Synody Kościoła prawosławnego w Grecji i na Cyprze zapowiedziały, że nie zrezygnują z dotychczasowej praktyki udzielania komunii. W tamtejszych cerkwiach eucharystia przyjmowana jest pod dwiema postaciami – kwaszonego chleba rozpuszczonego w winie, który podaje się jedną łyżką z jednego kielicha wszystkim wiernym obecnym w świątyni. Greccy i cypryjscy hierarchowie oświadczyli, że nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. „Byłoby bluźnierstwem myślenie, że ciało i krew Chrystusa mogą przenieść jakąkolwiek chorobę lub wirus", stwierdził w swym oświadczeniu cypryjski Synod, dodając, że „chrześcijaństwo trwa już tysiąclecia i nigdy nie mieliśmy takiego przypadku".

Odmiennie postąpił Kościół katolicki we Włoszech, który postanowił do 3 kwietnia zawiesić odprawianie wszystkich mszy, chrztów i pogrzebów. Biskupi włoscy tłumaczyli się, że zostali do takiej decyzji zmuszeni przez rozporządzenie władz państwowych.

Różnica w podejściu chrześcijan do epidemii najbardziej widoczna jest na Słowacji, gdzie władze nakazały odwołanie wszelkich uroczystości religijnych. W odpowiedzi episkopat rzymskokatolicki zdecydował o zawieszeniu na dwa tygodnie wszystkich mszy w kraju. Zupełnie inaczej postąpił słowacki Kościół prawosławny, który zapowiedział, że będzie odprawiał publicznie eucharystię, komunia nadal będzie udzielana wszystkim z jednej łyżeczki, wierni mogą zaś bez problemów całować ikony. Słowaccy arcybiskupi prawosławni Rastislav i Juraj oświadczyli: „Eucharystia nie była, nie jest i nigdy nie będzie przyczyną chorób i śmierci, ale wręcz przeciwnie – jest źródłem nowego życia w Chrystusie, odpuszczenia grzechów i uzdrowienia duszy i ciała".

W tym kontekście decyzja Konferencji Episkopatu Polski jest szukaniem drogi pośredniej między dwoma skrajnymi stanowiskami. Biskupi nie zawiesili odprawiania mszy, podkreślając, że „Kościół od dwóch tysiącleci służy osobom chorym i potrzebującym, nawet w czasie epidemii, nie rezygnując ze sprawowania sakramentów świętych i głoszenia Ewangelii". Zarazem jednak udzielili dyspensy osobom w podeszłym wieku, z objawami infekcji, dzieciom i młodzieży szkolnej oraz dorosłym sprawującym nad nimi pieczę, a także tym, którzy odczuwają obawę przed zarażeniem. Opuszczenie niedzielnej mszy przez wspomniane grupy nie będzie uznawane za grzech. Nieobecni jednak powinni łączyć się duchowo i modlitewnie ze wspólnotą Kościoła.

Wśród zaleceń episkopatu na czas epidemii znalazło się przyjmowanie komunii na rękę, znak pokoju przez skinienie głowy zamiast podania dłoni, powstrzymanie się od całowania lub dotykania krzyża i relikwii, niekorzystanie z kropielnic z wodą święconą czy używanie folii ochronnych na kratkach konfesjonałów podczas spowiedzi. Już wcześniej odwołano rekolekcje, bierzmowania i grupowe pielgrzymki. Abp Stanisław Gądecki zaapelował też do księży, by odprawiali w ciągu dnia więcej mszy, za to mniej licznych, by ograniczyć ryzyko zarażenia.

W Polsce, inaczej niż we Włoszech, władze świeckie nie zakazały Kościołowi odprawiania mszy, lecz pozostawiły wolność wyboru. Wicepremier Jarosław Gowin powiedział, że „kościoły są czymś w rodzaju szpitali dla duszy", państwo szanuje zaś autonomię instytucji kościelnych. W tej sytuacji decyzja polskich biskupów wydaje się szukaniem złotego środka, z jednej strony łączącego wiarę z rozumem, a z drugiej dającego wiernym wolność wyboru.

Grzegorz Górny

Reklama | 20/0220/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0

SIECI spis treści



25 *Logika wojny*
Maja Narbutt



33 Europa pod presją
Marek Budzisz



52 Z Natalią Nitek-Płażyńską
rozmawia
Dorota Łosiewicz

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 ŚWIRUS KORONA
Krzysztof Feusette

9 DOMOWA EDUKACJA
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 WAŻĄ SIĘ LOSY POLSKI
Jan Pietrzak

13 O KORONAWIRUSIE NA POWAŻNIE
Bronisław Wildstein

14 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

15 CZEKANIE NA KONKURS
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 WALIZKA JACKA PAŁKIEWICZA
Michał Korsun

17 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

18 FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

KORONAWIRUS

20 POLITYKA W CIENIU WIRUSA
Marek Pyza, Marcin Wikło

25 LOGIKA WOJNY
Maja Narbutt

30 Z MARKIEM BALICKIM
rozmawia Marcin Fijołek

33 EUROPA POD PRESJĄ
Marek Budzisz

36 TOKIO W KORONIE
Andrzej Skwarczyński

37 RZYM BEZ MSZY
Grzegorz Górny

38 KULTURA W KWARANTANNIE
Łukasz Adamski

39 CZAS EPIDEMII
komentarze publicystów

KRAJ

41 Z PIOTREM GLIŃSKIM
rozmawia Jacek Karnowski

45 BORYS NIEMOCNY
Stanisław Janecki

48 HOŁOWNIA: KANDYDAT PODOBNO KATOLICKI
Jakub Augustyn Maciejewski

52 Z NATALIĄ NITEK-PŁAŻYŃSKĄ
rozmawia Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

55 MAŁA PETARDA
Jolanta Gajda-Zadworna

58 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

60 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

62 POLECA
Łukasz Adamski

OPINIE

64 T JAK TURBULENCJE KAMPANIJNE
Hanna Karp

ŚWIAT

66 ZMIENILI PŁEĆ I... ŻAŁUJĄ
Aleksandra Rybińska

70 LEKCEWAŻONA PRZESTROGA MERKEL
Jan Rokita

W SIECI HISTORII

73 WARTO PAMIĘTAĆ WIĘCEJ
Jan Żaryn

74 SZCZERBIEC
Marek Madej

76 ALEKSANDER PARVUS – MARSZAND REWOLUCJI
Mariusz Krzysztofiński

78 ŻYCIE I ŚMIERĆ LEKARZA
Katarzyna J. Kowalska

GOSPODARKA

82 Z FRÉDÉRIKIEM FAROCHE'EM
rozmawia Maksymilian Wysocki

PODRÓŻE

86 MOJE SZLAKI: JACEK LENARTOWICZ
Jolanta Gajda-Zadworna

87 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 WYSŁUCHAJ NAS, PANIE!
Wojciech Reszczyński

90 WIRUS
Alina Czerniakowska

91 ZARAZA
Witold Gadowski

92 KOCHAJMY KSIĄŻKI
Aleksander Nalaskowski

93 NA POZÓR NIEPOTRZEBNA MATEMATYKA
Lech Makowiecki

94 FELIETONY
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

95 Z PÓŁOBROTU
Wiktor Świetlik

96 TYLKO ZGODA
Ryszard Makowski

97 DZWONIĄ, DZWONIĄ PTAKI...
Leszek Długosz

98 ANTYROZUM W CZASIE EPIDEMII
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 23/0320/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Sprawdzaj wiarygodne źródła:

www.gov.pl/koronawirus
Bezpłatna infolinia 24/7:
800 190 590

KPRM

Koronawirus: Jak się ochronić przed zakażeniem?

- Często i dokładnie myj ręce
- Zakrywaj chusteczką usta i nos podczas kichania oraz kaszlu
- Zrezygnuj z podawania dłoni
- Czyść swój telefon wilgotnymi chusteczkami
- Zadbaj o dietę i nawodnienie organizmu
- Zachowaj bezpieczną odległość (1-1,5 metra) od rozmówców

Najnowsze informacje

Zawieszenie zajęć edukacyjnych

Czego dotyczy?

Do 25 marca br. zostają zawieszone na terenie całej Polski, zajęcia w żłobkach, przedszkolach, szkołach podstawowych, ponadpodstawowych oraz na uczelniach. Dotyczy to zarówno placówek publicznych, jak i niepublicznych. Terminy egzaminów, matur i rekrutacji nie ulegają zmianie.

Dlaczego?

W obecnej sytuacji, działania prewencyjne są najlepszym lekarstwem minimalizującym rozpowszechnianie się koronawirusa. Stąd decyzja, żeby chronić nasze dzieci przed dużymi skupiskami ludzi. Zdaniem Światowej Organizacji Zdrowia oraz ekspertów od chorób zakaźnych, unikanie zbiorowisk oraz pobyt w domu, są na dzisiejszym etapie rozwoju koronawirusa powszechnie rekomendowanym krokiem. Decyzja ta przecina również stan niepewności po stronie rodziców, samorządów i dyrekcji placówek edukacyjnych.

Rodzice

Zgodnie z przepisami tzw. specustawy o koronawirusie, rodzicom dzieci w wieku do 8 lat przysługuje dodatkowy zasiłek opiekuńczy (14 dni). Co ważne, nie jest on wliczany do ogólnego limitu 60 dni, które przysługują na opiekę nad chorym dzieckiem do lat 14. Rodzice pracujący na etacie stosowny wniosek składają do pracodawcy. Rodzice-przedsiębiorcy – bezpośrednio do ZUS. Wzory oświadczeń dostępne są na stronie: www.zus.pl. Koszty wypłaty tych świadczeń bierze na siebie państwo. Wspomniana specustawa zakłada również możliwość zlecenia okresowej pracy zdalnej pracownikowi. Decyzja w tej sprawie leży w gestii pracodawcy.

Więcej informacji uzyskasz na infolinii ZUS: 22 560 16 00

Nauczyciele

Podczas czasowego zawieszenia zajęć edukacyjnych, nauczyciele otrzymują wynagrodzenie ustalone na podstawie Kodeksu Pracy. Nauczyciele pozostają do dyspozycji dyrekcji placówki.



Sygnalista nadaje

Wydarzenia ostatnich dni potwierdziły tezę, według której nakręcając histerię w sprawie koronawirusa, opozycja popełniła największy błąd tej kampanii. W chwilach zagrożenia społeczeństwa niemal zawsze skupiają się wokół rządzących i jeśli władza nie popełni spektakularnych błędów, to zawsze zyskuje. Bo to władza ma w ręku wszystkie istotne karty. Opozycja tę prawdę zlekceważyła, bo choć lata mijają, to wciąż tak naprawdę nie myśli politycznie. To niewola własnych emocji i własnej propagandy. Wyjątkowo ciężka niewola.

O stanie opozycji wiele mówi to, że z dużą życzliwością flirtuje z myślą o przełożeniu wyborów. Według normalnej ogiki powinna przecież z wszystkich sił krzyczeć o „pisowskim spisku" i „próbie zamachu stanu". Być może te parę tygodni zostanie wykorzystane do jakiejś większej rekonfiguracji, bo przecież gołym okiem widać, że kampania Małgorzaty Kidawy-Błońskiej wpadła w turbulencje, być może już śmiertelne.

W związku z epidemią Kidawa-Błońska wygłosiła „orędzie" do narodu. „Świat, także nasz świat, został zaatakowany przez wirusa. Groźną chorobę, która zaczyna odciskać swoje piętno na naszym codziennym życiu" – mówiła kandydatka, a ten niepowtarzalny styl towarzyszył przesłaniu aż do końca, czyli do zapowiedzi zawieszenia kampanii. Na końcu padła obietnica: „Mamy jednak przygotowane inne sposoby i formy docierania w najdalsze zakątki Polski. Wypatrujcie nas! Na pewno się zobaczymy". Gimnazja zlikwidowano, ale gimbaza przetrwała.

Podczas posiedzenia Parlamentarnego Zespołu ds. Obrony Praw Kierowców doszło do niecodziennej wpadki. Poseł Konfederacji Dobromir Sośnierz chciał zaprezentować zebranym jakiś materiał ze swojego komputera. Po podłączeniu laptopa do rzutnika i paru chaotycznych naciśnięciach klawiatury członkowie komisji mogli zobaczyć… nagą kobietę. Komputer błyskawicznie odłączono od rzutnika, ale mleko się rozlało. Konfederacja to jednak styl nie do podrobienia.

Nie wiadomo, kto napisał to groteskowe „orędzie", ale to w sumie nie tak ważne, bo największe wrażenie zrobiły nie słowa, ale styl prezentacji. Ostentacyjna wręcz sztuczność, przesadnie ekspresyjna interpretacja, nieczytelnie wypowiadane końcówki słów. Do tego wyczuwalna irytacja kandydatki. Te parę minut „orędzia" to także opowieść o kulisach: o nerwach, licznych dublach, zmęczeniu, zwątpieniu i w końcu machnięciu ręką: niech idzie, jak jest, lepiej nie będzie. W sumie smutna historia.

Nieudaną kampanię Kidawy widać już w badaniach jakościowych, tzw. fokusach. O ile jeszcze parę tygodni temu badani widzieli w niej miłą, sympatyczną, dobrze wykształconą panią, a wielu kojarzyła się z Sophią Loren, o tyle dziś uważają, że – to cytat – „jest gorsza niż Komorowski", w sumie coś w rodzaju „Ewy Kidawy-Komorowskiej". W PiS niektórzy żartują, że może trzeba zacząć wspierać kandydatkę KO, bo za chwilę albo ją zdejmą, albo wygaszą, i postawią na Kosiniaka-Kamysza, który co prawda w sondażach wypada kiepsko, ale zachowuje się tak pewnie, jakby wiedział, że lada chwila może wydarzyć się coś, co wiele zmieni.

Żona kandydata PSL na prezydenta Paulina Kosiniak-Kamysz została zapytana, dlaczego podczas konwencji w Rzeszowie wezwała swojego męża słowami: „Chodź, tygrysie, scena jest twoja!". „Zdaję sobie sprawę, jak to zabrzmiało, ale to miał być taki przyjacielski gest wsparcia. Najbliżsi przyjaciele Władka od lat

eprasa.pl 0d79d6c8e0

tak do niego mówią". Zapewniła także, że jej mąż nie jest ani „tęczowym Władkiem", ani „popychadłem Tuska". Możliwe, ale pytanie, kto tresował „tygrysa" w rządzie PO-PSL, pozostało bez odpowiedzi.

Szymon Hołownia nadal zachowuje się tak, jakby jednak kandydował na prymasa. „Biskupi, oczekuję jasno sformułowanego komunikatu: komunia powinna być wydawana tylko na rękę. Nie fakultatywnie, ale obowiązkowo. Jeżeli choć jedna osoba zarażona przyjmie komunię do ust, istnieje ryzyko przekazania wirusa dalej drogą kropelkową". Dziwny katolik z tego Hołowni. Coś za dużo w nim strachu, by wierzyć, że tak wiele wiary, jak to on sam twierdzi.

Czy Andrzej Duda może wygrać w pierwszej turze? Tak. Skoro analityk à rebours ***Bronisław Komorowski*** twierdzi, iż „słabo idzie panu prezydentowi", bo „utracił walor świeżości i nowości" oraz „popełnia istotne błędy", to znaczy, że naprawdę jest szansa. Co zresztą potwierdzają ci, którzy siedzą w sondażach i fokusach. Może być naprawdę dobrze.

A „trzecia osoba w państwie" – marszałek Senatu Tomasz Grodzki – poleciała sobie na wakacje do Włoch. Gdy wróciła, jak gdyby nigdy nic przyszła do parlamentu i prowadziła obrady. Poszła także na izbę przyjęć, by zrobić test i przekonać się, że jest zdrowa. Nawet nie pomyślała, że w takiej sytuacji potrzebna jest kwarantanna i że nie należy chodzić do przychodni. Dziś nie ma sobie niczego do zarzucenia. Dlaczego? Bo „jeśli wszyscy pójdą na kwarantannę, to gospodarka stanie". W tym człowieku naprawdę jest moc.

Grodzki tak wyjaśnia, dlaczego pojechał do Włoch, mimo że wcześniej sam alarmował w sprawie zagrożenia: „Jako człowiek roztropny sprawdziłem w służbach sanitarnych, że w promieniu 30 km od miejsca, w którym byłem, nie było ani jednego przypadku koronawirusa, a gdy wyjeżdżałem, w promieniu tych 30 km był jeden przypadek". Na uwagę, że w samolocie mogły się znajdować osoby zarażone w innych regionach, odpowiedział dziwną uwagą, że przecież... wracał przez Monachium. Ten człowiek zaczyna być naprawdę groźny.

I wciąż chce więcej władzy. „Pod pozorem walki z koronawirusem marszałek Grodzki próbuje zmienić regulamin Senatu w taki sposób, by móc stworzyć alternatywny ośrodek władzy dla







rządu i Sejmu. Nie ma na to naszej zgody" – alarmuje wicemarszałek Senatu Stanisław Karczewski. Chodzi o zmiany w regulaminie, które senackim ustawom nadawałyby pilny tryb legislacyjny zarezerwowany dla projektów rządowych. Teraz staje się jasne, dlaczego Grodzki nosi nieoficjalny przydomek „Napoleonek".

Jacek Kurski stracił stanowisko prezesa Telewizji Polskiej, ale zachował wpływ na nią jako doradca nowego prezesa Macieja Łopińskiego. Nie można też wykluczyć, że Kurski odzyska prezesurę po wyborach prezydenckich. Stanowisko w zarządzie TVP straciła za to, przynajmniej chwilowo, Marzena Paczuska, która zdaniem Kurskiego źle naświetlała jego pracę w Pałacu Prezydenckim. Gabinet po Paczuskiej przejął Kurski. W sumie bardzo dobry serial.

Próba rozhuśtania TVP w tak ważnym momencie i politycznym, i epidemiologicznym przypomniała wszystkim, że prawica potrafi się wywrócić o własne nogi. Tym bardziej że kierowane pod adresem nadawcy zarzuty niewłaściwego prezentowania prezydenta są albo absurdalne, albo są w istocie nadreakcją na jakieś mało istotne zdarzenia. Ludzie, którzy snują taką kuriozalną opowieść, nie są ludźmi dobrej woli. Nie warto słuchać tych bajek i fantazji. Na pewno nie w końcowym etapie kampanii wyborczej.

Z odwołania Kurskiego – jak się wielu wydawało, będącego jego ostatecznym upadkiem – ucieszył się ***Paweł Kukiz***. „Już widać, że [prezydent] podpisze. Pytanie, czy bandyta dalej będzie prowadził »misję TVP«; „Podobno już zdecydowane. Jeśli to prawda – dzięki Ci, Panie Boże... Dobranoc Państwu:-)"; „Nasz przedstawiciel [w Radzie Mediów Narodowych] zagłosował za odwołaniem bandytki w TVP. Dzięki, Grzegorz!". Radość Kukiza długo nie trwała. Kurski przeżył trudne chwile, ale przeżył własny pogrzeb – a to zawsze okazja, by zobaczyć, kto cię lubi, a kto udaje.

Jolanta Turczynowicz-Kieryłło zaprzeczyła, by wraz z mężem była autorką „Ballady milanowskiej", w której znalazło się wezwanie, by „do pieca wsadzić kaczora", by „naród się obudził, a Kaczor przestał ogłupiać ludzi". „Nie jesteśmy z mężem autorami milanowskiej ballady. Jedyny nasz wspólny utwór to piosenka »Drogą do światła«" – twierdzi Turczynowicz, i publikuje fragment owego utworu: „Rozpalone Twe emocje/Nienawiści ogień zgaś/To nie nasza wojna jest/To przyjaciel siostra brat". Ładne. To mógłby być hymn Porozumienia Jarosława Gowina.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Świrus korona



KRZYSZTOF FEUSETTE

Budka: Kochani, dziękuję, że znaleźliście czas na nasze spotkanie w trybie nienormatywnym w celu ustalenia kolejnych działań. Witam liderów Platformy Obywatelskiej oraz naszych niezależnych ekspertów, witam panie Lechu, witam panie Romanie...

Giertych: Władza nic nie robi. Nie ma żadnych testów, brakuje maseczek...

Budka: Chwileczkę, zaraz do tego przejdziemy. Może najpierw kilka słów ode mnie [wyjmuje kartkę z kieszeni i czyta]. „Wiemy, po co się zebraliśmy. Ta władza się kończy. Już za chwilę będziemy zmuszeni przejąć stery spraw tego kraju i pożeglować z powrotem na szerokie wody. Niestety, PiS zostawia nam państwo w stanie wojny. Wojny z koronawirusem, który pozostanie symbolem"...

Kidawa: A psik! Przepraszam. A psik! Czy moglibyście... a psik... zasłonić usta, bo mnie już... a psik... łokieć boli? No, nie wytrzymam...

Arłukowicz: Może to alergia?

Kidawa: Oczywiście, że alergia. Ja nie jestem tak tępa, jak kolega Grodzki, żeby podróżować szlakiem epidemii...

Grodzki: Chwileczkę, ja jestem zdrowy. Mam tutaj nawet wyniki badań (sięga do kieszeni i wyjmuje dużą szarą kopertę). Proszę bardzo... Narodowy Bank Polski... A nie, przepraszam, chyba zostawiłem w gabinecie. Dobrze, przyznaję, byłem na terenach zagrożonych. Ale czy my zawsze i we wszystkim musimy być ostatni? Wszędzie już koronawirus był, wszędzie. Niestety, najbliższe ognisko choroby było za daleko, a czy w supermarkecie...

Kidawa: Pan zwariował, prawda? Panu ta trzecia osoba w państwie zupełnie padła na mózg? Gdzie pan ma maseczkę? Dlaczego pan się z nami witał? Co pan tu w ogóle robi, do ciężkiej cholery?!

Budka: Spokojnie. Pan marszałek ma wielkie zasługi na polu tłumaczenia, jak myć ręce...

Kidawa: Przecież kciukiem wciskał!

Grodzki: Nie wciskałem!

Kidawa: Wciskałeś!

Grodzki: Byłaś tam?

Kidawa: Kamery były!

Grodzki: To wciskałem.

Budka: A jak było na lotnisku z tą ankietą?

Grodzki: Normalnie! Mówię temu w kombinezonie: „Pisz: trzecia osoba w państwie", a on, że tak nie można. Rozumiecie? On, 60. osoba na lotnisku, będzie pouczał marszałka Grodzkiego?! Dlatego chciałem wygłosić orędzie... tylko muszę odchrząknąć...

Kidawa: Nawet nie próbuj! Borys, ja cię uprzedzam... A psik! Albo on... a psik... albo ja!

Wałęsa: Albo ja. Panie, kończ pan te monologi, bo czas ucieka, a zanim się pan wysłowisz, to nas ten kurnawirus zeżre w całości. Poza panem Kioskiem.

Budka: Budką, nie kioskiem! Ile razy pan się jeszcze pomyli?! Czy ja też mam na pana mówić „Lolek" zamiast...

Wałęsa: Zamiast – czego?

Budka: Nieważne, przejęzyczyłem się.

Wałęsa: Panie, nie przejęzyczaj się pan tak, bo bendem musiał panu kwartarannę zrobić.

Budka: Oczywiście. A czemu mnie choroba nie dotknie?

Wałęsa: Głuchyś pan czy co? Przecież mówią, że to idzie od włochów, a pan ich praktycznie nie masz! Ale ja muszem te zarazę pokonać. Osobiście zawezwałem do stolycy dwa miliony ludzi, które bendom gotowe na taczkach wywieźć, kogo trzeba, a tutaj czytam, że to by już była impreza zmasakrowana, znaczy się zamaskowana. Albo zmasowana. I jako taka siem nie odbędzie. No, ludzie złoci, tak my tej dyktatury nie obalymy za chińskiego pacjenta!

Kidawa: Ja już sama nie wiem. Mnie ciągle ktoś się czepia. A to ratownik medyczny, a to jakaś matka wielodzietna...

Nitras: Ludzie, mam! Posłuchajcie mnie!

Wałęsa: Panie, na czym pan jedziesz na dzień dzisiejszy?

Nitras: To jest genialny plan!

Wałęsa: Panie, do geniusza to panu jeszcze kilku Nobelów brakuje. Streszczaj się pan, zanim pani Kichawa, znaczy się, Kidawa, nie zacznie znowu kichać...

Budka: Śmiało, Sławku, słuchamy. Jak chcesz pokonać koronawirusa?

Nitras: W d... mam wirusa. Najpierw trzeba PiS odsunąć. Musimy wszędzie podkreślać, że pierwszy pacjent w Polsce to jest człowiek, który był kiedyś w PiS! Przecież „Wyborcza" nam to na tacy podała!

Kidawa: Pan ma katar!

Nitras: Niemożliwe. Ja jestem zdrów jak ryba, ja się świetnie czuję, ja mogę pani nawet pokazać jaskółkę...

Kidawa: Niech pan sobie daruje.

Nitras: Ale „jaskółka" to jest...

Budka: Wystarczy, Sławek. Złamiesz coś sobie.

Grodzki: Spokojnie, jestem lekarzem.

Budka: A pan co tu jeszcze robi? Dlaczego pan jeszcze nie wyszedł?!

Grodzki: Wyszedłem. Ale wróciłem. Żeby powiedzieć, że lecę.

Kidawa: Gdzie tym razem? Do Korei?

Grodzki: Nie, do Chin. Biedroń zadzwonił, że ma dwa bilety, a sam nie wykorzysta, bo już go media namierzyły...

Wałęsa: Panie, było se na wszelki wypadek kupić w jedne strone, to byś pan bardziej zaoszczędził. Jak pan chcesz koniecznie coś złapać, to złap się pan za głowę albo wpadnij do mnie na ryby. Ale zdrowy, a nie taki świrus korona.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Domowa edukacja

Szybko po decyzji rządu się okazało, że reakcja na zamknięcie placówek edukacyjnych pokrywa się z preferencjami politycznymi Polaków

Polski rząd ogłosił zamknięcie wszystkich szkół, przedszkoli i żłobków na dwa tygodnie. Podkreślam, że polski, bo akurat tej decyzji niektórzy nam zazdroszczą. Na przykład niemiecki polityk AfD Götz Frömming wezwał do podobnych reakcji swój kraj. „Polska zamyka wszystkie placówki edukacyjne (przedszkola i szkoły) do 25 marca. Nasz rząd federalny w ogóle o tym nie myśli. Nieodpowiedzialne!" – napisał na Twitterze. Jego zdaniem w Niemczech należy zastosować identyczne procedury. Tymczasem kanclerz Angela Merkel zapowiedziała, że koronawirusem zakazi się 60–70 proc. populacji. Strategia otwartych ramion najwyraźniej wciąż aktualna, tylko tym razem dotyczy zarazy.

Wróćmy jednak na polskie poletko. Chwilę po decyzji rządu młodzież w szkołach ogłosiła „koronaferie" i „koronatime". Na szczęście entuzjazm większości dzieciaków opadł, gdy dowiedziały się, że zamknięte zostaną także instytucje kultury, więc ze szwendania się po kinach nici. I w tym miejscu trzeba za politykami podkreślić, że najlepiej, by dzieci i młodzież nigdzie się nie szwendały, tylko siedziały w domu, to może wówczas uda nam się uniknąć włoskiego scenariusza.

Szybko po decyzji rządu okazało się także, że reakcja na zamknięcie placówek edukacyjnych i kultury pokrywa się z preferencjami politycznymi, czyli nieco łatwiej zaakceptować ją zwolennikom rządu, a jego przeciwnicy na złość mamie i całej reszcie społeczeństwa odmrożą sobie uszy i chętnie się przyłożą do roznoszenia zarazy. „Zamykanie szkoły po szkole, wyganianie dzieciaków z przedszkoli, wygaszanie imprez, blokady kin, muzeów, teatrów to czyste szaleństwo. Od polityków i mediów oczekiwałbym opanowania, dojrzałości, braku manipulacji i sensacji. Wiem, za dużo" – napisał na Twitterze dziennikarz Onet.pl Jarosław Kuźniar. „Moja reakcja na zamknięcie Polski jest natychmiastowa. Wylatuję, nim odbiorą nam paszporty. Wolę odbywać kwarantannę na Kanarach lub Seszelach niż w Nędzy czy Katowicach" – ogłosił były eurodeputowany Marek Migalski.



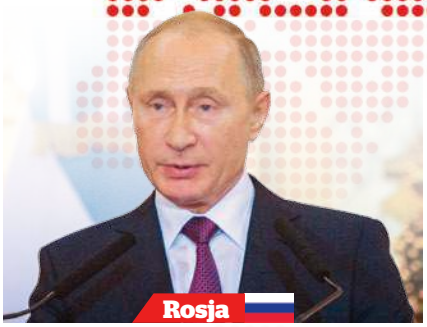
A moim zdaniem bagatelizowanie zagrożenia i nieprzestrzeganie wytycznych służb sanitarnych to czysta głupota. Rozumiem też niestety, że oczekiwanie od niektórych rozsądku to za dużo. W tej sytuacji faktycznie lepiej, żeby niektórzy siedzieli na Seszelach. Choćby i do końca życia.

Ku swojemu zaskoczeniu odkryłam także, że w społecznościówkach podniósł się lament, że zamykanie szkół jest skrajnie nieodpowiedzialne, bo „co ci biedni rodzice, którzy muszą iść do pracy, mają zrobić ze swoimi dzieciakami". I tak się jakoś dziwnie złożyło, że gdy w zeszłym roku ogłoszono strajk nauczycieli, to te same środowiska, które dziś o rodziców się martwią, wówczas w ogóle się nimi nie przejmowały, a nauczycielom kazały protestować do upadłego. Hipokryzja? Niemożliwe!

Wreszcie zauważyłam cień paniki wśród samych rodziców, spowodowany nie tyle samym koronawirusem, ile koniecznością spędzenia z własnymi dziećmi aż dwóch tygodni w zamknięciu. Niektórym zamarzyła się może nawet kwarantanna w firmie, byle nie trzeba było jej spędzać w domu. W końcu, jak taka pociecha jest w placówce edukacyjnej, to o nic martwić się nie trzeba, bo i tam zje i, jak dobrze pójdzie, to lekcje odrobi. A teraz wszystko na głowie biednego, zupełnie do tego nieprzygotowanego rodzica. Z odsieczą tym spanikowanym przyszedł prezydent Wrocławia Jacek Sutryk, który poradził: „To nie jest czas ferii. Dajmy im gry komputerowe, dajmy im dostęp do Netlixa, albo książkę w ostateczności". Dlaczego to ostatnie ma nastąpić w ostateczności? Skąd niechęć prezydenta Wrocławia do słowa pisanego i przekonanie, że czytanie to rozrywka gorszego sortu? Tego nie wiem, ale wiem, że można ten czas przymusowej, domowej edukacji całkiem dobrze wykorzystać. Np. na wspólne pieczenie ciast (przecież trzeba jakoś wykorzystać te zapasy mąki i cukru). Można wspólnie pograć w planszówki, poprzybijać gwoździe i trochę się pouczyć.

Kto wie, może niektórzy rodzice odkryją, jak fajnymi, pełnymi pasji i marzeń ludźmi są ich dzieci. A to przecież bezcenne. Czas przymusowej domowej edukacji może się okazać bardzo piękny i niezwykle kształcący. Dla wszystkich.

Dorota Łosiewicz



Fot. Shutterstock/ Patricio_Murphy

Putin od nowa

Walentyna Tierieszkowa – pierwsza kobieta, która w 1963 r. poleciała w kosmos, a dziś deputowana partii Jedna Rosja – wystąpiła w ostatni wtorek z propozycją „wyzerowania" kadencji prezydenckich Władimira Putina. Wyzerowanie miałoby polegać na tym, że kadencje byłyby liczone od nowa. Pozwoliłoby to obecnemu prezydentowi, który w 2024 r. powinien ostatecznie opuścić Kreml, wystartować w następnych wyborach i utrzymać się u władzy przez dalsze 12 lat.

Oczywiście 83-letnia dziś Tierieszkowa nie jest autorką pomysłu przedłużenia kadencji Putina. Sędziwa kosmonautka wzięła jedynie udział w propagandowym spektaklu, którego kulminacją było przemówienie prezydenta. Chwilę po wystąpieniu Tierieszkowej Putin „niespodziewanie" pojawił się w Dumie Państwowej i przemówił do deputowanych, oznajmiając im, że nie ma nic przeciwko wyzerowaniu kadencji, o ile zgodzi się na to Sąd Konstytucyjny i obywatele w referendum.

Pretekstem do wyzerowania jest reforma konstytucyjna. Zakłada ona przede wszystkim wzmocnienie pozycji ustrojowej Dumy Państwowej, która miałaby przejąć od prezydenta prawo wyznaczania premiera i ministrów. Reforma wprowadza też priorytet prawa krajowego nad zagranicznymi konwencjami, uzupełnia preambułę rosyjskiej konstytucji o odwołanie do Boga oraz ustanawia język rosyjski „językiem państwowotwórczym". Teraz doszedł do tego najważniejszy punkt – o liczeniu kadencji prezydenckich od nowa.

W poprzednią środę plan reformy konstytucyjnej, wraz z propozycją wyzerowania kadencji, został przyjęty przez rosyjski parlament. Nikt z deputowanych Dumy Państwowej nie głosował przeciwko, a w Radzie Federacji (izbie wyższej parlamentu) reformie sprzeciwił się zaledwie jeden senator z Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej.

Zgodnie z planem reforma wejdzie w życie, jeśli zaakceptują ją obywatele w zaplanowanym na 22 kwietnia referendum. Przy czym nie będą oni mogli głosować na poszczególne punkty reformy, lecz będą musieli przyjąć ją lub odrzucić w całości. Aby ułatwić im właściwą decyzję, do propozycji reform dorzucono jeszcze pakiet gwarancji socjalnych. W przypadku gdyby to nie pomogło, niewykluczone są różne cuda nad urną.

Jeśli reforma wejdzie w życie i będący u władzy od ponad 20 lat Putin zdecyduje się wystartować w kolejnych wyborach, to jego rządy w Rosji mogą potrwać nawet do 2036 r. W ten sposób obecny prezydent ustępowałby pod względem długości panowania jedynie Piotrowi Wielkiemu.

Konrad Kołodziejski



USA

Demokraci na finiszu

Zostało ich tylko dwóch. O nominację Partii Demokratycznej walczyć będą 77-letni Joe Biden oraz 78-letni Bernie Sanders. To coś więcej niż walka między dwoma starszymi panami. To walka o dwie wizje rozwoju Partii Demokratycznej. Umiarkowaną i liberalną albo rewolucyjną.

Największą porażkę w ostatnich tygodniach poniósł miliarder i były burmistrz Nowego Jorku Michael Bloomberg. Bloomberg miał być wybawcą demokratów przerażonych pochodem radykalnego Sandersa oraz ospałością Bidena. Wycofał się z wyścigu po fatalnym wyniku uzyskanym w czasie tzw. superwtorku, gdy naraz głosuje kilkanaście stanów. To samo zrobiła uważana swego czasu za faworytkę senator Elizabeth Warren. Wcześniej odpadł ulubieniec Hollywood burmistrz Pete Buttigieg, który jako weteran z Afganistanu, zdeklarowany chrześcijanin i otwarty gej żyjący w jednopłciowym związku miał pogodzić umiarkowanych demokratów, dla których ważna jest tradycja, z progresywistami obyczajowymi.

Wygląda na to, że przygasa również lewicowa rewolucja senatora z Vermont Berniego Sandersa. Przegrał oba superwtorki. Szczególnie mocno musi zastanawiać porażka Berniego w Michigan, gdzie w 2016 r. triumfował nad Hillary Clinton. Sanders wciąż jest kochany na kampusach uniwersyteckich i wśród celebrytów, ale większość demokratów drażnią jego wypowiedzi oraz ekonomiczny radykalizm.

Sanders do tej pory mocno grał antyestablishmentowym przekazem. W każdym wystąpieniu, z mniejszym lub większym natężeniem, przypominał, że Joe Biden jest typowym przedstawicielem waszyngtońskich elit. To jednak powoduje, że te elity są coraz bardziej niechętne Sandersowi. Ikona waszyngtońskiego establishmentu i zarazem dawna rywalka Sandersa z prawyborów w 2016 r. Hillary Clinton stwierdziła kilka dni temu, że „Bernie Sanders nie byłby naszym najmocniejszym kandydatem przeciwko Trumpowi".

Bloomberg, Buttigieg i senator Amy Klobuchar po wycofaniu się z wyścigu przekazali swoje poparcie Bidenowi. Czy to oznacza koniec Berniego? Nie. Biden ma poparcie 780 delegatów, a Sanders 630. Do zdobycia nominacji potrzebnych jest ponad tysiąc. Co na to Donald Trump? Powinien spać spokojnie. Joe Biden ma fatalne wpadki (ostatnio pomylił swoją siostrę z żoną), a Sanders zostanie odrzucony za ekonomiczny radykalizm.

Łukasz Adamski

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Włochy

Chory człowiek Europy

Epidemia koronawirusa obnażyła słabość państwa włoskiego. Dla wielu stała się wręcz symbolem stanu, w którym znalazła się dziś Italia. Część publicystów i ekonomistów coraz częściej zaczyna wiązać to z faktem wejścia do strefy euro, które wprowadziło tamtejszą gospodarkę w fazę stagnacji. Eksperci przypominają, że jeszcze na początku lat 90. Włochy były jedną z największych potęg przemysłowych świata i rozwijały się dynamiczniej niż Niemcy. Między rokiem 1991 a 1999 tamtejsza produkcja przemysłowa wzrosła o 13 proc., podczas gdy niemiecka o 3 proc. Później przyszło euro i od 2000 do 2018 r. ten sam wskaźnik wzrósł u Niemców o 27 proc., natomiast u Włochów spadł aż o 17 proc.

Potwierdza to zeszłoroczny raport niemieckiego Centrum Polityki Europejskiej. Wynika z niego, że największymi przegranymi w strefie euro okazały się Włochy. Gdyby nie przyjęły wspólnej waluty i pozostały przy lirze, to w latach 1999–2017 ich dochód narodowy wzrósłby o dodatkowe 1,3 bln (!) euro. Oznacza to, że przeciętny obywatel tego kraju zarobiłby w tym okresie więcej o 73,6 tys. euro. Na drugim miejscu na liście poszkodowanych znaleźli się Francuzi – wśród nich strata na głowę mieszkańca wyniosła równowartość 56 tys. euro. Z kolei największym wygranym okazał się Berlin. Dzięki wspólnej walucie przeciętny Niemiec zarobił 23 tys. euro więcej, niż gdyby pozostał przy marce.

Odejście od lira odebrało Włochom możliwość prowadzenia własnej polityki monetarnej. Kraj wepchnięty został w pułapkę średniego rozwoju. Niemożność konkurowania z niemieckim przemysłem spowodowała deindustrializację. Gospodarka, tak silnie uzależniona od branży turystycznej i gastronomicznej, mocniej odczuła skutki pandemii. Nieprzygotowana okazała się też służba zdrowia, w której po wprowadzeniu wspólnej waluty dokonano cięć finansowych w wysokości aż 130 mld euro. Ekonomiczne konsekwencje koronawirusa zmuszą więc zapewne Włochów do przemyślenia na nowo własnego modelu gospodarczego.



Fot. Shutterstock

Grzegorz Górny

Rosja

Naftowa wojna

Kres porozumienia między państwami OPEC a Rosją wywołał największą od 1991 r. jednorazową, 30-procentową przecenę baryłki ropy naftowej na światowych giełdach. Arabia Saudyjska już następnego dnia po fiasku wiedeńskich negocjacji poinformowała o wzroście wydobycia oraz zapowiedziała znaczące upusty cenowe dla klientów. Podobnie postąpili inni liczący się producenci ropy naftowej.

O niepowodzeniu rozmów zdecydowało stanowisko Moskwy, które skrystalizowało się w wyniku spotkania prezydenta Putina z szefem koncernu Rosnieft Igorem Sieczinem. Rosja odstąpiła od polityki ograniczania wydobycia, której celem było stabilizowanie wyższego poziomu cen. Powodów takiej decyzji jest kilka. Po pierwsze, Moskwa uznała, że jest wypierana z istotnych dla niej rynków, takich jak chiński, na który w ubiegłym roku w istotny sposób dostawy zwiększyła Arabia Saudyjska. Po drugie, rosyjskie koncerny były bardzo niezadowolone z tłumienia wydobycia, bo to pozbawiało je istotnej części dochodu, zwłaszcza w sytuacji, kiedy wszystkie środki ze sprzedaży ropy przy cenie przekraczającej 43,5 dol. za baryłkę zabierał budżet. Po trzecie, ograniczanie wydobycia, zwłaszcza w obliczu ogólnego spowolnienia związanego z sytuacją w Chinach, oznaczałoby spadek, a przynajmniej stagnację rosyjskiego PKB, a to w roku, w którym w Rosji zapadają ważne decyzje polityczne, byłoby z punktu widzenia Kremla polityką – delikatnie rzecz ujmując – nierozsądną. I wreszcie czynnik ostatni, który można określić mianem geopolitycznego. Otóż w rosyjskich kręgach eksperckich i rządowych panuje pogląd, że amerykański sektor wydobycia ropy łupkowej „ledwie dyszy" i nie będzie w stanie przetrzymać wojny cenowej. Długi tych firm osiągnęły już poziom 90 mld dol. i niedługo zaczną one, jedna po drugiej, bankrutować. Perspektywicznie da to miejsce na rynku dla ropy z innych krajów, w tym z Rosji. Ponadto amerykański sektor wydobywczy skoncentrowany jest w Teksasie i Dakocie Płd., a więc w stanach kluczowych dla ewentualnego sukcesu wyborczego Donalda Trumpa. Spowolnienie gospodarki w efekcie wpływu pandemii koronawirusa, na które może się dodatkowo nałożyć kryzys branży naftowej i przecena na giełdach, może utrudnić życie amerykańskiemu prezydentowi, a nawet zapoczątkować kryzys.

W Moskwie są zdania, że z rezerwami przekraczającymi 700 mld dol. ich kraj jest bezpieczny i warto wykorzystać pojawiającą się okazję. Niedługo się okaże, czy te rachunki nie były czynione na wyrost.

Marek Budzisz



Fot. Shutterstock

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ważą się losy Polski



Jan Pietrzak

Na peronie w Końskich ważą się losy Polski... te słowa mogą być refrenem piosenki. Prezydent podpisywał na peronie ustawę dotyczącą spraw kolejowych. Wyglądało to oryginalnie: pusty peron, na nim stolik i smutne tory po horyzont... Nastrój z czeskiego filmu „Pociągi pod specjalnym nadzorem". Tylko starzy maszyniści, do których się zaliczam, pamiętają ten świetny film według Hrabala.

Nie są mądre drwiny pań Kidawy i Jachiry, bo nuda małych stacyjek bywa pozorna. Drzemie tam realne życie i ważą się losy Polski. Daleko od metropolii, głównych dróg żelaznych i asfaltowych, również od szlaków wodnych... Zatrzymajmy się przy wodach gruntowych, które ostatnio obniżają poziom. Powoduje to stepowienie gruntów. Pamiętacie sonet Mickiewicza „Stepy akermańskie" „wpłynąłem na suchego przestwór oceanu". Sonet piękny, lecz perspektywa przemiany Wielkopolski i Kujaw w suchy step – zatrważająca. Występuje tu paradoks. Histeryczni klimatolodzy prognozują topnienie lodowców i zalane połacie lądów, a w naszych rzekach wody coraz mniej. Legendarne jezioro Gopło zamienia się w małą sadzawkę. Ktoś do tego doprowadził, i to nie był klimat. To były decyzje polityczne o bezlitosnej melioracji i kopaniu głębokich dziur w poszukiwaniu węgla...

Losy Polski zależą przede wszystkim od polityków. W rozmowach towarzyskich możemy się umawiać, że nie gadamy o polityce, bo jest denerwująca, ale to od polityki zależy, czy decyzje podejmuje ktoś w rodzaju króla Popiela, którego zjadły myszy, bo słuchał wrednej Niemki Rychezy. W nowszej historii też bywali władcy, którzy świadomie niszczyli nam kraj. Teraz mamy kolejną kampanię wyborczą i trzeba o tym przypominać, bo znowu ważą się losy Polski.

Nie wolno nam zapominać, kto i jak tu rządził dziesięć lat temu. Niezależnie od obłąkanego wirusa, który hula po świecie, mamy swoje tradycyjne suwerenne choróbska... Napuszenie jędzowate, puchlina wredna, schamienie rozsiane, k...wica codzienna, kraś francowaty, tuskoza skleroza, gangrena VAT-owska, zdradek nabrzmiały, skrzek gnidowaty... Na te przypadki kwarantanny nie ma niestety, niestety...

Co najlepiej rozpala ogień

Z Igorem Herbutem, piosenkarzem, założycielem zespołu LemON, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy śpiewać każdy może?

Igor Herbut: Każdy może, tylko nie każdy powinien (śmiech).

A każdy może być jurorem?

Na pewno nie. To ciężka robota. Odpowiedzialna i emocjonalna. Kiedy dostałem propozycję wejścia do jury programu „The Four: Bitwa o sławę", zgodziłem się, bo format jest niesamowity. Nie wiedziałem jednak, że będzie tak trudno.

Czy kiedy siedzi się po drugiej stronie, inaczej wspomina się jurorów z „Must Be the Music. Tylko muzyka"?



Fot. Baranowski / AKPA

Myślę o tych, którzy oceniali mnie parę lat temu, a później stali się moimi przyjaciółmi na zawodowej drodze. Kora, z którą rozmawiałem o ważnych sprawach, do dziś mnie inspiruje, także jako jurora. Lubimy się z Adamem Sztabą, z którym współpracowałem, i z Elą Zapendowską. Wojtek Łozowski, kiedy zaczynałem, powiedział mi kilka ważnych zdań. A teraz zasiadam w jury obok mojego idola, a obecnie również przyjaciela, Kuby Badacha. Wraz z Natalią Nykiel, która jest superciepłą osobą.

Jakimi jesteście arbitrami?

Przede wszystkim pomagamy. Jesteśmy instrumentem dla ludzi, którzy do programu przychodzą. Potem, wiadomo, wszystko weryfikuje muzyczny rynek, słuchacze.

„Bitwa o sławę" brzmi dziś Igorowi Herbutowi w uszach, a co mu w duszy gra?

Będzie wiadomo 27 marca, kiedy ukaże się mój pierwszy solowy album. Wydawałoby się, że tytułowy „Chrust" to liche, połamane przez wiatr i nikomu niepotrzebne gałęzie, ale właśnie one najlepiej rozpalają ogień.

eprasa.pl/0d79d6c8e0

BRONISŁAW WILDSTEIN

O koronawirusie na poważnie

Koronawirus demonstruje raz jeszcze, jak naiwne są nasze marzenia o opanowaniu natury, doskonałym zdrowiu i wiecznym życiu



Fot. Andrzej Wiktor

Jak to na poważnie? – mogą zdziwić się czytelnicy. Przecież o epidemii słyszymy ciągle w tonach już nie tylko minorowych, ale wręcz panicznych. Właśnie o to chodzi. Straszenie to zaprzeczenie powagi. A sprawie warto się przyjrzeć na paru poziomach.

Co rozumniejsi komentatorzy dostrzegają polityczne konsekwencje epidemii. Demonstruje ona, że poważnym zagrożeniom najlepiej stawia czoło instytucja państwa. Mówią to również ci, którzy na co dzień zajmują się jego rozmontowywaniem. W skali makro, jak zwykle przy autentycznym kryzysie – tak było w czasie finansowego krachu w latach 2008–2009 – na dalszy plan wycofują się instancje UE, co odsłania ich limity.

Z drugiej strony wyobraźmy sobie, co by było, gdyby wprowadzony został w życie program Samorządna Rzeczpospolita, ogłoszony w czerwcu 2019 r. w Gdańsku przy wsparciu PO przez opozycyjnych szefów wielkich miast? Czy Polska sprowadzona do luźnej federacji regionów lepiej radziłaby sobie z epidemią? Biorąc to pod uwagę, szczególnie uderzać musi, że ci sami, którzy propagują ten model, piętnują rząd za zupełnie wydumane braki w przygotowaniu na katastrofę. Słuchając wystąpień totalnej opozycji, a zwłaszcza jej medialnego skrzydła, nie można mieć złudzeń, że choroba nie stanie się dla niej pretekstem do ataku na rząd.

Działaniom takim sprzyja mentalność współczesna, zgodnie z którą człowiek potrafi poradzić sobie z każdym zagrożeniem, a więc jeśli pojawia się problem, winę ponoszą zań wady organizacji społecznej. Podejście takie paradoksalnie nie sprzyja wzrostowi indywidualnej odpowiedzialności, wręcz przeciwnie, ma ono charakter roszczenia, aby zbiorowość chroniła jednostkę przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Cywilizacja osiągnęła podobno taki poziom, że jest to nie tylko możliwe, ale wręcz łatwe. W wypadku pojawienia się zła domagamy się, aby zostało natychmiast wyeliminowane, a jeśli tak się nie dzieje, poszukujemy winnych, aby ich za to obciążyć.

Błąd i grzech towarzyszą każdemu ludzkiemu przedsięwzięciu, a więc w wypadku katastrofy są szczególnie nie do uniknięcia, co nie znaczy, że jest ona przez nie spowodowana. Należy robić wszystko, aby je rozliczyć oraz zminimalizować, ale bez złudzeń, że da się ich bez reszty pozbyć. Nie zmienia tego fakt, że pojawienie się pandemii było do przewidzenia nie tylko dla autorów katastroficznych filmów. Jej szybkie rozprzestrzenianie się to efekt mobilności i globalizacji. Oto nieunikniona, ciemna strona w sumie pozytywnych zjawisk. Do pewnego stopnia mamy szczęście. Śmiertelność nowej choroby nie jest duża, chociaż przy jej wielkiej zakaźności może zebrać obfite żniwo. Wyobraźmy sobie podobną epidemię eboli, której śmiertelność przekracza znacznie 50 proc.

Koronawirus demonstruje raz jeszcze, jak naiwne są nasze marzenia o opanowaniu natury, doskonałym zdrowiu i wiecznym życiu. Owszem, medycyna rozwija się, życie wydłuża, ale nie prowadzi to do eliminacji chorób i do nieśmiertelności. W miejsce dawnych przypadłości pojawiają się nowe, a wizja przezwyciężenia śmierci przypomina rozumowanie skoczka, który obserwując przekraczanie kolejnych rekordów, wyobraża sobie, że już niedługo skakać będziemy nieskończenie daleko czy wysoko.

Na infantylnych rojeniach współczesnych żeruje gigantyczny i rosnący ciągle przemysł farmaceutyczny. Bez przerwy atakowani jesteśmy reklamami o specyfikach, które odmłodzą nas, przywrócą oraz zwielokrotnią nasze siły i ogólnie doprowadzą do stanu idealnie funkcjonującej maszyny. Przyczynia się to do zatracenia w pojmowaniu współczesnym fundamentalnej różnicy pomiędzy fenomenem życia a działaniem wytwarzanych przez ludzi narzędzi, również tych najbardziej wyrafinowanych, nazywanych umownie „sztuczną inteligencją". Towarzyszą temu fantazje na temat transformacji człowieka i przekroczenia wszelkich jego ograniczeń w raju technologicznej utopii.

Z tych snów powinno obudzić nas pojawienie się nieszczególnie niebezpiecznego wirusa, który jednak potrafił wprawić w drżenie całą naszą cywilizację. Mało prawdopodobne jednak, aby tak się stało.

Klient państwa opiekuńczego, bo do takiej roli redukuje obywatela ta forma polityczna, domaga się, aby zapewniło mu ono działanie bez usterek, czyli w pełnym zdrowiu, i oburza się, jeśli tak się nie dzieje. Nic dziwnego, że oczekiwaniom takim nie są w stanie sprostać najbogatsze kraje. Ludzie żyjący dłużej domagać się będą coraz większej opieki, przemysł farmaceutyczny rozrastał się będzie i pochłaniał kolejne środki, a uginające się pod jego presją i roszczeniami demagogów państwo funkcjonować będzie coraz gorzej.

Wątpliwe, aby nawet poważna epidemia przywróciła w tej kwestii zdrowy rozsądek.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

OGNIEM NA WPROST

Apage, Satanas!



W piątek na warszawskich Powązkach, obok Jaruzelskiego i Oleksego, pogrzebano kolejnego komunistę, byłego I sekretarza KC PZPR Stanisława Kanię. Ponieważ pochówek w tej najważniejszej obok Wawelu polskiej nekropolii wymaga zgody władz miasta Warszawy w osobie prezydenta lub osoby przez niego upoważnionej (chyba że zmarły posiada na cmentarzu rodzinny grób albo prochy zmarłego mają być złożone w kolumbarium), to z pomocą natychmiast pospieszył „tęczowy Rafał". Na prośbę rodziny I sekretarza Trzaskowski raz-dwa stosowną zgodę wydał i towarzysz Kania spoczął obok prawdziwych polskich bohaterów Wojska Polskiego, AK i NSZ, ale także nieopodal starych kumpli od wyrywania paznokci w kazamatach UB, ze swoim hersztem Bolesławem Bierutem na czele. Ale widać warszawski ratusz czuje, że coś zrobił nie tak, bo Ewa Rogala, zastępca rzecznika prasowego Urzędu m.st. Warszawy, nie chciała udzielić odpowiedzi na pytanie, jak to naprawdę z pochówkiem Kani było. Natomiast ja chciałem kolejny raz zapytać, jak długo jeszcze najwyższe władze tolerować będą tę „powązkowską schizofrenię". Jeśli po wyborach nie zostanie uchwalone prawo wyjmujące narodową nekropolię spod władzy schlebiającego neokomunie samorządu, należy uruchomić organizacje kombatanckie, patriotyczne i w ogóle wszystkie możliwe kręgi do zbiorowego protestu, którego celem będzie wreszcie wymuszenie na posłach właściwej ustawy dotyczącej Powązek wojskowych. Dość pobłażania komunie!

Każdy praktykujący katolik wie, że szatan aktywizuje się ponad normę przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. W czasie Wielkiego Postu również robota pali się w rękach nie tylko kierownictwu jądra ciemności, ale także jego ziemskim przedstawicielom. Dziwną korelacją zdarzeń akurat w tym czasie zaktywizowały się wszelkie formy lewactwa do walki z Kościołem i wiarą. A to działacze LGBT pod wodzą parlamentarzystki Anny Marii Żukowskiej narobią wrzasku podczas mszy św. w intencji żołnierzy wyklętych, koncelebrowanej przez abp. Marka Jędraszewskiego, a to łażą za nim krok w krok, by mu złośliwie dokuczać. Teraz dołączyli do nich Radosław Sikorski wraz z Joanną Senyszyn i razem nawołują do wprowadzenia zakazu celebracji mszy św. pod hasłem dbania o zdrowie w czasach morowego powietrza. Ta ostatnia nazwała nawet polskich biskupów idiotami. Pośrednio do tych wyć odniósł się papież Franciszek, który podobne zachowania tak podsumował: „Oby Pan dał nam łaskę odpowiedniego rozeznania, kiedy duch chce nas z zaciętością zniszczyć, a kiedy ten sam zły duch chce nas pocieszyć poprzez światowe propozycje, próżność. Nie zapominajmy, tam jest wściekłość, nienawiść, zemsta pokonanego szatana. I tak z Kościołem jest do dziś". Ja natomiast wszystkim tym, którzy w utytłanych moralnym błotem gumofilcach usiłują wleźć do mojej duszy, mówię: won!

Szalejący już na świecie, a dopiero rozkręcający się u nas, koronawirus ma też swoje dobre strony. 17-letnia szwedzka aktywistka Greta Thunberg zaczęła wreszcie mówić do rzeczy. W mediach społecznościowych zachęca swoich licznych obserwatorów do słuchania lekarzy, „jednoczenia się z nauką" i unikania tłumów, by „spłaszczyć krzywą" i zatrzymać rozprzestrzenianie się koronawirusa. Ale to nie wszystko. Zawiesiła swoje piątkowe klimatyczne strajki szkolne (Fridays for Future) aż do odwołania. Greta jest naprawdę pocieszną nastolatką, jak bowiem można zawiesić niechodzenie raz w tygodniu na zajęcia szkolne, gdy od dwóch lat permanentnie się wagaruje.

Natomiast w Gdańsku sensacja. Prezydent Aleksandra Dulkiewicz powołała komisję ds. bezpieczeństwa i porządku w mieście. Nie należałoby robić z tego wydarzenia wielkiego halo, gdyby nie to, że taka komisja nikomu do niczego nie jest w zasadzie potrzebna. Policja i inne służby działają na tym terenie w miarę sprawnie i mnożenie bytów jest tylko niepotrzebnym wydatkiem i stratą czasu w imię przerostu biurokracji. Chyba że na sprawę spojrzymy pod kątem ciągłości pewnej tradycji. Otóż jak zauważył portal wybrzeże24.pl., „podobne komisje w latach 80. powoływała egzekutywa KW PZPR w Gdańsku. Pamięć o tych czasach mógł zachować i dostarczyć do umysłu prezydent Gdańska zasłużony funkcjonariusz ORMO, sekretarz komisji ds. spekulacji w tych niebarwnych czasach, Andrzej Schulz, który cieszy się zaufaniem konserwatystki A. Dulkiewicz i z jej nadania nadzoruje pracę swojego byłego podwładnego w banku PeKaO SA, dziś prezesa MTG SA, Andrzeja Bojanowskiego".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Czekanie na konkurs



Marta Kaczyńska-Zielińska

2 października 2020 r. w Filharmonii Narodowej w Warszawie odbędzie koncert otwierający XVIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. Na inauguracji najważniejszego wydarzenia muzycznego w Polsce i uznawanego za jedno z najbardziej prestiżowych na świecie wystąpią zwycięzcy z poprzednich lat: Martha Argerich, Dang Thai Son, Julianna Awadiejewa i Cho Seong-jin z towarzyszeniem Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Narodowej pod batutą Andrzeja Boreyki.

Konkurs chopinowski zyskuje coraz większą popularność. Pięć lat temu chęć wzięcia udziału w rywalizacji zgłosiło ponad 450 pianistów, a w tym roku ich liczba przekroczyła pół tysiąca. Podczas eliminacji, które miały zostać przeprowadzone w kwietniu, ale w związku z epidemią koronawirusa odbędą się we wrześniu, zaprezentuje się 164 pianistów z 33 krajów. Do konkursu zakwalifikować będzie się mogło 80 z nich. Kto ostatecznie zwycięży, okaże się w nocy z 20 na 21 października.

Pierwszy Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina został zorganizowany 93 lata temu przez Warszawskie Towarzystwo Muzyczne. Inicjatorem konkursu był prof. Jerzy Żurawlew, a prezydent RP Ignacy Mościcki udzielił swojego patronatu. W konkursie wzięło udział 26 pianistów z ośmiu krajów. Polski pianista Stanisław Szpinalski zdobył wówczas II nagrodę. Mało kto pewnie pamięta, że wyróżnienie w pierwszym konkursie odebrał Dymitr Szostakowicz, który mimo kontrowersji pozostaje wciąż popularny przede wszystkim jako kompozytor koncertów, symfonii i wielu innych utworów, a we współczesnej popkulturze w szczególności pozostając popularnym za sprawą pełnego emocji i muzycznej subtelności walca nr 2 zapożyczonego do ścieżki dźwiękowej jednego z filmów Stanleya Kubricka.

Konkurs odbywa się co do zasady co pięć lat. Po przerwie wymuszonej przez II wojnę światową powrócił w 1949 r. Zatriumfowały wówczas ex aequo polskie pianistki: Halina Czerny-Stefańska i Bella Dawidowicz. Konkurs jest nazywany fabryką gwiazd – jego zwycięzcy zapisują się w międzynarodowej muzycznej historii jako najbardziej cenieni artyści. W 1965 r. zjawiskowa młodziutka Martha Argerich wygrała konkurs, budząc aplauz publiczności i jury zarówno oryginalnymi interpretacjami, jak i perfekcyjną techniką. Po ponad pół wieku wciąż pozostaje w artystycznym panteonie, podobnie jak genialny polski wirtuoz Krystian Zimerman, który wygrał konkurs w 1975 r., mając zaledwie 18 lat. Fenomenalnym pianistą okazał się 15 lat temu Rafał Blechacz, który w opinii jury zdeklasował swoich rywali na tyle, że zadecydowano o tym, by nie przyznawać drugiej nagrody. Artystami, którzy zaprezentowali swój talent na konkursie, byli także Piotr Paleczny, Janusz Olejniczak, Ewa Pobłocka czy jedyny polski finalista z 2015 r. Szymon Nehring.

Śledzenie poszczególnych etapów konkursu chopinowskiego potrafi przyprawić o emocje porównywalne do sportowych, a zdarza się, że wyniki rywalizacji budzą wielkie kontrowersje. Tak było dziesięć lat temu, kiedy Grad Prix zostało przyznane rosyjskiej pianistce, której interpretacje utworów Chopina wielu krytyków uznało za nie dość wszechstronne jak na najwyższą nagrodę, a zastrzeżenia budziła okoliczność odbycia kursu mistrzowskiego u jednego z członków jury. Pięć lat temu wyjątkowo ujmująca i emanująca wrażliwością była Amerykanka koreańskiego pochodzenia Kate Liu, która odebrała nagrodę Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków, a zwycięzcą został poprawny Koreańczyk Cho Seong-jin. W latach 90. dwukrotnie nie wskazano głównego. W 1995 r. z niezmiennie ogromnym zainteresowaniem zmagania konkursowe śledziła moja Mama, a ja wraz z nią. Obie dałyśmy się porwać pełnej temperamentu grze nieżyjącego już Aleksieja Sułtanowa.

Miejmy nadzieję, że pięknej polskiej tradycji stanie się zadość i jesienią z Filharmonii Narodowej w Warszawie na cały świat rozbrzmiewać będą chopinowskie nuty, budząc zainteresowanie i zachwyt jeszcze większej liczby melomanów niż pięć lat temu.

REKLAMA



67/0220/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Walizka Jacka Pałkiewicza

Podróżnika

Aż trudno zrozumieć, jak drastycznie zmieniało się na moich oczach oblicze podróży. Kamień milowy wniósł postęp technologiczny. Komputer wstrząsnął naszym życiem, a internet dokonał nieprawdopodobnej rewolucji. Współczesny globtroter może dziś liczyć na wiele udogodnień, wciąż ulepszany ekwipunek i przeróżne nowinki technologiczne. Jego sprzymierzeńcem stała się nawigacja satelitarna. Zwrot w historii fotografii przyniósł cyfrowy aparat nowej generacji. Świat w czasach szalonego przyśpieszenia zmienił się i skurczył.

MAPA



Mapa Michelina, którą miałem na mojej pierwszej wyprawie w 1972 r. Była tak doskonale zrobiona, że jest aktualna po dzień dzisiejszy. Obejmuje północną i zachodnią część Afryki z całą Saharą.



BUTY

Wysokie buty na pustynię, dobrze trzymające w kostce. Do tego są lekkie i przewiewne. Jak ktoś ma dużo fantazji, to mogą też chronić przed grzechotnikami.

DOKUMENTY I SEJF



Paszport, ksero paszportu, wizy, bilety lotnicze, karta bankowa Visa, waluta obca łatwa do wymiany, polisa ubezpieczeniowa, międzynarodowa książeczka zdrowia. To wszystko trzymam w specjalnym „sejfie" wzmocnionym drutem, którego nie da się rozciąć żadnym nożem.

NOTES



Zawsze notuję, bo jak nie zapiszę, to połowa z tego ucieka. Zapisów dokonuję skrótami, w ciągu dnia na żywo, a wieczorem, gdy już inni śpią, czy to przy ognisku, w namiotach lub hotelu, robię notatki bardziej wydłużone. Są one bazą do tworzenia reportaży, artykułów i książek.

KURTKA



Musi mieć dużo kieszeni i być wykonana z wytrzymałego materiału. Chociaż wojskowa odzież jest najlepsza na survival, to należy unikać nakryć w barwach militarnych i panterek. W rejonach świata, w których są konflikty zbrojne czy oddziały partyzanckie, taki strój może stanowić zagrożenie dla jego właściciela.

eprasa.pl 0d79d6c8e0





CZAPKA NA PUSTYNIĘ

Niezbędna w takim nakryciu głowy jest ochrona karku przed promieniami słonecznymi.

KOMPAS

Mój towarzysz podróży mający ponad 50 lat.





USTROJSTWO

Zakładana na łydkę kieszonka, w której chowam pieniądze, karty itp. Podczas napadu bandyci niezmiernie rzadko poza kieszeniami przeszukują tak nisko.

2 NOŻE

Uniwersalny, stalowy, ręcznie wykonany przez mojego syberyjskiego przyjaciela Igora Michałowa. I drugi rozkładany, wielofunkcyjny, ułatwiający życie w chwilach nieoczekiwanych.





ZĄB MAMUTA

Prezent od dwóch myśliwych z Jakucji, przywieziony jeszcze przed powstaniem konwencji montrealskiej. Mamut nie został upolowany, tylko znaleziony przy urwisku nad rzeką.

APARAT FOTOGRAFICZNY

Mały, lekki, pojemny. Można sfotografować jaszczurkę, yeti czy piękną Polinezyjkę.





KSIĄŻKI

„Sztuka podróżowania”
Lektura, którą polecam wszystkim, którzy gdziekolwiek wyjeżdżają. Ten zbiór moich doświadczeń zdobytych podczas czterech dekad jest vademecum od A do Z dla podróżujących po świecie.

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Etyka medyka



Dominik Zdort

To będzie tekst trochę na marginesie kwestii, o której wszyscy mówią i piszą, zresztą na całym świecie. Ale obiecałem sobie, że tym razem nie użyję najczęstszego ostatnio słowa na „k” (skądinąd to rewolucja lingwistyczna, że nowe słowo na „k” przebiło popularnością dawniej najpopularniejszy polski wyraz na tę samą literę).

Dziś będzie o szpitalach. Nie w Polsce, a w Wielkiej Brytanii. Otóż od pierwszego kwietnia National Health Service (to taki wyspiarski NFZ) zmienia politykę dotyczącą opieki nad chorymi. Teraz placówka będzie mogła odmówić leczenia niektórych kategorii pacjentów. Oczywiście będzie im pomagać w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia (jak mniemam, także w przypadku zapadnięcia na chorobę na „k”), ale we wszystkich innych przypadkach chory należący do jednej z wykluczonych grup wcale musi nie zostać przyjęty do szpitala czy na wizytę lekarską.

Tu dochodzimy do sedna. Którzy pacjenci, zdaniem brytyjskiej służby zdrowia, nie zasługują na leczenie? Otóż ci, którzy są homofobami, seksistami i rasistami.

Nie żartuję, naprawdę wprowadzono takie przepisy. Dotąd można było odmówić opieki rasiście, homofobowi i seksiście tylko wtedy, jeśli w sposób agresywny wyrażał niepoprawne politycznie sądy. Teraz wystarczy, że chory uczestniczył w demonstracji przeciwko ideologii LGBT, wpisał na Facebooku prześmiewczą opinię na temat feministek, czy – nie daj Boże! – jakiś żarcik na temat Murzynów, i może stracić prawo do leczenia.

Ktoś może zapytać: a co z etyką lekarską? Co z przysięgą Hipokratesa? No cóż, w czasach, gdy medycy w majestacie prawa dokonują aborcji, a coraz częściej także eutanazji, wspominanie o tej całkiem już nieaktualnej kwestii wydaje się w najlepszym razie nietaktowne, jeśli nie wręcz niegrzeczne. Dziś podstawą nowoczesnej etyki jest szacunek dla przywilejów mniejszości, a nie obowiązek ochrony życia i leczenia chorych.

A swoją drogą ciekawe, jak służba zdrowia potraktuje kobietę, która przyjdzie do przychodni przerwać ciążę (a w Wielkiej Brytanii przepisy w tej sprawie są wyjątkowo liberalne), a równocześnie będzie nazywała czarnoskórych „asfaltami”, i co będzie ze schorowanym staruszkiem domagającym się eutanazji (tu brytyjskie prawo także powoli zmierza ku pełnej swobodzie), który pała niechęcią do gejów i nazywa ich „pedałami”.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 0d79d6c8e0

RZECZY POSPOLITE

Teraz i w godzinę



Tomasz Łysiak

Koronawirus wyrwał nagle społeczeństwo Zachodu z błogiego letargu, ze słodkiego snu w świecie dobrobytu i spokoju. W tym świecie każdy winien być młody i uśmiechnięty, otaczać się luksusowymi przedmiotami, mieć AirPodsy w uszach, pić latte na sojowym mleku w Starbuniu, a „Pandemię" oglądać jedynie na Netfliksie.

A tu nagle się okazało, że obrazki z Hubei i ludzie duszący się na ulicy mogą się obok nas zmaterializować. Nie na fejsie, ale na chodniku w naszym mieście.

I naraz, w niesamowity sposób wyłaniają się prawdy absolutne. Wartości, o jakich nawet nikt z owych lemingów ulepionych z politycznie poprawnej papki dotąd nie myślał. Oto tematem publicznym stała się śmierć. Ludzie ze zdumieniem odkryli, że można umrzeć. Bo dotychczasowe objawienia Pani z Kosą, przez wypadki, nowotwory i białaczki, mimo wszystko wpisane były dla wielu w jakiś niedotykający ich osobiście margines. I nagle ta niemodna, wypchnięta poza nawias, śmierć wróciła przy dźwiękach trąby. Samo słowo zostało wymiecione z zestawu myślowego współczesnego człowieka, który w obliczu pandemii zostaje postawiony wobec spraw ostatecznych. Wyjmuje więc te białe słuchawki wireless z uszu i pyta zdziwiony: „Naprawdę? To można umrzeć?".

Tak, każdy z nas umrze – brzmi zadziwiająca odpowiedź, którą podsyła mu instynkt, i dopiero wtedy ów młody, często odcięty od tożsamościowych korzeni i wartości, „Europejczyk" staje bezradny. Chwilę potem biegnie do hipermarketu, by kierowany paniczną chęcią powrotu do poczucia bezpieczeństwa wrzucić do koszyka czekolady i batony, i mleko sojowe, i orzeszki w czekoladzie, i jogurty, i 120 rolek papieru toaletowego.

Wraca do domu, po czym je orzeszki, popija jogurt i usiłuje zdusić w sobie tę nieprzyjemną wiadomość, że jednak... kiedyś umrze. Czy każdy Europejczyk tak ma? Nie. Ten, który na co dzień rozpina swoje myśli między życiem a śmiercią, między teraźniejszością a wiecznością, ten patrzący na Chrystusa, który jest bramą między tym, co tu tutaj, i tym, co tam, śmierć widzi przez zmartwychwstanie. Ma w ręku różaniec. I na pewno jest spokojniejszy.

Ucz się, Jasiu...



Piotr Cywiński

Pewna pani w kapeluszu wcisnęła cylinder na łeb pewnemu młodszemu 43 lata, zawlokła go na smyczy na ślub i wyszła za niego za mąż. Co prawda, on jej nie włożył obrączki na palec, ale ona jemu na łapę owszem. I było lizanie się już jako mąż i żona. Ceremonia odbyła się w Wielkiej Brytanii, ona nazywa się Elizabeth Hoad, on to pies rasy golden retriever o imieniu Logan. Ktoś ma coś przeciw?

Jak wolność, to wolność! To ludzie sami sobie ją ograniczają, jeśli ktoś chce usłyszeć więcej na ten temat, odsyłam do pewnego nieformalnego męża swego męża, tymczasem nazywających się partnerami, ale – gdy ich plan wypali – też będą małżonkami, może nawet wezmą sobie jakieś dziecko z adopcji, żeby rodzina była w komplecie. „W społeczeństwie znajdują się i ludzie, i zwierzęta, które są homoseksualne, dlatego też powinniśmy te różnorodność pokazywać", bo nie chodzi o to, że „rodziny tworzone przez osoby homoseksualne, czy nawet zwierzęta homoseksualne są gorsze albo lepsze, są takie same, ani gorsze, ani lepsze", wyłożył w TVN24 kandydat na prezydenta Robert Biedroń.

W Middelsborough, też w Anglii, jest już pierwsza para zmiennopłciowa Luise i Nikkie Dravenowie. Luise była facetem, ale coś sobie ucięła, coś przyprawiła i już nim nie jest. Nikkie odwrotnie, była kobietą, lecz wolała być facetem, coś sobie zaszyła, coś przyprawiła i już! Para zwraca się do swego dziecka o imieniu Star, czyli gwiazda, które spłodziła, gdy on był jeszcze nią, a ona nim, per osoba, żeby nie wymuszać na nim za młodu płciowej identyfikacji. Można? Można!

Indywidualnie też można. Erica Anderson wzięła ślub z samą sobą. Przyrzekła sobie przy świadkach na dachu domu w nowojorskim Brooklynie, że się nie opuści, wychyliła dwie szklaneczki burbona, za siebie i za siebie, i już! „Wolność oznacza też prawo do samodzielnego wyboru własnej drogi", podkreśliła w magazynie „Cosmopolitan", jest już nawet na tę samoobsługę stosowne określenie: sologamia.

Koniec ze zdradami małżeńskimi! Za Logana, że nie skoczy w bok, to ja swojej łapy nie dam, tylko sologamia zapewni ci spokojne pożycie! Już słyszę uszami wyobraźni: „Ja, Piotr, ślubuję sobie, że będę wspierać siebie w bogactwie i w biedzie, w zdrowiu i chorobie, i że nie opuszczę siebie, dopóki śmierć nas nie rozłączy..." Mam tylko dwie wątpliwości: czy wziąłbym sobie siebie za męża, czy za żonę? I jak miałaby wyglądać moja z sobą noc poślubna? Ale to w końcu sprawa natury osobistej.

„A tera, kto się zacznie śmiać, ten dostanie w ryj..." – jak ostrzegał majster Kobuszewski w skeczu pt. „Ucz się, Jasiu"...

eprasa.pl 0d79d6c8e0

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

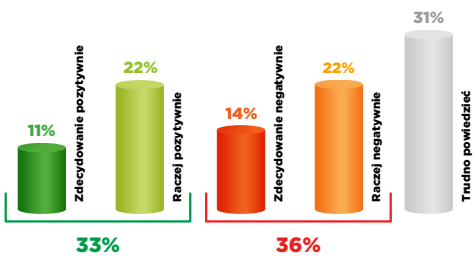
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, PAP/PAWEŁ SUPERNAK, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, PAP/WOJCIECH OLKUŚNIK, PAP/MARCIN BIELECKI

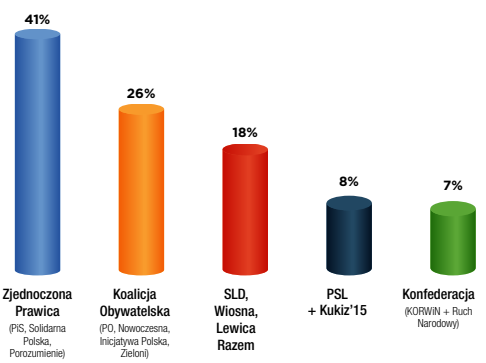
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

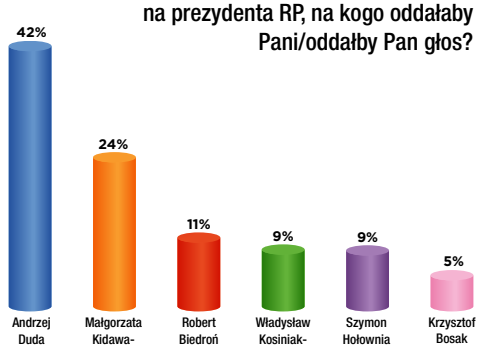
Jak ocenia Pani/Pan działania polskiego rządu w sprawie koronawirusa (COVID-19)?



Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?



Gdyby w najbliższą niedzielę odbyły się wybory na prezydenta RP, na kogo oddałaby Pani/oddałby Pan głos?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1003.

Zakres czasowy badania 6–10 marca 2020 r.

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Polityka w cieniu wirusa

To moment, w którym nie możemy się przyzwyczajać do liczb, dat i postanowień. Koronawirus rozprzestrzenia się w takim tempie i w tak niekontrolowany sposób, że nawet najbardziej restrykcyjne przepisy nie dają gwarancji uchronienia się przed nim. Na to wszystko nakłada się jeszcze temperatura kampanii wyborczej, która formalnie wciąż się toczy. Przed politykami – zarówno rządzącymi, jak i opozycyjnymi – naprawdę trudny test na dojrzałość. Niektórzy już go nie zdali. Sprawiają wrażenie, jakby ich celem było wywołanie chaosu



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Nikt dziś nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy wybory odbędą się w terminie. Sytuacja zmienia się nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę. Podana rano liczba kolejnych chorych jest w ciągu doby aktualizowana kilkukrotnie. Minister zdrowia Łukasz Szumowski mówi otwarcie, że w ciągu tygodnia możemy mieć w Polsce nawet 1 tys. przypadków zakażenia, co powoduje, że o normalnej kampanii wyborczej nie myśli już nikt. Za jedyny jej element można uznać reakcję kandydatów i ich współpracowników na kryzys epidemiologiczny. Tu przebiega ta cienka linia oddzielająca dwie skrajne postawy: uspokajającą rządu, z chłodnymi, profesjonalnymi

eprasa.pl 0d79d6c8e0



wypowiedziami ministra zdrowia (wyrasta na najbardziej kompetentnego szefa tego resortu od wielu, wielu lat) i wprowadzaniem coraz radykalniejszych środków bezpieczeństwa, by dmuchać na zimne, od coraz bardziej histerycznych reakcji części opozycji, zwłaszcza Koalicji Obywatelskiej.

Rzeczywistość galopuje. Jeszcze dwa tygodnie temu nie wyobrażaliśmy sobie scenariusza zamknięcia szkół i uczelni, jeszcze tydzień temu na pytanie o możliwość przesunięcia wyborów prezydenckich wielu pewnie popukałoby się w czoło. Dzisiaj rozmowa o ewentualnym wprowadzeniu stanu wyjątkowego już nikogo nie oburza, nawet politycy opozycji w tej sprawie kompetencji Rady Ministrów nie kwestionują. – Jeżeli rząd dojdzie do przekonania, że nie jest w stanie zapewnić dostępności do lokali wyborczych, że nie jest w stanie zapewnić obsady w komisji wyborczej – wówczas będą podejmowane takie działania – stwierdził w RMF FM przewodniczący PO Borys Budka, zaznaczając jednocześnie, że Platforma nie domaga się tak radykalnego rozwiązania. – To narzędzie, które jest ostatecznością – dodał.

> Sposób, w jaki zachowują się politycy w trakcie tego kryzysu, pozostanie w pamięci Polaków na dużo dłużej niż do najbliższych wyborów

Rzeczywiście, wprowadzenie stanu wyjątkowego oznaczałoby, że wybory można by przeprowadzić dopiero 90 dni po jego zniesieniu, czyli w praktyce zapewne jesienią.

DLA KOGO STRATA?

Na koniec ubiegłego tygodnia żadnej decyzji w tej sprawie nie było, piszemy więc o wyborach we wcześniej ustalonym terminie 10 maja. Kto na tym zamieszaniu zyska, kto może stracić?

Prof. Rafał Chwedoruk w rozmowie z portalem wPolityce.pl twierdzi, że każdy kryzys powoduje, iż ludzie skupiają się wokół władzy. – Społeczeństwo niekoniecznie chce wtedy ryzykować i eksperymentować. I to może uderzać w mniejszych kandydatów. W naszych realiach na pewno zyska dwoje największych kandydatów, którzy mają najsilniejsze zaplecze – mówi portalowi politolog.

Ale są i inne spekulacje. W mediach bardzo podkreślana jest troska o mniej odporne na wirusa osoby starsze, mnożą się apele, by nie wychodziły z domu. Gdyby wybory odbyły się jednak za dwa miesiące, to seniorzy, którzy są naturalnym elektoratem PiS i Andrzeja Dudy, mogliby się przestraszyć i nie pójść na nie. Sztabowcy Małgorzaty Kidawy-Błońskiej mają inny kłopot, ich elektorat to bowiem głównie wielkie miasta. A skoro zagrożenie koronawirusem w dużych ośrodkach jest z oczywistych względów

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0d79d6c8e0

większe, to mogłoby się ono przełożyć na poparcie dla kandydatki KO.

W otoczeniu prezydenta prawie nikt nie chce dziś rozmawiać o kampanii. – Jestem, a w zasadzie byłem, w sztabie wyborczym Andrzeja Dudy. Teraz moja aktywność zawęża się tylko do polityki informacyjnej rządu i działań Rady Ministrów ws. wirusa – mówi Piotr Müller, rzecznik rządu. Nie ukrywa, że na większość pytań, które cisną się na usta, nie ma odpowiedzi. Nie wiadomo, w jakiej sytuacji będziemy za tydzień, a co dopiero za miesiąc czy dwa.

Sztab wyborczy Dudy w zasadzie milczy, w mediach społecznościowych chwali się tylko kolejnymi dostarczanymi z regionów kartonami z podpisami poparcia dla kandydata. Pomysłu na nową odsłonę kampanii chyba nie ma, ale też w tym momencie nikt tego nie wymaga. Nie wiadomo, czy odbędzie się planowana na koniec marca konwencja programowa. Najprawdopodobniej nie, a na pewno nie w formule wielkiego wiecu zwolenników prezydenta, jaki się odbył na starcie kampanii w Warszawie.

> Jedynie w teorii ograniczenie kampanii do mediów, a często tylko do internetu, jest korzystne dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Okazuje się, że kampania oparta na wystąpieniach konferencyjnych i tweetach jest dla niej równie niebezpieczna



Fot. Grzegorz Banaszak/REPORTER

KONIEC DUŻYCH SPOTKAŃ

Z tego samego powodu nie będzie też otwartych spotkań wyborczych. Pierwszy ogłosił to Szymon Hołownia, ale wzbudziło to tylko uśmiech, bo jego spotkania akurat liczne nie były. Gdy taki sam krok zrobił urzędujący prezydent, stało się jasne, że ta kampania będzie bardzo niezwyczajna. Przez pierwszy miesiąc Andrzej Duda zdążył odwiedzić ponad 20 miejsc, czasem przychodziło 200 osób, czasem 300, a nawet – jak choćby w Chęcinach w woj. świętokrzyskim – ponad 700. Wielu sympatyków chciało uścisnąć dłoń prezydenta, coś mu powiedzieć, wziąć autograf, zrobić wspólne zdjęcie. Ryzyko przeniesienia wirusa w takich warunkach wzrasta drastycznie.

Z naszych informacji wynika, że prezydent został przebadany na obecność koronawirusa. W pałacu nikt tego nie potwierdza, ale gdyby nie zrobiono testu pierwszemu obywatelowi po tak intensywnej obecności wśród ludzi, byłoby to karygodnym błędem. Nie wyobrażamy sobie też, że gdyby wynik był pozytywny, to ta informacja byłaby skrywana. Komunikatu nie ma, przyjmujemy więc, że prezydent jest zdrowy.

W otoczeniu prezydenta ze smutkiem i lekkim przestrachem przyjęto decyzję Andrzeja Dudy o zawieszeniu wyjazdów dudabusa i odwołaniu dużych spotkań z Polakami w ich miastach. Dla wszystkich jest jasne, że te bezpośrednie kontakty z wyborcami to pole, na którym miał zdecydowaną przewagę nad konkurentami. – Nas to martwi i nie martwi, bo aktywność prezydenta jest tak duża, szczególnie teraz, gdy mamy do czynienia z kryzysem zdrowotnym, że mamy zapewnioną obecność w mediach. I to w dobrym kontekście. Gdyby rząd popełniał błędy, przylepiałoby się to również do prezydenta. Teraz wszystko funkcjonuje dobrze, minister Szumowski działa jak szeryf, przygotowywana jest specustawa mająca pomóc przedsiębiorcom, organizowane są środki na zasiłki dla rodziców, którzy zostają w domach z dziećmi, resorty edukacji i szkoły wprowadzają rozwiązania przydatne do nauki zdalnej. Andrzej Duda może dostojnie tym działaniom patronować – mówi jeden ze współpracowników prezydenta.

Prawda jest też taka, że aktywność głowy państwa w sprawach związanych z kryzysem jest duża. Była wizyta w Szczecinie, tam narada ze służbami, a potem odwiedziny na przejściu granicznym w Kołbaskowie, by na własne oczy się przekonać, jak wygląda praca na granicy z Niemcami, skąd obecnie płynie do nas największe zagrożenie epidemią. Kolejne dni to spotkanie z sektorem finansowym i inicjatywa

eprasa.pl 0d79d6c8e0

ws. możliwości zawieszenia spłaty kredytów przez osoby, które mogą stracić płynność finansową przez nadzwyczajną sytuację. Tego samego dnia także prośba do organizacji harcerskich i związków skautowych, by te włączyły się w opiekę nad osobami starszymi i pomogły w akcji informacyjnej ws. wirusa. Następnie wizyta w banku żywności w Ciechanowie.

Nie da się ukryć, że urzędujący prezydent jest tutaj w uprzywilejowanej pozycji, ale czy można mu czynić zarzut z tego, że wykonuje swoje obowiązki? Okazuje się, że tak. Małgorzata Kidawa-Błońska podkreśliła to w internetowym wystąpieniu stylizowanym na orędzie. – Nie pozwólmy, by wirus był okazją do wykorzystywania sprawowanego urzędu i dostępu do źródeł przekazu – powiedziała kandydatka Koalicji Obywatelskiej, zaznaczając, że „ona także rezygnuje z dużych spotkań" i „znajdzie sposoby dotarcia do wyborców".

– Trudno sobie wyobrażać taką sytuację, żeby dla dobrego samopoczucia tego czy innego kontrkandydata w wyborach prezydent powiedział: „Ale ja nie będę aktywny, nie będę się interesował tymi sprawami" – skomentował słowa pani wicemarszałek Paweł Mucha, wiceszef Kancelarii Prezydenta w Radiu Zet.

GRODZKI IGRA Z WIRUSEM

W obliczu głębokiego kryzysu epidemiologicznego raz jeszcze swoją skrajnie nieodpowiedzialną twarz pokazał marszałek Senatu Tomasz Grodzki. Gdy było już wiadomo, z jakim dramatem mierzą się Włochy, trzecia osoba w państwie – jak lubi o sobie mówić – wybrała się na urlop do Italii. To pierwsze niezrozumiałe zachowanie, bo marszałek ryzykował zarażenie nie tylko siebie i współtowarzyszy podróży, lecz również oficerów Służby Ochrony Państwa oraz osób, z którymi miał się spotykać po powrocie. A po powrocie było już tylko gorzej.

Najpierw nie chciał wypełnić karty lokalizacyjnej pasażera, następnie zamiast na kwarantannę prosto z lotniska pojechał do Senatu, gdzie spotkał się z wieloma osobami. Dopiero później poddał się testowi na obecność koronawirusa, mógł więc w międzyczasie zarazić innych. W dodatku, aby przeprowadzić badanie, udał się na szpitalny SOR – co jest absolutnie niedopuszczalne.

Jakby tego było mało, wbrew zarządzeniu marszałek Sejmu o nieorganizowaniu na terenie parlamentu żadnych wydarzeń gromadzących większą liczbę osób (sam również się pod nim podpisał) nie odwołał konferencji poświęconej samorządom. Gdy zaś w środę rano się dowiedział, że jeden z pracowników kancelarii Senatu może być zakażony, nie przesunął obrad, czym ponownie ryzykował zdrowie i życie innych ludzi. Wreszcie zorganizował konferencję prasową, na której z trzydziestką senatorów ścisnęli się na małej przestrzeni przed kamerami – wbrew wszelkim zaleceniom. Na koniec zaś postanowił ścigać się z rządem na specustawy. W tym celu był nawet skłonny zmieniać regulamin prac parlamentarnych.

> W obliczu głębokiego kryzysu epidemiologicznego raz jeszcze swoją skrajnie nieodpowiedzialną twarz pokazał marszałek Senatu Tomasz Grodzki

Nie sposób zrozumieć, jak światły człowiek, polityk, którego powinna cechować odpowiedzialność, profesor i wreszcie lekarz (!) może w ten sposób igrać z bezpieczeństwem innych. Niewielu znalazł obrońców. Jego partyjni koledzy unikali komentowania jego zachowania, a opinia publiczna chyba wyrobiła sobie zdanie na temat „trzeciej osoby w państwie", która zachowuje się mniej rozsądnie od dziecka.

Paradoksalnie apel wicemarszałka Stanisława Karczewskiego o dymisję Grodzkiego – choć ze zdroworozsądkowego punktu widzenia uzasadniony – był nie na miejscu. Bo pozwolił na odniesienie wrażenia, że najważniejszy senator PiS przy okazji epidemii prowadzi tradycyjną walkę polityczną. Karczewski zaapelował przy tym



Fot. East News/Jan Bielecki

eprasa.pl 0d79d6c8e0

do Władysława Kosiniaka-Kamysza, aby ten – jako lider frakcji decydującej o większości w Senacie – przestał popierać Grodzkiego.

– Uważam, że nie pora teraz na robienie polityki. Najpierw wygrajmy z koronawirusem i zapewnijmy bezpieczeństwo wszystkim Polakom – odpowiedział lider PSL. Apel Karczewskiego nie został dobrze przyjęty także w PiS. – To nie ten czas, by się rozdrabniać na polityczne wojenki. To wygląda niepoważnie, nie możemy sobie pozwolić na utratę zaufania przez takie wyskoki – mówi nam jedna z osób z rządu.

Za niezrozumiałą samowolę przyjęto także konferencje prasowe wojewodów. W ubiegłym tygodniu mieliśmy prawdziwy wysyp briefingów, które nie miały wartości merytorycznej, wprowadzały natomiast niemały chaos w przekazie. – Chyba wojewodowie postanowili zareklamować w tej sytuacji swoje działania, ale dało to efekt odwrotny. Zamiast uspokajać, stworzyli poczucie nadmiernego zagrożenia. To jest moment, w którym naprawdę liczy się każde słowo – słyszymy.

KIDAWA HISTERYCZNA

Jedynie w teorii ograniczenie kampanii do mediów, a często tylko do internetu, jest korzystne dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Jeszcze kilka dni temu wydawało się, że najlepszym, co może ją spotkać, jest unikanie spotkań z ludźmi i konfrontowania się z trudnymi pytaniami. Okazuje się, że teoretycznie pełna kontrola nad przekazem, jaką daje kampania polegająca na przygotowanych wystąpieniach konferencyjnych i tweetach, jest równie niebezpieczna.

„Apeluję do rządu o uruchomienie programu powszechnego dostępu do testów na koronawirusa. Naszym obywatelskim prawem jest wiedza o swoim stanie zdrowia. Polacy chcą mieć pewność, że nie są zarażeni i nie stanowią zagrożenia dla innych" – napisała w środę na Twitterze pani wicemarszałek. Podobne podniosłe apele formułują za pośrednictwem mediów społecznościowych jej partyjni koledzy. To strzał kulą w płot, na co zwraca uwagę nie tylko minister zdrowia i inni lekarze specjalizujący się w zapobieganiu epidemiom, lecz i wielu zwykłych ludzi. Dla wszystkich jest jasne, że nikt na świecie nie stosuje takich metod. Nie ma takiej potrzeby, nie ma tylu laboratoriów, diagnostów, a nawet nie ma tylu testów. Ktoś przytomnie zauważył, że aby spełnić marzenia Kidawy-Błońskiej, musielibyśmy przejąć wszystkie dostępne na świecie testy, a badanie wszystkich Polaków trwałoby tygodniami, jeśli nie miesiącami. Jest to po prostu niewykonalne.

> Wprowadzenie stanu wyjątkowego oznaczałoby, że wybory można by przeprowadzić dopiero 90 dni po jego zniesieniu, czyli w praktyce zapewne jesienią

Słowa Kidawy skomentowali m.in. politycy Lewicy. Adrian Zandberg: „A ja proszę o konsultowanie swoich pomysłów ze specjalistami. Przed włączeniem Twittera. My, politycy, mamy ten przywilej, że nasze słowa docierają do milionów ludzi. Warto korzystać z niego odpowiedzialnie. Zwłaszcza w takiej sytuacji. Zwłaszcza kandydując na ten urząd". Anna Maria Żukowska: „Populizm sieje potworne spustoszenie. Żaden kraj nie ma fizycznej możliwości przebadania na koronawirusa wszystkich swoich obywateli. To nie działa jak test ciążowy. Ja apeluję o rozsądek. Naszym obywatelskim prawem jest nieuleganie panice. Polecam skorzystać".

Jaka będzie dalsza strategia Koalicji Obywatelskiej? Wydaje się, że rozpoczęła się bezwzględna walka z rządem przy wykorzystaniu pandemii. Jeden z sympatyków pani wicemarszałek napisał na Twitterze: „Nie dajcie się po raz kolejny wmanewrować w narrację, żeby działać z rządem! Za chwilę Szumowski będzie bohaterem, a wy zostaniecie z niczym! Macie ich ostro i bezwzględnie punktować! Jest za co!". Autor wpisu, pan Wiesław, to człowiek, z którym sztab Kidawy-Błońskiej współpracuje przy rozwieszaniu bannerów – świadczy o tym tweet Bartosza Arłukowicza sprzed trzech tygodni.

Z każdą godziną mnożą się teorie spiskowe i absurdalne ataki na rząd również osób zaprzyjaźnionych z KO. Przykładem jest Roman Giertych: „Czy ktoś weryfikował testy PiS-u pod kątem tego, czy one rzeczywiście wskazują obecność koronowirusa? Przecież równie dobrze ich »naukowość« może być podobna jak podkomisji smoleńskiej. Czyli żadna".

Do czego to wszystko prowadzi? Do wybuchu jeszcze większej paniki, której narastanie mogłoby przeszkodzić w walce z epidemią.

Polska rzeczywistość składa się dziś z dwóch warstw. Na wierzchu jest tylko jeden temat – koronawirus – i jest to całkowicie zrozumiałe, bo zagrożenie jest realne i dotyka nas coraz bardziej. Pod powierzchnią walki z chorobą toczy się zaś „normalna" polityka i zupełnie nienormalna kampania wyborcza. Opozycja wciąż jest opozycją, nie zamierza odpuszczać rządowi, ministrowie Mateusza Morawieckiego działają więc pod zwielokrotnioną presją. Jeśli jej nie ulegną, będą robili, co do nich należy, i skutki zarazy uda się ograniczyć, to politycznie wygrają sporo dla siebie i swojego kandydata na prezydenta. To tylko teoria, nikt nie jest dziś w stanie zagwarantować, że w praktyce tak będzie.

Nikt też nie oczekuje od opozycji, że będzie wychwalała rząd pod niebiosa. Ale wyzwanie, jakie dziś stoi przed Polską, dotyczy czegoś dalece ważniejszego niż punkty poparcia. Mamy do czynienia z jednym z największych sprawdzianów dla państwa, jakie można sobie wyobrazić w czasach pokoju. Sposób, w jaki zachowują się politycy w trakcie tego kryzysu, pozostanie w pamięci Polaków na dużo dłużej niż do najbliższych wyborów. Choćby dlatego część opozycji powinna się natychmiast opamiętać.

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Logika wojny

Zamknięte uczelnie i szkoły, kontrole na granicach i kwarantanny. W telewizji czerwony pasek, na którym biegną informacje o rosnącej liczbie ofiar. Nieoczekiwanie znaleźliśmy się w rzeczywistości znanej z filmów katastroficznych. Pewne jest tylko jedno: musimy spowolnić tempo rozwoju pandemii, ale nie uda się jej zatrzymać



MAJA NARBUTT

Nigdy tego nie zrobię, nie wyobrażam sobie, że można wskazać, kto ma szansę na przeżycie i powinno się położyć go pod respirator, a kto nie. Każdy pacjent ma szansę na przeżycie, oczywiście z wyjątkiem tych w stanie terminalnym – mówi mi prof. Krzysztof Simon, ordynator oddziału chorób zakaźnych w Wojewódzkim Szpitalu we Wrocławiu, gdzie leżą osoby zakażone koronawirusem.

Odrzuca logikę wojny, która zaczyna już panować we Włoszech. Lekarze mówią tam otwarcie, że w walce z ogłoszoną przez WHO pandemią COVID-19 należy stosować selekcję i koncentrować się na tych, których na pewno można uratować.

Ale i dla niego jest jasne, że już niedługo trzeba będzie zmierzyć się z sytuacją, w której nie wszystkim chorym będzie można zapewnić opiekę szpitalną. Kiedy zakażonych koronawirusem zacznie przybywać lawinowo, trzeba będzie zmienić reguły gry.

– Teraz przyjmujemy wszystkich. Jednak to się na pewnym etapie zmieni. Ci, którzy lekko przechodzą zakażenie koronawirusem, mało kaszlą i nie mają zaawansowanych zmian radiologicznych, będą odsyłani do domu. I koniec, mają się leczyć w warunkach domowych – mówi prof. Simon.

Fot. Karolina Misztal / REPORTER

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Jeśli nie ma powikłań, zakażenie koronawirusem SARS-CoV-2 może przebiegać łagodnie i tak jest zwłaszcza u ludzi młodych. Powikłania, przede wszystkim obustronne śródmiąższowe zapalenie płuc, okazują się często śmiertelne. Właśnie w wypadku ostrej niewydolności oddechowej niezbędny jest respirator.

Oburzenie prof. Simona, że lekarz mógłby podjąć decyzję, że ktoś nie dostanie respiratora, wydaje się zrozumiałe. Jednak lekarze włoscy, którzy dziś mówią otwarcie, że kolejność przyjmowania do szpitala nie jest rozstrzygająca, gdy jest za mało respiratorów, też zapewne jeszcze niedawno nie wyobrażali sobie, że znajdą się w takiej sytuacji. Rzeczywistość czasów pandemii jest dramatyczna: w przepełnionym szpitalu, gdzie zbyt wielu pacjentów czeka na ratunek, trzeba dokonywać brutalnych wyborów. Komu dać szansę: czy położyć pod respirator na dwa tygodnie 80-latka, czy na krócej 30-letnią matkę, na którą czekają dzieci?

– Tak naprawdę w sytuacjach kryzysowych lekarze zawsze dokonują wyborów. Taki mamy zawód, choć może się to wydawać okrutne. Kiedy na misji humanitarnej w Afryce muszę zdecydować, czy dać leki i kroplówkę młodemu człowiekowi czy starcowi, nie waham się – przyznaje, zastrzegając anonimowość jeden z lekarzy.

To wszystko na razie jest dla nas abstrakcją. Podobnie jak nierealny wydaje się w tej chwili scenariusz, że system opieki zdrowotnej mógłby się załamać pod naporem gwałtownie rosnącej liczby chorych.

– Gdyby zachorował jeden procent społeczeństwa, cały system znalazłby się na krawędzi – uważa prof. Simon.

Jest jeszcze inne, bliższe zagrożenie – personelowi medycznemu może zabraknąć środków ochrony osobistej. A wtedy – jak mówią nieoficjalnie niektórzy – nie wszyscy uznają, że nadal muszą być przy łóżkach chorych.

– Kiedy kilka lat temu na świecie panowała epidemia eboli, w jednym z wrocławskich szpitali lekarze zapowiedzieli, że jeśli zostanie przyjęty chory na ebolę, żadna siła nie zmusi ich do przyjścia do pracy. „Gazeta Lekarska" nie chciała opublikować artykułu na ten temat. No bo jak to, przecież obowiązuje przysięga Hipokratesa. Ale sprawdzaliśmy ten temat z prawnikami. Ani przysięga Hipokratesa, ani Kodeks pracy nic nie poradzą w takiej sytuacji – opowiada mi prof. Andrzej Gładysz, epidemiolog.

> Gdyby zachorował jeden procent społeczeństwa, cały system znalazłby się na krawędzi – uważa prof. Krzysztof Simon, ordynator oddziału chorób zakaźnych w Wojewódzkim Szpitalu we Wrocławiu, gdzie leżą osoby zakażone koronawirusem

Jak mówi, całe szczęście, że są szpitale wojskowe, a także powstają już szpitale polowe, które zawsze sprawdzają się w najtrudniejszych warunkach.

KUPOWANIE CZASU

– Kiedy na świecie różne instytucje zapewniają, że zrobiły wszystko, by przygotować się na to, co jest obecnie, mówią nieprawdę. Zawsze jest kalkulacja ryzyka, że coś się wydarzy i do tego ryzyka dostosowuje się środki. Prawdopodobieństwo, że nastąpi pandemia, nie było duże. Czy w Europie przygotowujemy się np. na trzęsienie ziemi? – pyta dr hab. Grzegorz Gudzbeler z Katedry Bezpieczeństwa Wewnętrznego UW.

Jak podkreśla, żadne państwo nie zdecydowało się też, by już na samym początku zastosować bezwzględny i stuprocentowo skuteczny środek – wojskową kwarantannę wszystkich osób, które przybywały z rejonów, gdzie wystąpiły wypadki zakażenia koronawirusem, nawet jeśli nie miały żadnych objawów.

– W praktyce oznacza to, że przez okres inkubacji wirusa, nawet dwa tygodnie, mogły zakażać dużą liczbę osób – mówi.

Na dwutygodniową kwarantannę absolutnie wszystkich osób, które przybywają na jego terytorium, zdecydował się tylko Izrael. Turyści nie mają prawa udać się do hotelu. I jeśli nie udowodnią, że mogą się poddać kwarantannie w warunkach domowych, nie są wypuszczani z lotniska. Ale jest to też działanie trochę spóźnione – koronawirus został wcześniej zawleczony do Betlejem przez greckich turystów.

Znacznie łatwiej chronić terytorium swojego kraju, gdy ma się tak strzeżoną granicę lądową jak Izrael, trudno zaś, gdy tak jak Polska jest się w strefie Schengen.

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Wprowadzone przez polskie władze kontrole na granicach mogą spowolnić rozwój epidemii, choć go nie zatrzymają. Nikt nie ma zresztą złudzeń i rządzący mówią o tym otwarcie – gra toczy się właśnie o to, by nowych zakażeń nie przybywało lawinowo.

W walce z pandemią koronawirusa Polska podjęła radykalne rozwiązania – zamykanie szkół i uczelni nastąpiło znacznie szybciej niż w innych krajach.

– Trzeba kupować sobie czas, dbać o to, by epidemia nie osiągnęła u nas skali, w której sytuacja będzie trudna do opanowania. Ale należy się nastawić, że czekają nas trudne czasy i musimy myśleć o wszystkim w kategoriach maratonu, a nie sprintu – uważa dr Grzegorz Gudzbeler.

Można mieć nadzieję, że pandemia przygaśnie latem, jak to się dzieje z infekcjami wirusowymi. Jednak nie jest to oczywiste – jeśli wysoka temperatura miałaby zabijać koronawirusa, to dlaczego epidemia zaczyna się rozwijać w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, gdzie temperatury sięgają 30 stopni Celsjusza?

– Powiemy, że nie musimy się martwić dopiero, gdy zostanie opracowana szczepionka na koronawirusa albo skuteczna forma terapii – mówi epidemiolog prof. Andrzej Gładysz.

Szczepionka to kwestia kilkunastu miesięcy. A koronawirusa leczy się na razie tylko objawowo. – Można by zastosować eksperymentalną terapię, używać leków, które są zarejestrowane do leczenia innych chorób. Niektóre wydają się w tej sytuacji bardzo obiecujące. Jest jednak pewien problem – gdyby wydarzyło się jakieś nieszczęście, pacjent żądałby odszkodowania – przyznaje prof. Simon, ordynator oddziału zakaźnego we wrocławskim szpitalu.

> Należy się nastawić, że czekają nas trudne czasy i musimy myśleć o wszystkim w kategoriach maratonu, a nie sprintu – mówi dr hab. Grzegorz Gudzbeler z Katedry Bezpieczeństwa Wewnętrznego UW

ZAPASY PREPERSA

„Uprzejmie informujemy, że ze względu na ograniczenia w procesie produkcji tymczasowo wstrzymaliśmy przyjmowanie zamówień na Konserwy Prepersa" – takie ogłoszenie pojawiło się na internetowej stronie sklepu polskiego prepersa.

Prepersi to ludzie, którzy określają się jako osoby samowystarczalne, przygotowane na przetrwanie w najtrudniejszych sytuacjach, takich jak kataklizmy, wojny, a nawet niewytłumaczalne zjawiska, pod którą to nazwą kryje się np. epidemia zombie.

W sytuacji pandemii większość osób odkrywa w sobie naturę prepersa, co udowodniają pustoszejące w szybkim tempie półki w supermarketach. Kiedy pierwszy przypadek koronawirusa pojawił się w Polsce, zaobserwowano zwiększony popyt na makarony. Powstawały na ten temat memy, ale parę dni później niektórzy autorzy memów sami wybrali się na większe niż zwykle zakupy. Między paniką a racjonalnym działaniem jest cienka czerwona linia, którą łatwo przekroczyć.

– Każdy rzeczywiście powinien mieć pewien zapas żywności. Wyobraźmy sobie, że będziemy musieli przebyć kwarantannę lub zażąda się od nas samoizolacji. Oczywiście, zgodnie ze specjalną ustawą zaopatrzenie zapewnia wtedy wojewoda. Ale łatwo to zrobić, gdy chodzi o kwarantannę zbiorową, jak było np. w internacie w Policach. Trudniej, gdy w grę wchodzą kwarantanny domowe i będzie ich przybywać – uważa dr hab. Grzegorz Gudzbeler. Jak mówi, służby będą miały ręce pełne roboty i należy je odciążyć. Przyznaje też, że sam od dawna jest zabezpieczony na wypadek podobnej sytuacji.

Fot. Tomasz Jastrzebowski/REPORTER, Jakub Kaminski/EastNews

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Fot. Robert Stachnik / REPORTER

Zaczęliśmy żyć w nowej rzeczywistości, choć nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Nie można przewidzieć, jak będzie ona wyglądać, bo ciągle nie wiemy, jaki będzie zasięg pandemii.

– Nie można nawet stworzyć modelu komputerowego, symulacji, jak będzie wyglądać sytuacja, bo nie ma kluczowych danych. Wiemy za mało na temat samego wirusa, czy są czynniki, które zahamują jego rozprzestrzenianie – podkreśla Grzegorz Gudzbeler.

Pewną wskazówką może być sytuacja w krajach, w których epidemia zaczęła się wcześniej. Wszyscy śledzą, co dzieje się we Włoszech, gdzie w zastraszającym tempie rośnie liczba ofiar. Tę lekcję zapamiętają wszyscy – lekceważenie epidemii, niestosowanie się do wymogów kwarantanny, przyniosło katastrofalne skutki. To ciągle niedokończona historia, która kiedyś może trafić na karty podręczników.

ZAPOMNIANA EPIDEMIA

– Nie pamiętamy hiszpanki, która pochłonęła więcej istnień niż I wojna światowa. Przeprowadzone w 2018 r. ogólnopolskie badania socjologiczne pokazały, że Polkom i Polakom z epidemiami kojarzy się przede wszystkim HIV/AIDS, a potem długo, długo nic – mówi mi dr hab. Łukasz Afeltowicz, wykładowca AGH w Krakowie.

> Na szczęście koronawirus nie jest specjalnie zjadliwy, choć ma fatalną cechę, że jest bardzo zakaźny i szybko się rozprzestrzenia – zaznacza epidemiolog prof. Andrzej Gładysz

A przecież hiszpanka, wyjątkowo zjadliwa grypa, przez dwa lata pustoszyła świat.

– Właściwie w każdej rodzinie znalazłaby się jakaś cioteczna babcia, kuzynka dziadka czy pradziadka, która wtedy umarła. Milionami umierali ludzie młodzi, błyskawicznie. Po trzech dniach od infekcji następowała śmierć. To dziwne, że po stu latach o tej epidemii kompletnie zapomniano – przyznaje Albena Grabowska, lekarz i pisarka, autorka poczytnej książki „Stulecie Winnych", w której znalazł się motyw hiszpanki.

Jednak chociaż społeczeństwa zapomniały o hiszpance, to pamiętali o niej zawsze wirusolodzy, obawiając się, że podobna epidemia znów się zdarzy. WHO w 2009 r. podniosło alarm, ostrzegając przed pandemią świńskiej grypy, która miała być równie zabójcza jak hiszpanka.

– Na szczęście koronawirus nie jest specjalnie zjadliwy, choć ma fatalną cechę, że jest bardzo zakaźny i szybko się rozprzestrzenia – mówi epidemiolog prof. Andrzej Gładysz.

Historia hiszpanki może być dziś niepokojąca z jednego powodu – pierwsza fala epidemii nie była specjalnie groźna, dopiero druga okazała się zabójcza, bo wirus zmutował.

Nie wiadomo też, czy skala pandemii koronawirusa nie będzie równie wielka.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Kanclerz Angela Merkel zasiała ziarno niepokoju, kiedy stwierdziła, że z powodu koronawirusa zachoruje 60–70 proc. Niemców. Jeśli nawet większość przejdzie chorobę niegroźnie – jak twierdzi berliński wirusolog Christian Drosten – to i tak trudno sobie wyobrazić skutki społeczne, jakie to przyniesie.

– Kiedy ktoś dzisiaj mówi, że zwykła grypa jest groźniejsza niż koronawirus albo że powinniśmy się skupić na chorobach cywilizacyjnych, brzmi to niestosownie. Niektóre osoby będą się kiedyś wstydzić swoich wypowiedzi, bagatelizujących zagrożenie, czy zachowań, które narażają innych – mówi Albena Grabowska.

Jednak nie wszyscy się z tym zgadzają. Socjolog Łukasz Afeltowicz mówi o panice moralnej i instytucjonalnej, która ogarnęła polskie społeczeństwo. – Panika moralna polega na masowej reakcji społecznej na zagrożenie, która jest nieproporcjonalna do ryzyka. Wprowadziłbym też pojęcie paniki „instytucjonalnej", gdy impuls idzie z góry, a ludzie sugerują się działaniami instytucji. Czy jakiś polityk lub pracodawca może pozwolić sobie na to, by nie podjąć jakichś działań, nawet tylko symbolicznych, w obliczu pandemii? Istnieje szansa, że każdy taki gest zostanie zinterpretowany przez nas jak sygnał, że coś musi być na rzeczy i trzeba się bać – mówi Afeltowicz.

Nie spotkałam jednak ani jednego lekarza czy eksperta od zarządzania kryzysowego, który sądziłby, że działania związane z pandemią są przesadne i bać się nie należy. Podkreślają też, że lepiej zrobić za dużo niż za mało, by choć trochę spowolnić rozszerzanie się pandemii.

KTO SIĘ BĘDZIE ŚMIAŁ

– Proszę nie wierzyć, że przyjmowanie cynku może pomóc zwalczyć koronawirusa. Czy wyleczyła się pani cynkiem z grypy? – mówi prof. Krzysztof Simon, ordynator oddziału chorób zakaźnych w Wojewódzkim Szpitalu we Wrocławiu.

A jednak na portalach i w mediach społecznościowych krąży informacja, że właśnie ssanie tabletek z cynkiem ma zahamować namnażanie koronawirusa w gardle. To zalecenie ma rzekomo być przeciekiem z listu znanego wirusologa do przyjaciół.

Być może ma to równą wartość terapeutyczną jak okadzanie ziołami, stosowane przez wieki w wypadku epidemii, lub bicie w dzwony, by rozgonić morowe powietrze. Zawsze w podobnych wypadkach szukano przecież gorączkowo sposobów, jak przetrwać zarazę.

> Zaczęliśmy żyć w nowej rzeczywistości, choć nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Nie można przewidzieć, jak będzie ona wyglądać, bo ciągle nie wiemy, jaki będzie zasięg pandemii

– Gwałtowny wzrost pobożności, ruchy biczownicze, fundacje ołtarzy, obrazów wotywnych i kaplic, nieustające msze i procesje w intencji wygaśnięcia epidemii pojmowanej jako „Boska kara za grzechy". A równocześnie zachowania skrajnie inne, intensywne ucztowanie, licznie zawierane śluby, zgodne z zasadą „chwytaj dzień", bo przecież nie wiadomo było, czy dożyje się następnego – opowiada dr Jowita Jagla z Muzeum Mikołaja Kopernika we Fromborku, autorka prac o „świętych epidemicznych", do których modlono się w czasach „czarnej śmierci" pustoszącej średniowieczną i nowożytną Europę.

Jak mówi, kiedy zaczynała się epidemia, władze lokalne działały zawsze tak samo – wyrzucały z miasta włóczęgów, żebraków i innych „ludzi drogi", zamykały też bramy, nie wpuszczając obcych.

Nikt nie miał wprawdzie pojęcia o bakteriach i wirusach, jednak instynktownie rozumiano, że zamknięcie się stanowi szansę na przetrwanie.

– Kiedy zaczęto stosować kwarantannę, zdarzało się, że trzy pierwsze domy, w których pojawiła się zaraza, zamurowywano razem ze znajdującymi się tam ludźmi. Łudzono się, że tak skutecznie powstrzyma się zarazę – mówi dr Jagla.

W przerażeniu przed nagłą śmiercią potrafiono więc posunąć się bardzo daleko.

Wypływa z tego morał, a właściwie dwa. Po pierwsze: historia uczy, że izolacja przynosi najlepsze rezultaty. Tak jak było to w wypadku dżumy, czyli „czarnej śmierci", która wybiła jedną trzecią XIV-wiecznej Europy, ale oszczędziła Polskę, prawdopodobnie dlatego, że zamknęliśmy granice.

A po drugie – i to jest mało optymistyczne – sytuacja epidemii czy też pandemii nie sprzyja zachowaniom altruistycznym. Zależność jest prosta – im zagrożenie biologiczne jest większe, tym bardziej ludzie nie chcą ryzykować, pomagając innym.

Na szczęście koronawirus SARS-CoV-2 nie testuje nas tak bezlitośnie jak dżuma, więc wygląda na to, że można będzie liczyć na solidarność społeczną i gesty empatii. Sporo osób już zadeklarowało, że będzie pomagać starszym sąsiadom w zakupach, by ci – należący do grupy największego ryzyka – nie byli narażeni na zakażenie koronawirusem.

– Nie da się jednak przewidzieć wszystkich sytuacji. Owszem, można zrobić zakupy nawet osobie, która przechodzi kwarantannę i zostawić je na wycieraczce. Ale co, jeśli w takim domu jest pies? Jaki sąsiad będzie go wyprowadzał dwa razy dziennie, bojąc się, że na sierści może być koronawirus? – mówi jeden z moich rozmówców.

To wszystko, kiedy skończy się pandemia, może być materiałem na niejedną książkę lub serial. I jak mówi dowcip z gatunku czarnego humoru, który zawsze pojawia się w podobnych sytuacjach, za parę miesięcy będziemy się z tego wszyscy śmiać. Poza tymi, których już nie będzie.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Dobrze oceniam działania rządu

Zachowania polityków PO w czasie zagrożenia koronawirusem przypominają łamanie wioseł we wspólnej łódce, na której płyniemy – mówi Marek Balicki, były minister zdrowia w rządach SLD, pełnomocnik ministra zdrowia ds. reformy w psychiatrii, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Zamknięte szkoły i teatry, odwołane imprezy masowe. Mieliśmy porozmawiać w Sejmie, ale nie wpuszczono pana. Premier Gliński zaleca, by zamiast podania dłoni stykać się łokciem. Trochę się uśmiechamy, ale sytuacja jest poważna.

Marek Balicki: Myślę, że rządzący skutecznie wyjaśnili, dlaczego podejmują takie, a nie inne działania. Cel jest jasny – jak największe zahamowanie rozprzestrzenienia się wirusa. Rozmawiamy w momencie, gdy mamy kilkadziesiąt przypadków zakażenia, ale nie mamy szczepionki i pewnie w tym roku nie będziemy jej mieć, nie mamy lekarstwa, możemy stosować tylko leczenie objawowe. Nawet jeśli ktoś określa te działania jako nieco na wyrost, to są one dzisiaj racjonalne i rozsądne.



W pana ocenie jesteśmy jako państwo przygotowani na tego rodzaju zagrożenie?

Na razie wydaje się, że wszystko jest pod kontrolą. Natomiast ostateczny sukces będzie zależał nie tylko od tego, jakie procedury i działania podejmą władze (a te czynione są zgodne z zaleceniami ekspertów i na podstawie doświadczeń innych krajów), lecz również od dwóch innych aspektów.

Jakich?

Pierwszy to zachowanie nas wszystkich. Od tego, na jaką skalę będziemy dostosowywać się do zaleceń władz, ekspertów, inspektorów sanitarnych, będzie zależało naprawdę dużo. Druga sprawa to czynnik ludzki w służbach i na najniższym poziomie opieki zdrowotnej. W ten proces zaangażowane są przecież tysiące ludzi, więc nikt nie może zaręczyć, że nie znajdą się przypadki nieprzestrzegania wytycznych.

Brak profesjonalizmu?

Tak, ale nawet w Niemczech, gdzie poczucie porządku i prawa jest większe, zdarzyły się takie historie. Nie mówiąc o Włoszech, na których początkowe reakcje spuśćmy kurtynę milczenia.

Damy radę?

Mam większą pewność co do służb i tych instytucji, które sterowane są centralnie, natomiast placówki zdrowotne są zdecentralizowane. Szpitale i POZ są w rękach wielu podmiotów: najczęściej to samorządy albo prywatne podmioty. Rząd ma tutaj ograniczone możliwości wpływu. Dla przykładu: Agencja Rezerw Materiałowych nie jest od tego, żeby jeden czy drugi szpital miał odpowiednią liczbę zwykłych masek chirurgicznych.

Na poziomie teorii rozumiem, na poziomie praktyki boję się tylko, że gdy przyjdzie kryzys, zacznie się typowa spychologia odpowiedzialności.

Myślę, że takich zachowań będzie mniej przy ewentualnym wzroście zagrożenia. Gdy problem staje się bardziej realny, staramy się jednoczyć. Dobrze pokazał to przykład Rady Bezpieczeństwa Narodowego: przed RBN politycy

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Fot. Andrzej Wiktor

opozycji byli nastawieni bojowo, a już po rozmowie odnotowałem zauważalne uspokojenie. Zwracam też uwagę na kuriozalne opinie niektórych osób publicznych.

Jak np. redaktora Kuźniara, który wypalił na Twitterze, że on pił niedawno kawę od włoskiego baristy i obaj żyją. Trochę na zasadzie tezy, według której mamy 30 mln piłkarskich trenerów nad Wisłą i każdy wie lepiej, jak powinna grać reprezentacja.

A na służbie zdrowia zna się pewnie jeszcze więcej osób. Powtarzam: większym zagrożeniem niż sam wirus jest panika i nierozważne wypowiedzi. Jestem sternikiem jachtowym, więc odwołam się do tej sfery: wyobraźmy sobie sytuację, w której na morzu zaczyna się burza – mamy kapitana na pokładzie, który wydaje polecenia, a efekt jest taki, że ktoś na lewej burcie mówi, że zrobiłby to inaczej, inny przy maszcie, że trzeba poczekać, a ludzie przy wiosłach, że oni zrobili szybciej. Tak się nie da.

Krótko mówiąc: sprawne państwo. Rząd na razie zdaje egzamin?

Tak. Oceniam dobrze działania rządu, z jednostkami samorządu jest różnie, ale mamy 380 powiatów, więc ludzie (a co za tym idzie reakcje) są różni. Informacja i komunikacja są niezłe, ale być może trzeba bardziej wykorzystać kanał telewizyjny do pokazania tego, jakie są procedury, zejść z ogólnych zaleceń na poziom niżej, by wpływać na zachowania tego słabego ogniwa, jakim bywa czynnik ludzki. Być może sprawa koronawirusa stanie się też przesłanką do głębszej oceny dotyczącej urynkowienia sektora usług zdrowotnych, a także do krytycznej oceny tego, że zdecentralizowaliśmy państwo w ochronie zdrowia tak mocno, że instytucje lokalne stają się małymi okrętami. Ale to już chyba dyskusja po wygaszeniu problemu koronawirusa.

A z samym koronawirusem? Mogliśmy się tego spodziewać?

Jeśli chodzi o zagrożenie pandemią, to istnieje ono od wielu lat. I Światowa Organizacja Zdrowia, i eksperci opierali się na tezie, że ona nastąpi nieuchronnie: i pytaniem było nie czy, lecz kiedy. Mieliśmy wcześniej SARS, świńską grypę, ptasią grypę, ebolę. Wszystko to było mniejszym lub większym testem dla naszej opieki zdrowotnej: mieliśmy przecież i momenty, gdzie oddziały intensywnej terapii były zapchane – tak działo się przy świńskiej grypie.

Ale tylu emocji i takiego lęku nie było.

Przy świńskiej grypie uspokajał wyraz „grypa", który znaliśmy na co dzień. A dziś to nowy wirus. I z jednej strony nie jest zaskoczeniem dla ekspertów, ale w społecznym odbiorze jest to coś nieznanego. A przecież i z innych dziedzin życia wiemy, że jeśli jest coś nieznanego, to przynosi to więcej lęku i niepokoju.

Argument o grypie wraca często: że nie ma się co przejmować i nakręcać, że grypa co roku zbiera swoje żniwo z zarażonymi i ofiarami, że też ma mutacje, że też szukamy szczepionek.

Odpowiedzią są umiar i zdrowy rozsądek. Ale nie w tym sensie, że „ja wiem swoje", tylko w tym, by nie przesadzać w zwykłych aktywnościach i stosować się do wytycznych władz. Jeśli te wytyczne będą stosowane przez 95–99 proc. z nas, to przyniosą rezultat. Efekt zawsze będzie dotyczył skali. Nie powiększajmy jednak strachu.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Ale jak nie mówić o strachu, gdy zamykane są szkoły, stadiony, biblioteki?

Nie trzeba podkręcać atmosfery. W wypowiedziach moich kolegów lekarzy należy baczyć na słowa: tak jak gdybyśmy rozmawiali z pacjentem w gabinecie. Trudną dla pacjenta informację możemy przecież podać tak, że będzie dodatkowym źródłem niepokoju, ale możemy też go uspokoić i dać poczucie bezpieczeństwa. Nie chodzi też o bagatelizowanie. Ta łódź będzie płynąć prawidłowym kursem, jeśli każdy z nas będzie pracował przy swoich wiosłach.

To tyle koledzy lekarze. A koledzy politycy?

Krytyka ewidentnych rzeczy, gdy władza czegoś nie robi, a powinna, jest czymś normalnym. Ale tego nie było. Opozycja, zwłaszcza ta spod znaku PO-KO, odwołała się do ogólnych sformułowań: że mamy chaos, bałagan, tajne laboratoria i ukrywanie informacji. A przecież Platforma rządziła nie tak dawno osiem lat i sama dobrze wie, ile w tym czasie zlikwidowano łóżek na oddziałach zakaźnych. A ten słynny wpis na Twitterze...

Przypomnijmy. Chodzi o wpisy Małgorzaty Kidawy-Błońskiej sugerujące ukrywanie czegoś przez rząd. I wpis Jacka Rostowskiego – oskarżający wprost rząd o manipulacje przy koronawirusie.

Tak. Głównonurtowa partia, przedstawiająca się jako odpowiedzialna, dbająca o państwo, nagle sieje tak absurdalne teorie spiskowe?! Nie mogłem w to uwierzyć. To nieodpowiedzialny cynizm.

Stanę w roli adwokata diabła: może to skrajny brak zaufania do państwa?

Używanie wielkich kwantyfikatorów i uogólnień jeszcze to przecież pogłębia. Jak w trakcie kłótni małżonków, gdy pojawiają się sformułowania „zawsze" i „nigdy" – z tego nie ma nic dobrego. I gdyby opozycja wskazała konkretne i rzeczowe aspekty do krytyki – nie ma problemu. Ale ogólne sformułowania, niczym nieudokumentowane, zwiększają tylko niepokój i powodują trzęsienie łódką. Wracając do naszego porównania: to łamanie wioseł w tej łódce, która płynie dzięki nim.

Skoro o polityce mówimy, nie dzwonią czasem pana koledzy z lewicy z prośbą: „Marku, wróć".

Jeszcze niedawno dzwonili. Teraz na szczęście, gdy zająłem się reformą psychiatrii, mam spokój.

Wielu może mieć dysonans poznawczy. Były minister zdrowia w rządach Marka Belki i Leszka Millera, zwolennik aborcji i in vitro w ekipie Mateusza Morawieckiego.

Nie mam z tym problemu. Jeśli skupiamy się na konkretnych zadaniach, to wtedy liczą się tylko konkrety. A jeśli ktoś, jak ja, ma żyłkę obywatelską, która zresztą pojawiła się już ponad 40 lat temu, to trudno się zupełnie wyłączyć. Mogę się odwołać do tego, że gdy jeszcze byłem w Solidarności, to w zarządzie gdańskim poznaliśmy się z Lechem Kaczyńskim, i wtedy, i dziś konkret i wartości miały większe znaczenie.

Wartości?

Wspólnotowość, a nie nieokiełznany liberalizm. Sprawiedliwość społeczna i wyrównywanie nierówności, wspieranie słabszych. Wszystko to można odnaleźć nie tylko w rządach lewicy – które zresztą czasem były zbyt liberalne – ale i PiS. Od początku transformacji zapędziliśmy się, wykluczając pewne grupy społeczne na margines. Program 500+ w pewnym stopniu to wyrównuje. Dla szerokich grup społecznych okazało się to niezwykle ważne. Nie możemy żyć wyłącznie w nurcie myślenia – zysk ponad wszystko i z perspektywą klasy średniej, spora część elit oderwała się od problemów tych grup, które wyrzucone zostały gdzieś na aut.

> Zwracam tu uwagę na kuriozalne opinie niektórych osób publicznych. I powtarzam: większym zagrożeniem niż sam wirus jest panika i nierozważne wypowiedzi

A demokracja? Praworządność? Nie przemawiają do pana te argumenty?

Jeśli chodzi o wolności obywatelskie, nie widzę żadnych zagrożeń. A patrząc na stosunki w Europie Zachodniej, wolność manifestowania na ulicy, jesteśmy nawet w awangardzie. Jeśli zaś chodzi o system, to niewątpliwie potrzebne jest coś więcej: znalezienie bazy do konsensu. To, co dzieje się po obu stronach, jest destrukcyjne. Widzę destrukcyjne działania sędziów, ale i pójście na pełne zwarcie przez polityków nie jest bezpieczne przy budowaniu spójności społecznej. Nie ma tu jednak sytuacji czarno-białej, zero-jedynkowej.

I tak wylądował pan jako człowiek od reformy psychiatrii.

Tak. Projekt o narodowym programie ochrony zdrowia psychicznego przygotowaliśmy jeszcze wiosną roku 2005, gdy byłem ministrem zdrowia. Minister Religa to przejął i ówczesny rząd PiS skierował ustawę do Sejmu w 2007 r., już po wyborach. Uchwalił ją prawie jednogłośnie Sejm za czasów PO. Panowała więc zgoda ponad podziałami. Później były długie lata Platformy, ministrowie Kopacz i Arłukowicz. Od 2008 do 2015 r. nic się nie działo. Dopiero w końcówce rządów PO coś drgnęło, gdy minister Zembala przeciwstawił się likwidacji tego programu. A później podnieśli ten temat ministrowie Radziwiłł i Szumowski. Chodziliśmy także w czasach PO do Ministerstwa Zdrowia, by zwrócić uwagę na konieczne reformy w psychiatrii. Dziś znalazł się taki rząd, otworzył furtkę do działania, dlaczego więc miałbym nie współpracować, skoro od lat o to zabiegam?

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Europa pod presją

W obliczu kryzysu spowodowanego szybko rozprzestrzeniającą się zarazą kruszeją stare przyjaźnie i – zdawałoby się – stabilne sojusze. Choć skutki tej epidemii są trudne do przewidzenia, to wydaje się, że pierwszy raz od wielu lat Polska jest w lepszej sytuacji niźli wielu naszych partnerów z Unii Europejskiej



MAREK BUDZISZ

Brytyjska minister zdrowia Nadine Dorries zaraziła się koronawirusem i poinformowała, za pośrednictwem mediów, że rozpoczyna kwarantannę. Problem w tym, że – jak pisze „The Telegraph" – w czasie ostatnich pięciu dni (brytyjscy naukowcy przyjmują, że tyle czasu upływa od momentu, kiedy zainfekowana osoba, rozsiewając już wirusy i zarażając innych, zaczyna czuć, że jest chora) spotykała się z premierem Johnsonem, pracowała w parlamencie, Ministerstwie Zdrowia i brytyjskim odpowiedniku NFZ. Czy to oznacza, że Wielka Brytania, a przynajmniej jej władze powinny się odizolować od świata?

Epidemia, a może panika przez nią wywołana, dotyka także bezpieczeństwa Zachodu. Trwające właśnie ćwiczenia wojskowe w północnej Finlandii, w których uczestniczą oddziały z państw NATO (w tym z Polski) oraz ze Szwecji i gospodarzy, są znacznie utrudnione, bo – jak poinformowano – 850 żołnierzy sił zbrojnych Finlandii, czyli wszyscy znajdujący się w bazie Skjold, kluczowej do ich przeprowadzenia, zostało właśnie poddanych kwarantannie z powodu koronawirusa.

Generał Jarosław Mika, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, po powrocie z narady dowódców wojskowych państw NATO w niemieckim Wiesbaden poczuł się gorzej i jak się okazało, tam właśnie zarażony został koronawirusem. Czy to oznacza, że europejskie państwa NATO właśnie utraciły dowództwa swych sił lądowych? Salvatore Farina, szef sztabu armii włoskiej, już rozpoczął kwarantannę po tym, jak kilka dni wcześniej stwierdzono u niego infekcję.

W mediach pojawiają się też informacje o ogniskach zarazy w unijnej administracji w Brukseli, która jak na epidemię mogącą się lada moment przekształcić – zdaniem specjalistów z WHO – w pandemię, wykazuje zastanawiającą pasywność. Komisja Europejska, aspirująca do regulowania takich sfer życia państw członkowskich, do jakich nie ma traktatowych upoważnień, w kwestii epidemii, która rozlewa się w Europie, wykazuje zadziwiającą powściągliwość.

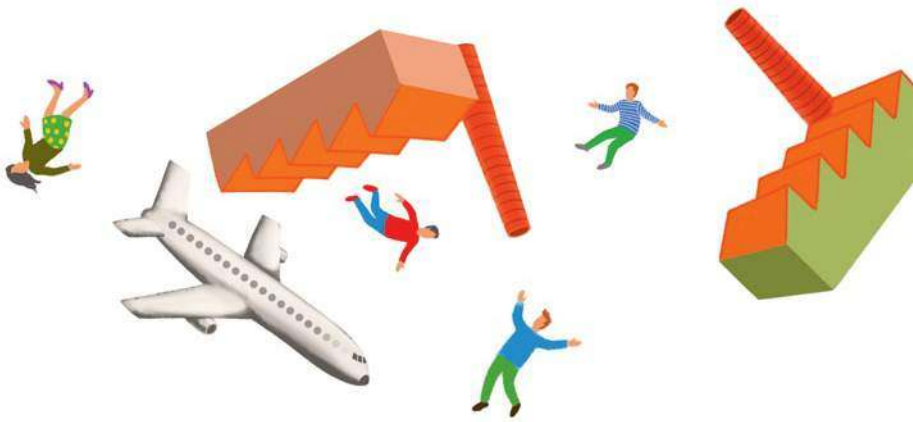
KIEDY MIĘDZYNARODÓWKA NIE DZIAŁA

Bezczynność Komisji Europejskiej jest kolejnym dowodem na to, że państwa, a nie organizacje międzynarodowe, będą musiały radzić sobie z wyzwaniem, jakie tworzy COVID-19. Wydaje się, że jest to pierwsza, może jeszcze nieuświadamiana, ale fundamentalna lekcja, jaką pobierają właśnie społeczeństwa europejskie. To państwa, a nie międzynarodowe organizacje, nawet o najbardziej rozdętym ego, muszą dziś i będą musiały w przyszłości radzić sobie w trudnych sytuacjach, których w najbliższych latach na świecie nie zabraknie. To jest znak czasów.

Do symbolu niewydolności instytucji międzynarodowych urasta film, który obiegł już całą sieć, przedstawiający spotkanie delegacji Światowej Organizacji Zdrowia z przedstawicielami Chin, poświęcone kwestiom walki z epidemią.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Tylko że reprezentant tej organizacji bardziej niźli słuchaniem nudnych raportów i naukowych sprawozdań o szalejącej epidemii zainteresowany był gładzeniem po plecach siedzącej obok i chwilowo niezabierającej głosu urodziwej delegatki z Chin.

To konkretne rządy i równie konkretne społeczeństwa, a nie nieuchwytna społeczność międzynarodowa muszą radzić sobie z rozprzestrzenianiem się wirusa, epidemią i paniką, jaką w dużej mierze wywołują media. I radzą sobie bardzo różnie. Iran bardzo źle, Włochy niewiele lepiej, podobnie Ukraina, dużo lepiej jest w Chinach, oraz, co uznać trzeba za znak czasów, w państwach naszej części Europy.

Wydaje się, że pandemia koronawirusa stanowi szczególnego rodzaju strestest siły państw, zarówno gospodarczej, jak i politycznej, a może przede wszystkim społecznej. Tam gdzie widoczny jest brak zaufania zwykłych obywateli do elit własnego państwa, mamy do czynienia albo ze sprzeciwem wobec zapowiedzianych środków mających blokować rozprzestrzenianie się wirusa, tak jak to miało miejsce na Ukrainie, albo z jego sabotowaniem, co można było zauważyć w Italii i dlatego doprowadziło do przekształcenia tego kraju w europejskie epicentrum epidemii.

Na naszych oczach frazesy zwolenników globalizacji i budowania ponadnarodowych instytucji rozsypują się niczym domki z kart. Wszędzie liczyć się zaczyna sprawność własnego państwa i interes własnego społeczeństwa, nawet w tak, wydawałoby się, drobnych sprawach, jak możliwość zaopatrywania się w maseczki ochronne. Bo nawet Niemcy, „ostatnia nadzieja" liberalnego świata, jak na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa komplementowana była kanclerz Merkel, wprowadziły zakaz eksportu masek, rękawic ochronnych i kombinezonów. W imię wolnego rynku i w ramach poparcia globalizacji?

KRUSZEJĄ GOSPODARCZE SOJUSZE

Jak się wydaje, również na własną rękę państwa dotknięte epidemią będą musiały poradzić sobie z gospodarczymi skutkami COVID-19. A będą one znacznie bardziej dolegliwe niźli medyczny wymiar tego, co się dzieje. Chiny pierwszy raz od dekad zanotowały w lutym deficyt w handlu zagranicznym. Tamtejsza gospodarka zwolniła na tyle, że zakupy ropy naftowej spadły o 3,6 mln baryłek na dobę. Utrzymywanie porozumienia państw OPEC z Rosją i Kazachstanem, które w ciągu ostatnich trzech lat pozwalało stabilizować ceny, okazało się w związku z tym niemożliwe. Efektem jest wojna cenowa na rynku ropy i walka o zajęcie możliwie dobrej pozycji. Arabia Saudyjska, Rosja, Nigeria już zapowiedziały zwiększenie wydobycia i znaczące, przekraczające nawet 10 dol. na baryłkę rabaty cenowe, byle tylko utrzymać się na rynku. Zdaniem analityków ceny na poziomie poniżej 40 dol. za baryłkę utrzymają się jeszcze przez długie miesiące, a może nawet nigdy nie wzrosną do poziomu sprzed załamania. A to musi wywołać kryzys, również polityczny, w państwach uzależnionych od eksportu tego surowca. Na rynkach innych surowców nie jest też zresztą lepiej.

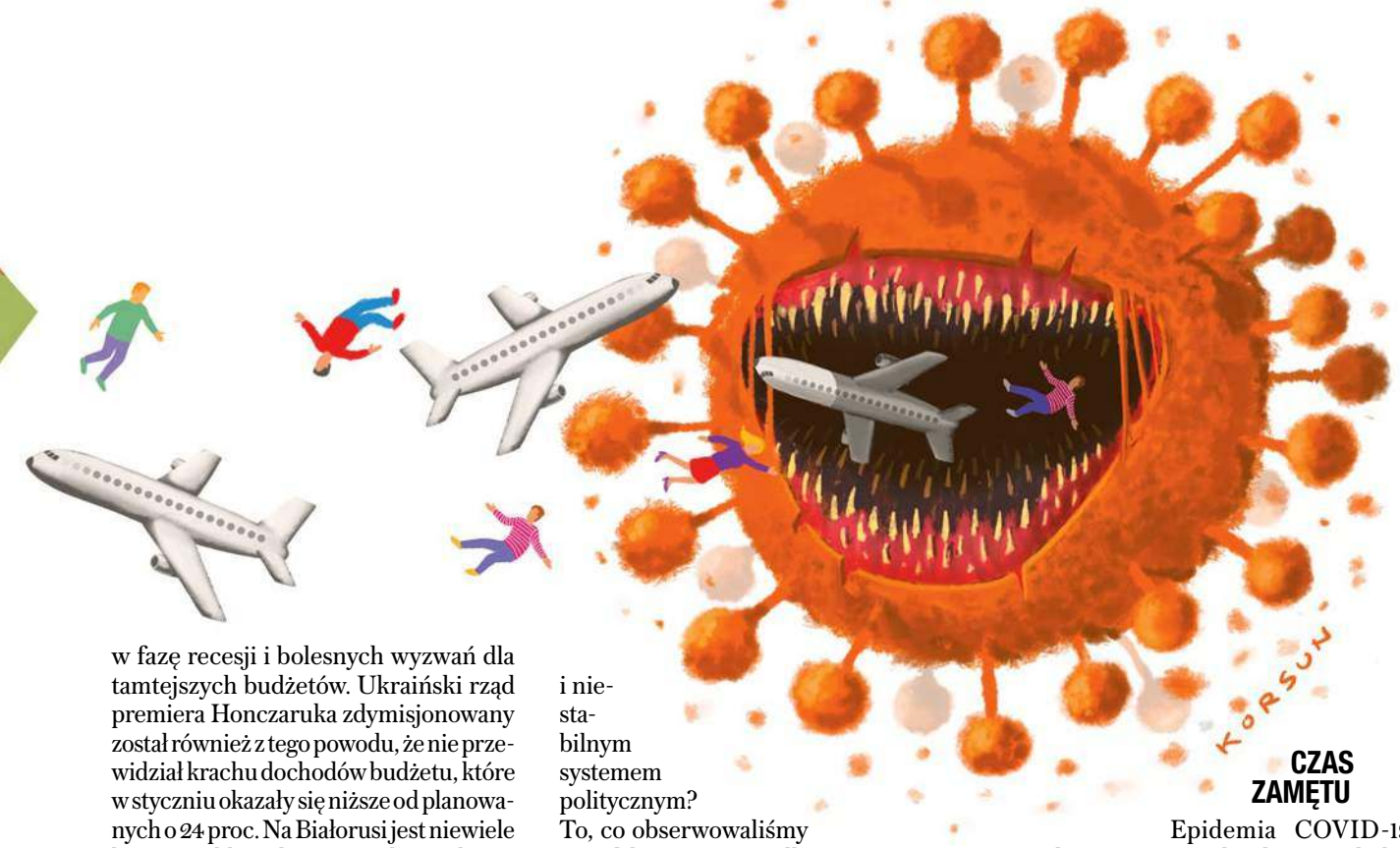
> Bezczynność Komisji Europejskiej jest dowodem na to, że państwa, a nie organizacje międzynarodowe, będą musiały radzić sobie z wyzwaniem, jakie tworzy COVID-19. I tylko silne państwa mogą stawić czoła temu zadaniu

W obliczu tej sytuacji kruszeją stare przyjaźnie i – zdawałoby się – stabilne sojusze, a pojawiają się pokusy, aby trudną sytuację wykorzystać do własnych celów. Jednym z motywów storpedowania przez Moskwę porozumienia cenowego z OPEC jest chęć finansowego „uduszenia" amerykańskiego sektora wydobycia ropy szczelinowej, który zadłużony jest dziś na poziomie 90 mld dol., i spadek cen eksportowanego przezeń surowca jest ostatnią informacją, jaką chciałyby usłyszeć finansujące tę gałąź amerykańskiej gospodarki banki. Zdaniem rosyjskich ekspertów krok, na jaki zdecydowała się Moskwa, jest też wymierzony w amerykański system polityczny, bo większość firm wydobywających ropę szczelinową działa w Teksasie i Dakocie Południowej – dwóch kluczowych dla perspektyw wyborczego sukcesu Donalda Trumpa amerykańskich stanach.

POLITYCZNE ZAWIROWANIA

Kryzys na rynku surowcowym oraz panika związana z epidemią już wywołały turbulencje na rynkach walutowych. Inwestorzy w mniejszym stopniu szukają okazji do wielkich zysków, a bardziej interesują się bezpieczeństwem lokat. My na tym na razie korzystamy, obserwując znaczący wzrost zainteresowania obligacjami emitowanymi przez polski rząd, ale już takie kraje jak Białoruś czy Ukraina zaczynają wchodzić

eprasa.pl 0d79d6c8e0



w fazę recesji i bolesnych wyzwań dla tamtejszych budżetów. Ukraiński rząd premiera Honczaruka zdymisjonowany został również z tego powodu, że nie przewidział krachu dochodów budżetu, które w styczniu okazały się niższe od planowanych o 24 proc. Na Białorusi jest niewiele lepiej. W obliczu kryzysu Łukaszenka już wprowadził cięcia wypłat dla sfery budżetowej, czego nie robi się ot tak sobie, zwłaszcza kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi. Obydwa kraje, do tej pory finansujące swe potrzeby zaciąganiem pożyczek na rynkach finansowych, już zaczynają odczuwać problemy ze sprzedażą nowych emisji.

W podobnej sytuacji niedługo mogą się znaleźć Włochy, których dług publiczny przekracza 137 proc. PKB, a rządowe papiery dłużne już od miesięcy uznawane są za ryzykowne. Gdyby brać tylko pod uwagę spadek zysków z turystyki (a stoi przecież cały kraj), które tamtejszej gospodarce, według danych Światowej Organizacji Turystyki, przyniosły w 2018 r. 8 proc. dochodów z eksportu, a w przeliczeniu na pieniądze 49 mld dol. wskazuje, że recesja jest nieuchronna. Podobnie w sąsiedniej Francji (65 mld dol.) czy Hiszpanii (81,5 mld) załamanie się ruchu turystycznego oznacza kryzys, i to bardzo głęboki.

Polityczne konsekwencje tego, co się dzieje, są nieuchronne. Na wschód od naszych granic może powstać strefa społecznej i politycznej destabilizacji. Czy rządy Białorusi i Ukrainy sprostają narastającym wyzwaniom? Czy agresywny sąsiad ze Wschodu oprze się pokusie wykorzystania tej okazji? A południe Europy, które i tak już od lat boryka się ze słabym wzrostem gospodarki, wielkim bezrobociem, zwłaszcza wśród ludzi młodych, i niestabilnym systemem politycznym? To, co obserwowaliśmy przed laty w przypadku Grecji, teraz może powrócić, ale w zwielokrotnionym wymiarze, bo prócz Grecji (dług na poziomie 178 proc. PKB) kryzys ogarnie w tym samym czasie Hiszpanię, Włochy, a niewykluczone, że również Francję.

Paradoksalnie, głównie z psychologicznego punktu widzenia, siła chińskiego projektu Pasa i Szlaku ulegnie znacznemu osłabieniu, a to Włochy z grona państw europejskich były chyba najbardziej zaangażowane w rozwój współpracy z Państwem Środka. Już skruszeniu ulegają tradycyjne i – zdawałoby się – dobrze funkcjonujące do tej pory porozumienia i sojusze. Rosyjski Gazprom właśnie zamknął gazociąg Siła Syberii, którego budowa kosztowała Rosję, według różnych szacunków, od 50 do 80 mld dol. Powód jest prosty, chińscy odbiorcy przestali, powołując się na „siłę wyższą", kupować rosyjski gaz. Ale po trosze jest to też reakcja na decyzję rosyjskiego rządu, który bardzo szybko, już w lutym, postanowił o zamknięciu całej, liczącej 4250 km, granicy z Chinami. A władze Moskwy, nie zwracając uwagi na niezliczone deklaracje o przyjaźni i strategicznym partnerstwie, wydały polecenie, aby kierowcy środków komunikacji miejskiej informowali o ludziach z „chińskimi rysami twarzy" po to, aby można ich było wyłapywać i umieszczać w przymusowej kwarantannie. Spotkało się to zresztą z gniewną reakcją ambasady Chin.

CZAS ZAMĘTU

Epidemia COVID-19 jest dziś wyzwaniem bardziej psychologicznej – a co za tym idzie – politycznej i gospodarczej natury niźli problemem medycznym. Dzieje się tak dlatego, że świat już od jakiegoś czasu oczekiwał wydarzenia, które niczym katalizator przyspieszy ledwie rysujące się procesy. Ludzie i rządy przeczuwali, że „zmienia się postać świata" i zareagowali w zgodzie z tymi nie zawsze zwerbalizowanymi obawami. Harmonijny porządek epoki globalizacji, w którym rządzą wspólne zasady i stojące na ich straży instytucje, a każdy korzysta na wymianie handlowej, właśnie odchodzi na naszych oczach do przeszłości. Teraz będą się liczyły partykularne interesy i sprawność elit państwowych w ich gwarantowaniu. Będzie to nie tylko czas zamętu, a w niektórych częściach świata nawet chaosu, lecz również kształtowania się nowej hierarchii wpływów i międzynarodowej pozycji. Te społeczeństwa, które nie poddadzą się panice i będą w stanie działać na rzecz dobra wspólnego rozumianego jako pomyślność własnego państwa, wyjdą z tej próby wzmocnione.

Polska jest paradoksalnie w dobrej sytuacji. Gospodarka jest zdrowa, administracja sprawna, a elity władzy cieszą się stabilnym, jak na demokrację, zaufaniem społeczeństwa. Wydaje się, że pierwszy raz od wielu lat jesteśmy w lepszej sytuacji niźli wielu naszych partnerów z Unii Europejskiej.

eprasa.pl 0d79d6c8e0



KORESPONDENCJA Z JAPONII

Tokio w koronie

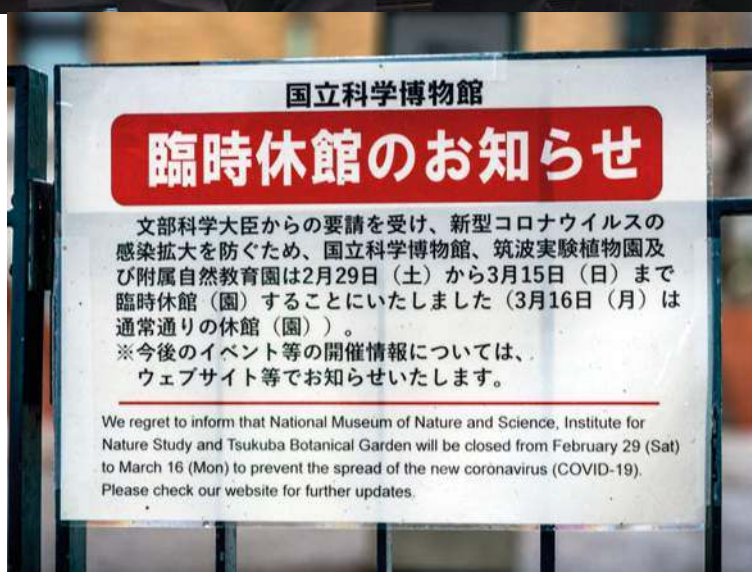
Gdy dwa lata temu odwiedziłem Tokio, stolica Japonii wyglądała, a przede wszystkim funkcjonowała, zdecydowanie inaczej. Radykalne zmiany wymusiła epidemia koronawirusa

O tym, że pobyt w Japonii w czasie rozprzestrzeniającego się na całym świecie koronawirusa, będzie wyglądał inaczej niż za poprzednim razem, mogłem się przekonać na pokładzie lotowskiego dreamlinera, a właściwie już na lotnisku Okęcie. Obsługa portu weryfikuje podróżnych udających się do Kraju Kwitnącej Wiśni. Każdy, kto w ostatnich dwóch tygodniach przebywał w Chinach lub Korei, nie jest wpuszczany na pokład samolotu. Japonia wprowadziła zakaz wjazdu dla wszystkich, którzy niedawno byli w jednym z tych krajów.

Podczas rejsu wszystkie stewardesy i stewardzi używali lateksowych rękawiczek, niektórzy również maseczek higienicznych. Blisko połowa miejsc była pusta, a podróżni to w ogromnej większości Japończycy wracający do ojczyzny. Dwa lata temu wolnych foteli było tylko kilka. Tym razem wszyscy pasażerowie zostali zobowiązani do wypełnienia – oprócz deklaracji celnej – dwóch ankiet dotyczących stanu zdrowia i niedawnych podróży.

Pokonując korytarze prowadzące do kontroli granicznej na podtokijskim lotnisku Narita, zauważam dyskretnie ustawioną kamerę termowizyjną. Obsługująca ją Japonka (jak wszyscy pracownicy portu miała rękawiczki i maseczkę ochronną) bacznym okiem sprawdza, czy którykolwiek z podróżnych nie ma zbyt wysokiej temperatury.

Docieram do Tokio. Wielomilionowa metropolia się zmieniła. Na ulicach spotykam znacznie mniej ludzi niż poprzednio. Ponad połowa osób nosi maseczki, przedtem używała ich może jedna dziesiąta. Koronawirus znacznie ograniczył ruch turystyczny, niemal nie spotykam cudzoziemców. Planowałem pójście do kilku muzeów – wszystkie są zamknięte z powodu epidemii. Wraz z upływem czasu z planu wypadają kolejne punkty: zoo, teatr kabuki, kino – nieczynne z powodu koronawirusa. Przewodniczka oprowadzająca po Pałacu Cesarskim mówi o licznych odwołaniach rezerwacji na jej wycieczki oraz o wprowadzonym w Japonii zakazie zgromadzeń publicznych.



Od spotkanych w parku Yoyogi młodych ludzi dowiaduję się, że wszystkie tutejsze szkoły są zamknięte przynajmniej do końca marca. W wielu miejscach dostępne są płyny do dezynsekcji – stoją m.in. w sklepach, urzędach i hotelach, wielokrotnie z nich korzystam. Sklepy są pełne towarów, ale maseczek przez kilka dni nie znalazłem. Tam gdzie powinny leżeć, półki są puste. Z drugiej strony Japończycy są dobrze w nie zaopatrzeni. Co zrozumiałe – używa ich prawie każdy taksówkarz, choć kucharze w licznych barach i restauracjach nie korzystają z nich już tak chętnie. Oczywiście mają je również policjanci i pracownicy kolei. W pociągach, poza godzinami szczytu, nie ma zbyt wielu osób. Ludzie, jeżeli nie muszą, nie opuszczają swoich domów. Tak jak tokijczycy unikam dotykania poręczy i uchwytów w miejscach publicznych.

Nie widać jakichkolwiek objawów paniki, choć zarażeń (639) i przede wszystkich zgonów (15) z powodu koronawirusa w Japonii było znacznie więcej niż w Polsce. Wszystko sprawia wrażenie pozostawania pod pełną kontrolą. Zdyscyplinowani Japończycy przestrzegają rządowych ograniczeń i zasad higieny. Z kryzysu spowodowanego epidemią wyjdą wzmocnieni. Na pewno.

z Tokio Andrzej Skwarczyński

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Fot. AP Photo / Andrew Medichini

KORESPONDENCJA Z WŁOCH

Rzym bez mszy

Rzym w ostatnich dniach zmienił się nie do poznania. Przypomina wymarłe miasto. Opustoszałe ulice, puste place, zasunięte rolety w witrynach sklepów. Zamknięte szkoły, uczelnie, kina, teatry. Bary, kawiarnie i restauracje czynne tylko do godz. 18, a mimo to świecące pustkami. Trudno wjechać do miasta i z niego wyjechać, ponieważ ruch po kraju został ograniczony. Na rogatkach stoją patrole karabinierów, którzy kontrolują przejeżdżające samochody.

Mieszkańcy całymi dniami siedzą zamknięci w domach. Gdzieniegdzie przemykają tylko pojedynczy ludzie, zazwyczaj w maseczkach na twarzy. Zaopatrzeni są w pisemne zaświadczenia, na których widnieje powód, dla którego wyszli z mieszkania. Przemieszczać można się tylko w ważnych sprawach zawodowych, rodzinnych lub zdrowotnych. Ci, którzy idą do pracy, mają specjalny certyfikat. Ci, którzy udają się do pobliskiego sklepu spożywczego lub apteki, mogą sami wypełnić formularz ściągnięty z internetu. Muszą napisać na nim adres swojego domu i miejsca docelowego. Chodzi o to, by pokazać taką przepustkę napotkanym policjantom, unikając z nimi rozmowy i ograniczając się do okazania pisma.

Przed otwartymi aptekami i sklepikami stoją kolejki, w których klienci przestrzegają zasad bezpieczeństwa. We wnętrzu przebywa zazwyczaj tylko jeden kupujący, reszta zaś czeka na zewnątrz, oddalona od siebie w odstępach 1–2 metrów.

Jeszcze w pierwszym tygodniu marca wszystko wyglądało inaczej. Rzymskie place i bulwary tętniły życiem. Jak grom z jasnego nieba spadła wtedy wiadomość, że episkopat Włoch zgodził się na zawieszenie do 3 kwietnia mszy, chrztów i pogrzebów. Była to odpowiedź na zarządzenie władz zakazujące organizowania „ceremonii religijnych". Wśród wielu katolików pojawiła się jednak wątpliwość, czy Eucharystię można zaliczyć do „ceremonii religijnych" i czy biskupi zbyt łatwo nie ustąpili przed żądaniami państwa.

W takim duchu wypowiedział się m.in. na łamach „Corriere della Sera" założyciel niezwykle dziś wpływowej Wspólnoty św. Idziego prof. Andrea Riccardi. Napisał on: „Kościoły we Włoszech nie są południowokoreańskimi sektami, w których modlimy się, dysząc i trzymając się za ręce, a gdy dochodzi do zarażenia, to trzymamy to w tajemnicy".

Znany publicysta katolicki Riccardo Cascioli stwierdził z kolei: „Całe Włochy po raz pierwszy w historii zamykają swoje kościoły na celebrację mszy. Być może nawet na miesiąc, i to nawet w regionach, w których przypadki infekcji można policzyć na palcach jednej ręki. [...] To, że msza jest najpotężniejszą bronią i że poprzez modlitwę i pokutę wiernych można powstrzymać epidemię, to myśl, która nikomu nie przychodzi nawet do głowy. Zapominamy w ten sposób o historii Kościoła, który – zwłaszcza we Włoszech – dał nam dziesiątki świątyń wzniesionych z wdzięczności Bogu za powstrzymanie niebezpiecznych epidemii (nawiasem mówiąc, znacznie bardziej niebezpiecznych niż obecna)".

Zastrzeżenia katolików budziło zwłaszcza to, że nie wolno odprawiać mszy, w tym samym czasie zaś w pobliskich pubach, barach i klubach nocnych tłumy młodzieży potrafiły się bawić do samego rana. Kilka dni później rzymianie wpadli w drugą skrajność. Większość mieszkańców skwapliwie poddała się kwarantannie.

Lekarze ostrzegają jednak, by nie ulegać psychozie. Przypominają, że podczas epidemii chińskiej grypy w latach 1968–1969 zmarło 20 tys. Włochów, a mimo to nie wywołała ona w społeczeństwie takiej paniki, jaka w ostatnich dniach panuje w Rzymie. Wszyscy mają jednak świadomość, że apogeum pandemii dopiero przed nami.

Jedyna dobra wiadomość w tych dniach przyszła z Republiki Demokratycznej Konga. 7 marca ogłoszono, że wyleczono tam ostatniego zarażonego wirusem ebola. Epidemia została ostatecznie przezwyciężona. Kiedy podobna informacja nadejdzie z Włoch?

Grzegorz Górny

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Kultura w kwarantannie



Fot. Nicola Dove / Forum Film Poland

Hollywood już traci miliony dolarów przez koronawirusa. Pierwszą jego filmową ofiarą padł James Bond. Premiera nowego filmu o agencie 007 została odłożona o ponad pół roku

Zanim polskie władze zdecydowały się na zamknięcie szkół, instytucji kultury oraz kin, sami dystrybutorzy polskich filmów zaczęli wycofywać swoje produkcje z ekranów. Najpierw zdecydowali tak producenci pierwszego polskiego horroru typu slasher „W lesie dziś nie zaśnie nikt" Bartosza M. Kowalskiego. Film miał wejść do kin 13 marca. Potem taką samą decyzję podjęli producenci filmu „Eastern" Piotra Adamskiego. Przez zamknięcie na dwa tygodnie kin nie wiadomo, czy na ekrany wejdzie nowy film Lecha Majewskiego „Dolina Bogów" z takimi gwiazdami Hollywood w głównych rolach, jak John Malkovich, Josh Hartnett czy znany z trylogii „Władca pierścieni" John Rhys Davies.

Miałem do tygodnika „Sieci" przeprowadzić wywiad z Lechem Majewskim, w którego filmie zagrała też Bérénice Marlohe, czyli dziewczyna Jamesa Bonda ze „Skyfall". Cóż, z planów tygodnika musiał też spaść mój wywiad z samym Jamesem Bondem, czyli Danielem Craigiem, który przeprowadziłem z nim (oraz innymi aktorami z filmu) w Nowym Jorku. To właśnie od przesunięcia premiery nowej części Bonda „Nie czas umierać" rozpoczęły się problemy przemysłu filmowego z koronawirusem.

Niecały miesiąc przed premierą 25. filmu o przygodach Jamesa Bonda machina promocyjna ruszyła pełną parą. Hitem stała się bondowska piosenka zaledwie 18-letniej Billie Eilish, która w tym roku zgarnęła cztery nagrody Grammy (album, piosenka, kompozycja roku i nagroda dla nowej artystki). W niektórych mediach pojawiły się pierwsze wywiady z twórcami filmu. 17 lutego sytuacja w Chinach była już tak poważna, że odwołano chińską premierę filmu. W sieci pojawiły się apele fanów, by odwołać przez koronawirusa również londyńską premierę. Podejrzewam, że były to kontrolowane przez wytwórnie apele sprawdzające reakcje milionów fanów oczekujących pięć lat na kolejny film o Bondzie.

Producenci filmu Michael G. Wilson i Barbara Broccoli oraz MGM z Universalem wypuścili więc na Twitterze lakoniczny komunikat o tym, że odwołują premierę i przekładają ją o... siedem miesięcy. W Wielkiej Brytanii film pojawi się na ekranach 12 listopada, a w USA dwa tygodnie później. Była to dosyć szokująca decyzja, zważywszy na to, że w promocję filmu na całym świecie wpompowano bardzo dużo pieniędzy. Do tego bardzo pilnowano, by nie wyciekł żaden szczegół fabuły zdradzający jej przebieg. Jak teraz pilnować spojlerów, skoro film pojawi się w różnych krajach w innych datach? Czy będzie on przemontowany? Co z przerwaną promocją filmu, która jest przy takich produkcjach z pietyzmem zaplanowana?

Daniel Craig, który po raz ostatni wciela się w agenta 007, rozpoczął kampanię promocyjną od występu w „Saturday Night Live". Teraz pojawiła się jego sesja fotograficzna w magazynie „GQ" (numer poszedł do druku przed informacją o odwołanej premierze). Możliwe, że w kilku krajach pojawiły się jakieś wywiady z aktorami z filmu. Ja swoje trzymam do jesieni w koronawirusowej kwarantannie.

Czy decyzja o przełożeniu premiery może dziwić? Czy rozczarowanie milionów fanów, liczne memy wyśmiewające Jamesa Bonda w maseczce chirurgicznej i to, że pierwszą filmową ofiarą chińskiego wirusa jest najstarszy filmowy superbohater, odbiją się na mitologii serii? Producenci nie mieli wyjścia. Seria o Jamesie Bondzie jest jedną z najbardziej dochodowych w historii kina. „Skyfall" z 2012 r. przyniósł ponad 1 mld dol. przychodów. „Spectre" zgarnął prawie 900 mln dol. Zakończenie serii z Danielem Craigiem w głównej roli i Ramim Malekiem (zdobywca Oscara za rolę Freddiego Mercury'ego w „Bohemian Rhapsody") w roli jego przeciwnika miał w założeniu przebić komercyjnie poprzednie części. Nakręcenie filmu kosztowało, uwaga, 250 mln dol. Po zamknięciu potężnego rynku azjatyckiego (w samych Chinach jest 70 tys. kin!) i szoku związanym z galopującymi zachorowaniami w Italii producenci mogli wpaść w panikę. Potężne przychody „Spectre" w 77 proc. pochodziły spoza USA. Wyliczono, że „Skyfall" tylko w Chinach, Korei Płd., Japonii i Italii zarobił 125 mln dol.

Jeżeli epidemia koronawirusa nie zostanie zahamowana w ciągu najbliższych tygodni, a będzie prawdopodobnie na odwrót, to pod znakiem zapytania stoją majowe i czerwcowe premiery takich wysokobudżetowych produkcji, jak marvelowska „Czarna wdowa", „Wonder Woman" ze stajni DC, kolejna część „Szybkich i wściekłych" i „Tom Gun: Maverick". Hollywood ma się czym martwić, choć filmowcy już pracują nad scenariuszami kolejnych filmów o epidemiach, które potem przyniosą krocie. W końcu już w 2011 r. Steven Soderbergh nakręcił „Contagion – Epidemia strachu", który mówił o epidemii z... Chin.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Kto dał plamę? Kto zdał egzamin?



Wycieczka do pulsujących epidemią Włoch powinna być ostatnią wyprawą marszałka

To nie jest kolejna zabawna wpadka, którą można uwiecznić w memach. To karygodne naruszenie zakazu, skutkujące poważnym zagrożeniem bezpieczeństwa. Wyjazd marszałka Senatu do Włoch w czasie panoszącej się tam zarazy koronawirusowej jest wystarczającym dowodem na to, że człowiek o takiej mentalności i decyzyjności nie jest zdolny do pełnienia zaszczytnej i odpowiedzialnej funkcji trzeciej osoby w państwie. Zwłaszcza gdy posłucha się jego kolejnych wyjaśnień.

Marszałek Tomasz Grodzki, skądinąd profesor nauk medycznych, zdecydował się zażyć upojnego wypoczynku we Włoszech w czasie, gdy destynacja ta znajdowała się na liście niewskazanych i niebezpiecznych z uwagi na błyskawicznie rozprzestrzeniającą się epidemię koronawirusa. Zabrał z sobą funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa, których losem zdrowotnym zupełnie nie raczył się przejąć. Wrócił jak gdyby nigdy nic i prowadził swoją zawodową aktywność, nie bacząc na to, jak wielu ludzi może zarazić. Dopiero gdy sprawa stała się medialna, prywatnie wykonał test na obecność koronawirusa i bezrefleksyjnie przekonywał, że nie ma w jego zachowaniu absolutnie niczego lekkomyślnego. A lekkomyślność, mówiąc najdelikatniej, przebija z każdego działania i słowa.

Marszałek Senatu po powrocie do Polski, nie wiedząc, czy nie jest nosicielem koronawirusa, udał się na izbę przyjęć wbrew wszelkim zakazom służb sanitarnych, które od wielu dni jasno informują o obowiązującej procedurze.

Trzecia osoba w państwie, tak mocno pogrążona we własnej pysze i bucie, ośmiesza urząd, który pełni. Marszałek Grodzki działa na szkodę polskiego Senatu nie pierwszy już raz. W tej sytuacji apel o jego odwołanie nabiera nowej mocy. Oby skutecznej.

Marzena Nykiel

* * *

W dobie zagrożenia wspólnota konsoliduje się wokół władzy i wartości. Dlatego opozycja histeryzuje



Śledząc w serwisach społecznościowych konta niektórych polityków opozycji, zwłaszcza Koalicji Obywatelskiej, można odnieść wrażenie, że Polska wygląda jak Czarnobyl i Prypeć w maju 1986 r. Gdy ktoś z mainstreamu wyłamie się z obowiązującej panikarskiej narracji, jest natychmiast atakowany.

Nie tylko polska opozycja, liberalna, ojkofobiczna, niechętna tradycji i wspólnocie, ma problem ze społeczeństwem, które potrafi się jednoczyć. Demokraci w USA wielokrotnie wyrywają sobie włosy z głowy, kiedy konflikty czy kryzysy ekonomiczne wywołują falę poparcia – przede wszystkim dla władzy, ale też dla konserwatywnych polityków, którzy promują hierarchię wartości. Nie tylko 11 września 2001 r. był tego dowodem, także mniej dramatyczne i mniej zaskakujące wydarzenia konsolidowały wyborców wokół konserwatystów. Koniec lat 70. XX w. przyniósł sowiecką interwencję w Afganistanie, a w Stanach Zjednoczonych – spowolnienie gospodarcze,

eprasa.pl 0d79d6c8e0

wysokie bezrobocie, wzrost przestępczości. „Podczas badań tendencji społecznych tamtych czasów [naukowcy] zauważyli, że w latach 1978–1982 Amerykanie stali się bardziej rygorystyczni i konserwatywni, a także mniej tolerancyjni na nietradycyjne wartości i poglądy w porównaniu z kolejnymi pięcioma latami" – pisze Michael Bond.

Trudno się dziwić – społeczeństwo zazwyczaj przypomina sobie o potrzebie silnego państwa i zdrowej, skonsolidowanej wspólnoty, gdy rozpasany nihilizm nie oferuje działań przeciwkryzysowych. Także wisząca nad nami epidemia koronawirusa wywołuje podobne reakcje: mamy więcej wspólnego (chcemy tych samych zakupów, rozumiemy decyzje o odwoływaniu imprez, mamy podobną opinię o nieostrożności potencjalnych zarażonych). Naturalnym i zdrowym odruchem społeczeństwa jest więc konsolidacja – byłoby wielką klasą opozycji uznać, że to niezależne od nas zagrożenie wymaga wspólnej polityki informacyjnej i realnej dyskusji, a nie wzywania rządu do niemożliwego, np. badania wszystkich Polaków raz na kilka dni.

Rząd i prezydent mają w zasięgu ręki potężne narzędzie konsolidacji i uzyskania poparcia – tupnąć nogą na siejących panikę członków totalnej opozycji, wykazać ich hipokryzję i nieudolność. Jednak obecna władza koncentruje się przede wszystkim na rozwiązaniu problemu. A opozycja na uderzaniu w poczucie bezpieczeństwa Polaków. I to się nazywa dążenie do władzy za wszelką cenę. ***Jakub Maciejewski***

* * *

Każdy z nas zdaje swój test

Takiego sprawdzianu solidarności społecznej dla całej Polski nie było od upadku PRL. Każdy z nas zdaje swój test. Dzieci zwolnione właśnie z zajęć szkolnych zdają swój – czy zgodnie z zaleceniami będą choć trochę uczyły się w domach, czy zorganizują sobie dodatkowe ferie?

Każda rodzina – ze zdolności rozeznania, gdzie kończy się ostrożność, a gdzie zaczyna panika.

Służby państwowe, samorządy, służba zdrowia, nadzór epidemiologiczny – ze zdolności działania w sytuacji kryzysowej.

Politycy – z tego, czy dorośli do swoich funkcji. I dotyczy to zarówno rządzących, jak i opozycyjnych, bo ci ostatni też niosą odpowiedzialność. Mogą na chwilę odłożyć swoje marzenia o wielkim kryzysie, który zmieni rządy, a mogą nakręcać emocje.



Czy tak się stanie? Zaczęli od narzekań, że koronawirus jeszcze do nas nie dotarł i teorii spiskowych z tym związanych, gładko przeszli przez nieprawdziwe oskarżanie rządu o brak reakcji, by skończyć autokompromitacją marszałka Grodzkiego.

Niestety, poza jednym, spokojnym, porządnym posiedzeniem Rady Bezpieczeństwa Narodowego, zwołanej przez prezydenta Andrzeja Dudę, po stronie opozycyjnej trwa wyścig na teorie spiskowe, oskarżanie rządu na jednym dosłownie, tym samym oddechu o to, że zarażonych jest za dużo i że rząd ich za mało wykrywa.

Może ktoś powiedzieć: to wilcze prawo opozycji, ale w tej sprawie, to chyba jednak nieuzasadnione. Mamy prawo wymagać elementarnej powagi.

Opozycja liczy zapewne, że i w Polsce – jak wszędzie gdzie wirus się pojawił – w pewnym momencie pojawią się setki i tysiące chorych i będzie można zrzucić za to winę na rząd. Już dzisiaj pojawiają się zarzuty, że gdzieniegdzie brakuje maseczek – jakby było miejsce na świecie, gdzie przy takim skokowym wzroście popytu ich nie zabrakło. To dla opozycji niebezpieczna strategia – ten cynizm chyba za bardzo jest dostrzegalny.

Ale bez wątpienia to rządzący będą rozliczani przede wszystkim, muszą się zmierzyć ze wszelkimi wyzwaniami. Jak na razie zespół premiera Mateusza Morawieckiego i ekipa prezydenta Andrzeja Dudy nie popełnili poważnych błędów. Sprawy od początku nie zlekceważono, ale też nie nakręcano histerii. Zamiast paplania są rzetelne informacje (dobre konferencje i wypowiedzi ministrów Szumowskiego, Dworczyka, Szefernakera, Solocha) i konkretne działania, podejmowane z uwzględnieniem doświadczeń z wirusem na Zachodzie. Prezydent zwołał Radę Bezpieczeństwa Narodowego, ale wtedy gdy wiadomo było już na tyle dużo, iż miało to sens. Nie zawahano się przed zamknięciem szkół, co jest o tyle kluczowe, że dzieci choć rzadko chorują, to są masowymi nosicielami wirusa. Każdy, kto bywa w szkole, wie dlaczego – to zwykle brzęczące od ruchu, gęste mrowiska.

Mamy też specustawę upraszczającą procedury zakupowe, przyznającą czasowo kluczowym instytucjom większe uprawnienia. Do pomocy rusza wojsko, pomyślano nawet o informacji dla Polaków za granicą. Planuje się pakiet pomocowy dla przedsiębiorstw dotkniętych kłopotami wynikłymi z pandemii.

To oczywiście dopiero początek tego kryzysu. Trzeba rządzącym patrzeć na ręce, ale na dziś można powiedzieć, że mamy na szczęście szefa rządu, który umie trzymać nerwy na wodzy, a jednocześnie podejmować zdecydowane działania. Widać też, że państwo polskie się wzmocniło przez ostatnie lata. Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby trafiło to na okres rządów ludzi, którzy haratanie w gałę i efekt propagandowy przedkładali ponad wszystko inne. ***Michał Karnowski***

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Fot. Andrzej Wiktor

Przekonacie się do tego projektu

Jest mi przykro, że sporo osób tak emocjonalnie i chyba bezrefleksyjnie atakuje zwycięski projekt pomnika Bitwy Warszawskiej. To wygląda niestety na typowe polskie piekiełko i trochę Konwent Świętej Katarzyny. Skoro konkurs przebiegł sprawnie i bez awantury, to teraz mamy odreagowanie

Jacek Karnowski rozmawia z Piotrem Glińskim, wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego

Podczas ceremonii ogłoszenia zwycięskiego projektu na pomnik Bitwy Warszawskiej powiedział pan: „Moje odczucia są jak najbardziej pozytywne". Ten projekt naprawdę się panu podoba?

Piotr Gliński: Tak, ponieważ ja znam tę koncepcję. Jej ideę. Przyjrzałem się jej dobrze, przeczytałem materiały. Wiem także, jakie poprawki zostaną wprowadzone do zwycięskiego projektu. Dotyczą one m.in. znacznego poszerzenia oferty edukacyjnej towarzyszącej pomnikowi. Powstanie wokół niego właściwie takie niewielkie multimedialne muzeum w małym parku, w którym będzie można dowiedzieć się wiele o tym przełomowym polskim zwycięstwie. Będzie też ekran wodny, a więc dodatkowa atrakcyjna możliwość prezentowania treści historycznych. Od strony Alej Ujazdowskich pojawi się duży napis „Bitwa Warszawska", czyli każdy przejeżdżający lub przechodzący będzie wiedział od razu, co upamiętnia cały kompleks. I wreszcie najważniejsze: sam monument będzie znacznie wyższy, niż to pierwotnie założył projektant: zamiast 23 m będzie – mam nadzieję – 40 m.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Zwycięski projekt nie wywołał jednak zachwytu. Zdecydowanie dominowała krytyka.

To jest kwestia gustu. Krytycy na ogół są po prostu bardziej wyraziści. Marzę, że kiedyś usiądziemy razem z nimi na ławeczce, wśród zieleni, nad wodą, pod tym wielkim pomnikiem i będziemy się dalej kłócić o... Rozwadowskiego, Piłsudskiego, Hallera, a nasze wnuki będą obok biegały i czytały teksty o bitwie. Przechodzący Alejami turyści z Japonii będą się zaczytywać w informacjach po angielsku. Mnie się formuła tego pomnika podoba: jest prosta i czytelna. Mój brat, artysta, który nie śledził konkursu i pewnie ma inną nieco wrażliwość polityczną, od razu odczytał sens skręcenia samego postumentu w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara jako symbol odwrócenia fatum, zatrzymania nieuchronnych sił historii, przeciwstawienia się potędze zła. Zwycięstwa na przekór wszystkiemu. I wielki potencjał, siłę zawartą w tym geście. Oczywiście jest pytanie, czy to będzie odczytywane w ten sposób przez wszystkich, ale to jest ryzyko towarzyszące każdemu przedsięwzięciu artystycznemu.

Wiele osób pyta jednak, dlaczego nie łuk triumfalny? To takie budowle upamiętniają naprawdę wielkie zwycięstwa. Dlaczego zrezygnowano z tej koncepcji?

Nie zrezygnowano. Zabiegaliśmy u organizatora, którym było miasto, by w warunkach konkursu dopuszczono także łuk triumfalny. I to nam się udało, formuła konkursu była otwarta. Niestety wśród zgłoszonych prac nie było żadnego sensownego łuku. Sorry, naprawdę nie było. Nawet namawiałem konkretnych artystów, by zgłosili coś klasycznego, ale ostatecznie bez sukcesu.

Kiedy jednak ogłaszał pan ideę konkursu w kwietniu 2018 r., mówił pan jasno o intencji postawienia łuku triumfalnego. Było domniemanie, że to będzie łuk.

Konkurs ogłaszało miasto, bo grunt jest miejski. Ale ponieważ współpracowaliśmy przy tym projekcie, zostałem zaproszony na konferencję ogłaszającą konkurs i wyraziłem wtedy swoją opinię publicznie. Tak, było domniemanie łuku, ale powtarzam: nie było takiej dobrej propozycji wśród prac konkursowych. Okazało się także, choć to argument poboczny, że łuk w tym konkretnym miejscu, na pl. Na Rozdrożu, nie bardzo pasuje. Nie wpisuje się dobrze w tzw. Oś Stanisławowską, która z jednej strony biegnie do pl. Zbawiciela, a z drugiej – do Zamku Ujazdowskiego. Eksperci, konserwator, wskazywali, że w tym konkretnym miejscu upamiętnienie powinno być pionowe i monumentalne, do 40 m wysokości, widoczne z każdej strony. Projekt Mirosława Nizia doskonale się w to wpisał.

> To będzie obelisk wysoki na kilkanaście pięter, przy nim ekran wodny, gdy zajdzie potrzeba, woda zniknie i plac wokół pomnika będzie miejscem uroczystości. Wokół zieleń i mała architektura

Doprecyzujmy: startujący w konkursie architekci widzieli, że projektują pomnik, który stanie na miejscu obecnie nieużywanej fontanny na pl. Na Rozdrożu, tuż przy ul. Koszykowej?

Oczywiście. Lokalizacja była wskazana w warunkach konkursu. To jedyne miejsce, w którym ten pomnik może stanąć. Osobiście próbowałem znaleźć alternatywę, ale bez skutku. Tym bardziej że to musi być propozycja, którą obecne władze Warszawy są w stanie zaakceptować. Według naszych analiz nie ma w Warszawie ziemi należącej do skarbu państwa, na której można by postawić tak ważny i symboliczny monument.

Ten problem rozwiązywała koncepcja łuku na Wiśle. Czy nie można było jej uwzględnić?

To był pomysł wynikający z tego, że Wisła nie jest „miejska". Jednak to, co czasem prezentowano w postaci grafiki, estetycznie, moim zdaniem, było nie do przyjęcia. Do tego bardzo mocno ingerowało w całą przestrzeń Wisły i panoramę miasta. W ogóle idea łuku triumfalnego żyła głównie w publicystyce. Przecież od chwili, gdy Jan Pietrzak pierwszy publicznie głośno upomniał się o upamiętnienie Bitwy Warszawskiej, minęło już niemal sześć lat. Przez ten czas nie pojawił się żaden konkretny projekt tego typu budowli, który rzeczywiście by porywał, o który warto byłoby się bić.

Może należało się odwołać do propozycji rozważanych przed wojną albo do stylu II RP?

W konkursie pojawiły się projekty łuków triumfalnych, ale albo kiczowate, albo odwołujące się do ciężkiego przedwojennego „wodzowskiego" modernizmu. Dlatego naprawdę jestem zadowolony z rozstrzygnięcia, które zapadło. Cały sąd konkursowy zgodnie stwierdził – a przecież prace były anonimowe – że są dwa dobre projekty: ten zwycięski Mirosława Nizia i drugi, przygotowany przez Karola Badynę, autora m.in. bardzo udanego warszawskiego pomnika Wojciecha Korfantego, ciekawy artystycznie i edukacyjnie, ale niestety nie monumentalny. Zaznaczam, że nie byłem członkiem sądu konkursowego, choć zasiadali w nim moi współpracownicy, m.in. wiceminister Jarosław Sellin, architekt Piotr Walkowiak (pełnomocnik ds. budowy Muzeum Historii Polski), radny Piotr Mazurek, architekt Paweł Kurtyka. Grono to składało się z wielu architektów, dwóch rzeźbiarzy, przedstawicieli miasta, przedstawicieli ministerstwa, IPN. I to różnorodne, pluralistyczne ciało stosunkiem głosów 20 do 0 wybrało dwa najlepsze projekty, a spośród nich ten jeden zwycięski stosunkiem 16 do 4. To dużo mówi.

Skąd więc te głosy krytyki? Może jury rozminęło się ze społecznymi oczekiwaniami w tej sprawie?

Jaka jest prawdziwa skala sprzeciwu, tego nie wiemy, choć takie głosy rzeczy-

eprasa.pl 0d79d6c8e0



wiście się pojawiły. Czasem poważne, czasem wręcz groteskowe. W sprawach gustu, zwłaszcza w kontekście obecnego polskiego sporu, polityki historycznej, skandalicznych zaniechań i fałszów, łatwo o przeskalowane emocje. To i przykre, i smutne. Można się tylko pocieszać, że pomnik Chopina w Łazienkach też kiedyś budził ogromne emocje.

Znany rzeźbiarz Jerzy Kalina, autor m.in. pomnika smoleńskiego na pl. Piłsudskiego, mówi o „protezie" i stwierdza: „Jest w tym chaos, nie ma prawdy. Czekaliśmy sto lat, a teraz wiemy, że coś będzie połowiczne, będziemy w dalszym stopniu atrapami albo tymi, co wymagają kuracji".

Głosy krytyki mają różny charakter. Są tacy, którzy chcieliby konstrukcji na miarę Pałacu Kultury, i choć jest to nierealne, to rozumiem, że czują się rozczarowani. Są tacy, którzy po prostu mają inny gust, oczekiwali czegoś innego, albo czegoś, co od razu rzuca na kolana – ich tym bardziej rozumiem, choć z trudem rozumiem niektóre epitety i złe emocje. Są wreszcie artyści, którzy przegrali w konkursie albo nawet w nim nie wystartowali, a teraz krytykują zwycięzcę. To jest niestety także przypadek Jerzego Kaliny, artysty, którego niebywale cenię i którego podziwiam od czasu gdy w 1977 r. zaprezentował swoje „Przejście". Dziś, jeśli tylko mogę, wspieram jego twórczość. To są niekiedy genialne realizacje, jak ostatnio chociażby bardzo symboliczny „las" w dopiero co otwartym Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego w Świątyni Opatrzności Bożej. Jednocześnie jestem przekonany, że zgłoszona przez niego propozycja pomnika Bitwy Warszawskiej – mimo jak zawsze ciekawego pomysłu – nie była udana. Ale z Kaliną, Pietrzakiem, Wojciechem Korkuciem i innymi usiądziemy jeszcze kiedyś razem na tej ławeczce, co ją pan Nizio dla nas wszystkich zrobi przy pomniku Bitwy Warszawskiej.

Zwycięski projekt ma charakter abstrakcyjny. W pewnym sensie mógłby symbolizować i rok 1956, i 1980, i 1989. Czy nie brakuje w nim jakiegoś konkretnego odwołania do Bitwy Warszawskiej?

Jest bardzo wiele takich pomników, które – jeśli pozbawimy je napisu czy jakiegoś elementu – będą trudne do odczytania. To nic nadzwyczajnego. Czy pomnik smoleński jest łatwy do odczytania przez kogoś z zewnątrz? Jest niesamowicie abstrakcyjny, prosty w formie.

Jednak nawiązuje do trapu samolotu.

Ale to też nawiązanie mocno abstrakcyjne. Mimo to ten pomnik się broni. Jestem pewien, że pomnik Bitwy Warszawskiej także będzie się bronił. A najważniejsze, że po prostu powstanie. Ten fakt sam w sobie można uznać za cud.

W jakim sensie?

W 2016 r., niedługo po tym jak zostałem ministrem kultury, a więc dwa lata po podniesieniu problemu przez Jana Pietrzaka, inspirowany jego ideą zacząłem rozmawiać o sprawie pomnika z Olgą Johann i Cezarym Jurkiewiczem, radnymi PiS w Radzie Warszawy. Zastanawialiśmy się, czy można znaleźć odpowiednie miejsce, jak do tego podejść, jak uzyskać od miasta lokalizację, ale nie posunęliśmy się zbyt daleko. Blokada polityczna wydawała się nie do pokonania. Rok później, przy okazji ratowania Muzeum Techniki, nawiązaliśmy współpracę z wiceprezydentem Warszawy Michałem Olszewskim. To człowiek pragmatyczny. Gdy okazało się, że można coś razem zrobić – bo Muzeum Techniki zostało ocalone – zaproponowałem wspólną pracę nad upamiętnieniem zwycięstwa 1920 r. Zaczęliśmy od poszukiwania odpowiedniego miejsca.

Jakie były propozycje?

Doszliśmy, chyba niezależnie od siebie – ministerstwo i miasto – do wniosku, że najlepszą lokalizacją jest pl. Na Rozdrożu. Bo na pl. Piłsudskiego jest już wiele upamiętnień. W innych miejscach też gęsto. Co ważne, miejsce, które wybraliśmy, znajduje się na szlaku alei Ojców Niepodległości. Jednocześnie jeszcze na Skarpie Wiślanej, choć nieco w głębi, otwarte na wschód, dziś mocno zaniedbane, ale dzięki pomnikowi, przy założeniu jego odpowiedniej skali, zmieni kompletnie swoje znaczenie. Jesienią 2017 r. Rada Warszawy jednogłośnie przyjęła kierunkową uchwałę lokalizacyjną. Potem sprawa ugrzęzła, nie każdy pewnie był zainteresowany tą ideą. Napięcie polityczne nie sprzyjało. Prace nad konkursem mogły ruszyć dopiero po zakończeniu cyklu wyborczego, który oczywiście bardzo utrudniał wszelkie wspólne działania. A więc bardzo późno.

Czy tej sprawy nie można było rozwiązać tak, jak to się stało w przypadku pomnika smoleńskiego, a więc po-

eprasa.pl 0d79d6c8e0



przez działania na poziomie państwa, poprzez przejęcie terenu?

Wielu się często wydaje, że my mamy władzę absolutną. Że wszystkie wieloletnie, często skandaliczne zaniechania można załatwiać od ręki specustawami. Nie da się, trzeba mieć do tego odpowiednią legitymację, kontekst i czas polityczny. Nie było takiej decyzji politycznej, a ja do niej nie parłem, bo uważałem, że koszt polityczny byłby w tym wypadku zbyt duży.

Skoro żadne miasteczko opozycji nie stanęło na pl. Piłsudskiego, to dlaczego miałoby stanąć na pl. Na Rozdrożu? Bitwa Warszawska jest dziś mniej gorąca niż tragedia smoleńska.

Oczywistym priorytetem był dla nas pomnik Ofiar Katastrofy Smoleńskiej i upamiętnienie prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W tamtej kwestii mieliśmy mocny mandat do działania, także z uwagi na obstrukcję opozycji. A w kwestii Bitwy Warszawskiej widziałem pole do rozmowy. Ten dialog, współpraca ponad podziałami, jest wartością samą w sobie. Może to też jest jakaś symboliczna wartość, choć wiem, że wielu osobom z naszej strony sceny politycznej wydaje się to podejrzane, tym bardziej że i finał całego procesu jest też dla wielu niezadowalający. Cóż, może Polski nie stać dziś na nic lepszego? Jeśli Jerzy Kalina mówi o „protezie", to może stać nas – tę poranioną, rozoraną, zdradzoną Polskę – tylko na taką „protezę"? To chyba jednak zbyt gorzkie słowa: zapraszam wszystkich za pół roku na ławeczkę przy naszym pomniku.

Jak to? Jesteście przecież ekipą, która chciała podnosić poziom, edukować, wychowywać, stawiać ambitne cele!

I to robimy. Budujemy sieć muzeów, część z nich już działa, np. Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie, Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego w Świątyni Opatrzności Bożej. Za chwilę, na 100-lecie Bitwy Warszawskiej, otworzymy Muzeum Józefa Piłsudskiego, którego budowa ciągnęła się przecież latami. Budujemy lub finansujemy Muzeum Żołnierzy Wyklętych, Muzeum Kresów, Muzeum Sybiru, Muzeum-Dom Rodziny Pileckich, muzeum na Westerplatte i oczywiście wielkie Muzeum Historii Polski. Poza tym nasz dorobek to tysiące spraw, które budują siłę naszej kultury. Tak, chciałbym więcej, ale minister sam wszystkiego nie zrobi. Jeśli prawica chce mieć dobre filmy, niech kręci. Jeśli chce mieć pomniki, niech zakłada komitety budowy. Iluż to ludzi do mnie przychodziło z pomysłami przez te lata. Mówiłem: róbcie, pomogę, mamy środki. I co? Niewiele z tego wyszło.

Niektórzy mówią, że trzeba powtórzyć konkurs. Skoro czekaliśmy 100 lat, to możemy poczekać jeszcze kilka.

Ja nie chcę czekać. Uważam, że to jest dobry projekt i że w końcu się do niego przekonacie. Wykonałem to, co było moim obowiązkiem.

To może konkurs międzynarodowy?

W tej dynamice czasowej nie było takiej możliwości. A dynamikę narzucał kalendarz wyborczy, który umożliwił współpracę z Warszawą dopiero po zakończeniu trzech kampanii wyborczych. Gdy pojawiła się szansa, wykorzystaliśmy ją maksymalnie. I jest nadzieja, że zdążymy na 15 sierpnia.

Pewności jednak nie ma?

Zakładamy, że na rocznicę pomnik będzie, ale pamiętajmy, że to nie jest prosty ani łatwy projekt. To będzie obelisk wysoki na kilkanaście pięter, przy nim ekran wodny, gdy zajdzie potrzeba, woda zniknie i plac wokół pomnika będzie miejscem uroczystości. Wokół zieleń i mała architektura. To bardzo ciekawy, funkcjonalny pomysł, ale wymagający w realizacji.

Miasto zarezerwowało na budowę pomnika 3 mln zł. Śmiesznie mało.

Pomnik będzie kosztował oczywiście znacznie więcej i jesteśmy na to przygotowani; będzie współfinansowany przez ministerstwo.

Doceniając to osiągnięcie, powtórzę pytanie: pan nie tęskni za czymś bardziej klasycznym? Bardziej z ducha międzywojnia?

Sąd konkursowy wybierał z tego, co zostało zaproponowane. Do konkursu zgłosiło się 118 zespołów, dopuszczono 85, a ostatecznie wpłynęło 58 prac. Wybrano projekt zdecydowanie najlepszy, przygotowany przez człowieka bardzo utalentowanego i bardzo cenionego. Mirosław Nizio to przecież autor koncepcji wystawy Muzeum Powstania Warszawskiego, ale także Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie, Muzeum Ulmów w Markowej i wielu innych. I jest mi trochę przykro, że sporo osób tak emocjonalnie i chyba bezrefleksyjnie atakuje zwycięski projekt. To wygląda niestety na typowe polskie piekiełko i trochę Konwent Świętej Katarzyny. Skoro konkurs przebiegł sprawnie i bez awantury, to teraz mamy odreagowanie.

Dla wielu ludzi jest to naprawdę ważna sprawa.

A dla mnie nie?! To jest mój obowiązek. Po to jestem w polityce. Gdybym w 2017 r. nie zaczął rozmów z miastem, pies z kulawą nogą by się tym nie zajął. Powtarzam: przekonacie się do tego projektu. A na razie apeluję o spokój i odrobinę zaufania. Tym bardziej że alternatywą jest po prostu brak pomnika. I szeroki uśmiech Władimira Władimirowicza.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Borys niemocny

Wiele musiało się zmienić w Platformie Obywatelskiej, żeby nic się nie zmieniło



STANISŁAW JANECKI

„On naprawdę taki jest, jaki wydawało się, że nie może być” – miał powiedzieć Donald Tusk 9 grudnia ub.r. po długiej rozmowie z Borysem Budką. I nie był to wcale wyraz zachwytu. Ale w styczniu br., gdy odbywały się wybory przewodniczącego Platformy Obywatelskiej, Tusk deklarował, iż poparł Borysa Budkę, choć trudno to zweryfikować. A 3 lutego, przed spotkaniem w Brukseli Europejskiej Partii Ludowej, już wtedy przewodniczący PO Borys Budka powiedział, że liczy na „ciepłe uwagi i rady” od Donalda Tuska. Na razie doczekała się ich kandydatka na prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska, a nie sam przewodniczący PO. Nie ma dowodów, że Tusk odpowiedział na propozycję Budki, żeby jako były premier wszedł do nowego partyjnego ciała – Rady Politycznej. Pod przywództwem Budki w PO nie zahamowano żadnych negatywnych procesów i nie dzieje się nic, co by wskazywało na wychodzenie partii z kryzysu. Wręcz przeciwnie: partia wciąż się kurczy i poza „młodym” nowym przewodniczącym starzeje się i niedołężnieje. Na razie żaden przełom się nie zdarzył i w partii żartuje się, że tylko cud mógłby coś zmienić na lepsze, tyle że Budka nie wierzy w cuda.

ZMIANA BEZ ZMIANY

Borys Budka wciąż jest przewodniczącym klubu parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej, bo nie udało mu się przeforsować na to stanowisko Izabeli Leszczyny. A taki plan miał być zrealizowany jeszcze w lutym br. Na wymianę szefów regionów i szefów niższych struktur partyjnych Budka nie ma na razie szans, gdyż wybory będą dopiero za prawie dwa lata. Nowy przewodniczący partii wpłynął na to, że w zarządzie znalazło się dwóch nowych wiceprzewodniczących: prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski i europoseł Bartosz Arłukowicz. I pogodził się z tym, że funkcje wiceszefów zachowali była premier Ewa Kopacz (obecnie w Parlamencie Europejskim) oraz były wicepremier i szef MON Tomasz Siemoniak (obecnie tylko poseł). Budka wpłynął też na kilka nominacji do zarządu krajowego partii – weszli do niego marszałek Senatu Tomasz Grodzki czy posłowie Robert Kropiwnicki, Sławomir Nitras, Cezary Tomczyk i Czesław Mroczek. Budka

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0d79d6c8e0

akceptuje też we władzach partii osoby będące w poprzednim zarządzie: wicemarszałek Sejmu Małgorzatę Kidawę-Błońską, Izabelę Leszczynę, Urszulę Augustyn, Agnieszkę Pomaskę czy Marzenę Okłę-Drewnowicz. Pozbył się (poza Grzegorzem Schetyną) skarbnika Mariusza Witczaka i p.o. sekretarza generalnego Roberta Tyszkiewicza (Stanisław Gawłowski formalnie był za Grzegorza Schetyny sekretarzem generalnym, choć nieaktywnym z powodu problemów z prawem). Na ich miejsce przyszli Łukasz Pawełek jako skarbnik i szef warszawskich struktur Marcin Kierwiński jako sekretarz generalny. Budka nie chciał już w zarządzie posłanki Moniki Wielichowskiej i posła Arkadiusza Myrchy, wicemarszałek Senatu Bogdan Borusewicz sam zrezygnował zaś z zasiadania we władzach partii. Ale w skład zarządu wciąż wchodzą szefowie 16 struktur regionalnych PO, czyli w zdecydowanej większości ludzie Grzegorza Schetyny. I choć niektórzy złożyli już hołd lenny nowemu szefowi, nie ma on mocnych dowodów na szczerość tego nawrócenia.

Najwięcej o pozycji i sprawności Budki mówi to, że formalnie wciąż istnieje „stary" gabinet cieni PO ze Schetyną jako jego szefem, czyli kandydatem na przyszłego premiera (z Kopacz i Siemoniakiem jako kandydatami na wicepremierów). A Budka wciąż ma bardzo skromną rolę szefa gabinetu spraw wewnętrznych i administracji. Gabinet cieni jest oczywiście „martwy", szczególnie gdy od wyborów upłynęło zaledwie pięć miesięcy, ale Budka mógłby przynajmniej zmienić jego obsadę. „Martwy" jest także Instytut Obywatelski, partyjny think tank wciąż kierowany przez posła Jarosława Wałęsę (przewodniczącym Rady Programowej jest Radosław Sikorski), choć jego szefową miała zostać posłanka Joanna Mucha (w nagrodę za wycofanie się z konkurowania z Budką o stanowisko szefa partii). Nie ma żadnych dowodów, żeby zaczęła działać wymyślona przez Budkę Rada Polityczna, w której mieli zasiadać należący do PO byli premierzy i wicepremierzy oraz byli marszałkowie i wicemarszałkowie Sejmu oraz Senatu. Poza tym, że nie ma dowodów na to, iż chce się w tym gronie znaleźć Tusk (honorowy przewodniczący partii), nie ma też śladu aktywności Schetyny w roli koordynatora prac Rady Politycznej, a nawet nie ma potwierdzenia, że Budka mu taką funkcję zaproponował, choć właśnie tak miało być. Generalnie wiele w PO kierowanej przez Budkę „miało być", ale nie jest. Prysły też złudzenia (podobno nie mieli ich Tusk i Grzegorz Schetyna), że nowy przewodniczący partii jest sprawnym organizatorem i menedżerem. Na razie sprawnie nie zarządza nawet własną osobą w roli szefa partii, choć pilnie słuchał podpowiedzi macherów od politycznego marketingu i wizerunku, i zgodnie z ich wskazówkami prowadzi partyjne imprezy na chodząco, wywołując różne osoby z sali na potwierdzenie tego, o czym mówi. Ale na to zwracają uwagę głównie ci, którzy Budkę trenują, dla pozostałych ważna jest zaś treść tego, co nowy przewodniczący mówi. Ale treści jest niewiele, więc tylko forma jest zapamiętywana, a ona nie budzi entuzjazmu.

Prysły złudzenia (podobno nie mieli ich Tusk ani Grzegorz Schetyna), że Borys Budka jest sprawnym organizatorem i menedżerem. Na razie sprawnie nie zarządza nawet własną osobą w roli szefa partii

PARTIA JAK STARA

Wśród działaczy i parlamentarzystów PO panuje pesymizm i raczej skłaniają się do tego, że powinien porzucić wszelkie złudzenia ten, kto liczył, iż partia zasadniczo zmieni się albo wzmocni z tego powodu, że ma nowego młodego lidera. Pesymizm bierze się stąd, że w sposobie działania PO właściwie nic się nie zmieniło, a może nawet zmieniło się na gorsze, ludziom Schetyny bowiem już się nie chce, a ludzie Budki nie bardzo wiedzą, co powinni robić. W efekcie te same osoby co za czasów Schetyny realizują równie agresywną i sztampową antypisowską, antyrządową i antyprezydencką linię, w czym brylują dobrze znani z tego samego w przeszłości Sławomir Nitras, Bartosz Arłukowicz, Arkadiusz Myrcha, Monika Wielichowska, Izabela Leszczyna, Marcin Kierwiński, Cezary Tomczyk, Michał Szczerba, Agnieszka Pomaska, a nawet zdegradowany w partii Sławomir Neumann.

Kompletnie się nie zmieniły struktury terenowe partii i ich liderzy (wybory będą za prawie dwa lata), a skoro nie można ich zmienić, nie muszą się niczym szczególnym zasługiwać, tym bardziej gdyby mieli w nowym rozdaniu wylecieć. Ale jeśliby mieli zostać, też nie mają powodu do szczególnej aktywności, ich los bardziej bowiem zależy od układów z działaczami i członkami na ich terenie niż od Budki. Nie słychać o nowych zgłoszeniach do partii, co miało nastąpić po wyborze Budki, więc liczba członków się nie zwiększa, lecz nadal powoli maleje. Wielkiej żywotności czy też odrodzenia nie wykazuje także partyjna młodzieżówka. Widać to w kampanii prezydenckiej Kidawy-Błońskiej, gdzie działaczy partii i młodzieżówki ledwo wystarcza do zbierania podpisów.

Nic się nie zmieniło w kwestiach programowych – nie widać nowych idei ani tym bardziej porywających projektów, nie powstało żadne nowe, intelektualne zaplecze nowego przewodniczącego i nowego-starego zarządu krajowego. Stałe grupy eksperckie jak nie działały, tak nie działają i nie ma chętnych do ich zasilania. Podobnie jak nie działa plan marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, by silne zaplecze intelektualne i koncepcyjne powstało przy nim czy generalnie w Senacie. Doraźnie można zebrać jakichś ekspertów, nawet zagranicznych, jak przy kwestii tzw. ustawy dyscyplinującej sędziów, ale na co dzień to nie działa, mimo dobrych chęci. Gdy „konsultowano"

Autopromocja

eprasa.pl 0d79d6c8e0

tzw. ustawę dyscyplinującą, wykorzystano wszystkie zasoby zagraniczne, czyli znajomych znanych prawników popierających PO i opozycję, ale to była jednorazowa pokazówka mająca dowodzić, że PO ma wielkie zdolności mobilizacyjne także po stronie eksperckiej. Sam przewodniczący Borys Budka jest mniej aktywny niż jego poprzednik Grzegorz Schetyna i poza wymyślonym przez marketingowców stylem perypatetyka oraz spokojniejszym przemawianiem nie widać zasadniczej różnicy. Chyba że na gorsze, bo ten nowy styl jest w partii raczej wyśmiewany niż chwalony. A stonowane wystąpienia wynikają głównie z tego, że podnosząc głos, Budka wpadałby w falset, co byłoby pretekstem dla żartów, przedrzeźniania i memów.

TEST WYBORCZY

Już po kilku tygodniach funkcjonowania Budki jako lidera PO widać, że nie jest on w stanie zasadniczo zmienić partii, a struktury terenowe jego przywództwo traktują nie jako przyszłościowe i na długie lata, lecz tymczasowe i na krótko. Tym bardziej że Budka nie ma umiejętności budowania własnej, oddanej i wiernej gwardii. Nie ma też za bardzo narzędzi do jej budowania, gdyż to robi się z wykorzystaniem przywilejów, stanowisk czy generalnie konfitur. A konfitury PO miała wtedy, gdy rządziła państwem. Obecnie dysponuje nimi tylko na poziomie samorządów (najcenniejsze są w sejmikach i zarządach województw oraz w największych miastach), tyle że tam już wszystko zostało rozdane za czasów Schetyny, a jeszcze trzeba się było w wielu miejscach podzielić z koalicyjnym na poziomie samorządów PSL. Same obietnice, że będzie podział konfitur zgodny z wolą Budki po przejęciu władzy w państwie, nie wystarczają, to bowiem odległa perspektywa (ponad trzy i pół roku), a w tym czasie wszystko może się zmienić, także we władzach PO. Budka nie ma też umiejętności Schetyny rozgrywania różnych frakcji oraz poszczególnych ambitnych działaczy, co czyniło go wielkim arbitrem i wielkim manipulatorem jednocześnie. Następca Schetyny najzwyczajniej nie wie, jak to robić. A jego przekonanie, że wraz z nowym przywództwem w PO znikną frakcje, grupy interesów i różne lokalne układy okazało się skrajnie naiwne. Nic nie zniknęło, a to, że Budka nie potrafi tym wszystkim manipulować i zarządzać tak jak jego poprzednik sprawia, że praktycznie nikt się go nie boi, więc różne podskórne podziały i procesy toczą się w partii w najlepsze. Sprzyja temu taki stan, że nic się też nie dzieje na poziomie Koalicji Obywatelskiej, która jako szersza struktura mogłaby służyć zmianie układów frakcyjnych. Ale Koalicja Obywatelska jest właściwie atrapą, a nawet hubą narośniętą na PO i nie ma pomysłu, co z tym ciałem zrobić. Koalicja niczego nie zmienia, nie wzmacnia PO, a tylko od dobrej woli poszczególnych działaczy Nowoczesnej, Inicjatywy Polska i Zielonych zależy ich zaangażowanie w kampanię prezydencką Kidawy-Błońskiej. Na razie widoczna jest tylko Barbara Nowacka z Inicjatywy Polska.

Wybory prezydenckie i poprzedzająca je kampania maskują wiele niedostatków PO pod przywództwem Budki. Widać tylko działania kampanijne, a mało kto się zastanawia, jak w tym czasie funkcjonuje sama partia. A ona jest w stanie swego rodzaju hibernacji. W każdym razie Budka nie odcisnął na niej jeszcze żadnego własnego piętna. A nawet jest gorzej, partia nie ma bowiem nawet takiej sprawności, jaką miała w schyłkowej fazie przywództwa Schetyny. Wybory i kampania mobilizują, ale niekoniecznie partyjne struktury. Widać wzmożony ruch, ale robią go parlamentarzyści (dalece nie wszyscy), sympatycy, wolontariusze i media sprzyjające PO oraz jej kandydatce. Budka może się jedynie pod to podłączać. Ale taka strategia działa tylko w czasie kampanii. Jeśli Kidawa-Błońska przegra wybory prezydenckie, wszystkie niedostatki, nie tylko sztabu, ale i samej partii, wyjdą na wierzch. I wtedy zacznie się szukanie winnych, przede wszystkim w PO i jej kierownictwie. Wtedy też można liczyć na swego rodzaju audyt PO pod przywództwem Budki, bardzo krytyczny audyt. Gdyby taki czarny scenariusz się zrealizował, Budka będzie rozliczany znacznie surowiej, niż gdyby nie miał za sobą przegranych wyborów. Platformę czekałaby wtedy kolejna walka o przywództwo, a to Borysa Budki mogłoby zostać uznane za nieudany eksperyment. Wszystko to po raz kolejny osłabiłoby partię, wzmogło walki frakcyjne i wojnę o przywództwo. Dotychczasowe „osiągnięcia" Budki przemawiałyby za takim czarnym scenariuszem. Chyba że zostałby ojcem sukcesu w wyborach prezydenckich. Ale ten od Budki zależy w najmniejszym stopniu.



Portal zbierzmy.pl powstał, aby wspierać ambitne projekty gotowe do zaprezentowania odkrywczych pomysłów i idei.

Zaczynamy od prawdziwej historii wydawnictwa Agora i Gazety Wyborczej.

Żeby zrealizować produkcję, potrzebujemy około 500 000 zł.

WESPRZYJ NAS NA zbierzmy.pl

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Hołownia: kandydat podobno katolicki

Episkopat zastrzegł, by nie wykorzystywać Kościoła katolickiego w kampanii prezydenckiej. „Nikomu nie służyłoby zamienianie ambony kościelnej w mównicę polityczną" – stwierdził rzecznik Konferencji Episkopatu Polski ks. Paweł Rytel-Andrianik. Czy Szymon Hołownia usłucha?



Fot. Andrzej Wiktor



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

A przecież to powinno być oczywiste! Prywatnie katolik, Szymon Hołownia raz po raz potępia mieszanie się Kościoła do polityki. Ba, przeszkadza mu nawet udział głowy państwa w uroczystościach kościelnych. „To nie jest rola i funkcja prezydenta, żeby uczestniczyć choćby w Eucharystii na początek sprawowania urzędu, co u nas ma miejsce, przemawiać z wałów Jasnej Góry na pielgrzymkach" – mówił w lutym Bartoszowi Węglarczykowi w programie Onet Rano. Takie wyznanie w ustach podobno katolickiego kandydata jest dziwne. Po pierwsze, udział prezydenta RP w uroczystościach religijnych to tradycja, prerogatywa i wręcz obowiązek – dotyczy to zresztą nie tylko wyznania katolickiego. Nieprzypadkowo fanatycy Konfederacji wpadają w furię

eprasa.pl 0d79d6c3e0

Reklama | 6/0220/F

na widok Andrzeja Dudy w jarmułce albo przy życzeniach głowy państwa na żydowskie święto Chanuka, choć przecież prezydent tylko honoruje różne kultury w naszym kraju.

A przecież nic bardziej normalnego niż uczestnictwo wysokiego urzędnika państwowego w uroczystościach i zgromadzeniach, na które jest zapraszany – może wygłosić wykład na konferencji przedsiębiorców, na zjeździe rolników, a nie może pozdrowić pielgrzymów? Dziwna ta krytyka z strony Szymona Hołowni, podobno katolika.

Oburzenie celebryty jest dziwne także z innego powodu. Kandydat na prezydenta zwrócił się bowiem do hierarchów Kościoła w Polsce poprzez serwis społecznościowy Twitter: „Biskupi, oczekuję jasno sformułowanego komunikatu: komunia powinna być wydawana tylko na rękę. Nie fakultatywnie, ale obowiązkowo. Jeżeli choć jedna osoba zarażona przyjmie komunię do ust, istnieje ryzyko przekazania wirusa dalej drogą kropelkową". To jak to? Prezydent nie powinien uczestniczyć w uroczystościach religijnych, ale kandydatowi na prezydenta wolno stawiać warunki episkopatowi? „Krzyż może być na biurku prezydenta... ale nie w przestrzeniach wspólnych" – komentował moralizatorsko Hołownia w rozmowie z Onetem. Urodzony w 1976 r. mówi tak, jakby chciał się przypodobać starszym dwa pokolenia funkcjonariuszom KC PZPR.

DYSKRETNIE LEWOSKRĘTNY

Celebryta z TVN, prezenter polskiego wydania popularnego show „Mam talent" (wraz z Marcinem Prokopem), publicysta w wielu czasopismach („Newsweek", „Więź", od kilku lat „Tygodnik Powszechny") wpisuje się w nurt tzw. katolicyzmu otwartego, idącego na kompromisy z ponowoczesnością, polityczną poprawnością, budujący tę część Kościoła, która ma zachęcać wiernych uśmiechem, śpiewem, tolerancją.

Ale nie zapominajmy o najważniejszej kwestii – deklarując się jako katolik, każdy zgadza się na prawdy wiary, Słowo Boże zapisane w Ewangelii i głoszone przez Kościół. Nie można „być katolikiem, ale". Tymczasem trudno oprzeć się wrażeniu, że Szymon Hołownia te zasady przyjmuje, a następnie rozwadnia je popkulturową nowoczesnością. Przeciwny małżeństwom homoseksualnym broni parad równości: „Ci ludzie nie chcą przecież epatować nas tym, z kim chodzą do łóżka, oni mówią nam, że mają głębokie relacje, inne od naszych hetero, i też chcieliby mieć do tego prawo". Czyżby?

Przeciwny aborcji i eutanazji o obrońcach praw rodziców Alfiego Evansa pisał, że im „odbiło". Przypomnijmy – mowa o dwuletnim chłopcu, któremu wiosną 2018 r. brytyjski sąd postanowił odłączyć aparaturę podtrzymującą życie, przyjmując lekarską diagnozę, że chłopiec jest w stanie wegetatywnym i jest to stan nieodwracalny. Kościół z papieżem Franciszkiem na czele wzywał do walki o życie dziecka, Hołownia pisał, że problem leży gdzie indziej.



„Dla mnie sprawa Alfiego Evansa dotyczyła nie walki o życie (bo on umierał), lecz ponownego upodmiotowienia rodziców". Jednak gdy trzeba obudować głosem autorytetu swój wegetarianizm, Hołownia przywołuje w tekście dla „Tygodnika Powszechnego" encyklikę „Laudato si'" – oczywiście bez zacytowania jej, bo może wcale nie brzmiałaby tak nowocześnie, jak chce tego publicysta. O ile więc staje w obronie tęczowych parad, o tyle za ich krytykę atakuje... biskupów! Hołownia pisał przecież, że komunikat Rady Biskupów Diecezjalnych o LGBT „był tylko jednym z dowodów na to, że nasi hierarchowie, broniąc się przed zarzutami o kunktatorstwo w sprawie wyjaśnienia skandali pedofilskich, przyjęli linię obrony właściwą emocjonalności przedszkolaka".

W swoich wypowiedziach kandydat na prezydenta potrafi więc atakować duchowieństwo, krytykować katolików, obecną władzę, a jednak establishmentowi III RP (ileż razy kryjącego pedofilię), tęczowym aktywistom czy aborcjonistom od Hołowni się nie dostanie. Czy nie pachnie to koncesjonowanym chrześcijaństwem?

W OBJĘCIACH SALONÓW

Dla publicysty z TVN wiara katolicka jest jak zupa, z której można sobie wybrać dowolne kawałki, a odrzucić te, które nie smakują. W ponowoczesnym świecie tak to działa – zwłaszcza gdy wybiera się tylko to, co pasuje do progresywnej wizji świata.

Choć były prezenter TVN chce uchodzić za symetrystę, za kogoś, kto po równo krytykuje lewą i prawą stronę, jest apolityczny i „ponad" sporami w kraju, to poza jego gorliwymi deklaracjami nie stoi za taką postawą żaden poważny argument. Nawet w swoim pierwszym spocie wyborczym, w którym pojawiła się aluzja do tragedii smoleńskiej, Hołownia nazywa Zjednoczoną Prawicę „większym złem" [kadr z politykami PiS], a opozycję „mniejszym złem" [ujęcie z politykami antypisu]. W sztabie wyborczym wspierają go m.in. gen. Mirosław Różański (człowiek realizujący zmiany w armii w czasach Bronisława Komorowskiego i Donalda Tuska) i Jacek Cichocki, były minister spraw wewnętrznych, bliski współpracownik Tuska. Próżno w otoczeniu Hołowni szukać jakiegoś konserwatysty. Nie ma w tym nic złego, o ile nie udaje się „centrysty" i symetrysty. Po co więc się maskować?

> Dla Szymona Hołowni wiara katolicka jest jak zupa, z której można sobie wybrać dowolne kawałki, a odrzucić te, które nie smakują

Patrząc na tradycję wypłukiwania siły z Kościoła katolickiego w Polsce, można śmiało dojrzeć w tym bezpartyjnym kandydacie pewną kontynuację. W szeroko pojętym gronie katolickich intelektualistów i działaczy od dekad pojawia się nurt progresywny – zawsze występujący w odpowiednich dla swojej epoki szatach nowoczesności. Księża patrioci w PRL także lepiej ścigali się z duchem czasów – lepiej mieli rozumieć socjalizm, jak dzisiaj polski „Kościół otwarty" ma lepiej rozumieć LGBT i rewolucję seksualną.

MOWA STĘPIONA POLITYCZNĄ POPRAWNOŚCIĄ

Ale nie sposób pominąć jeszcze jednej specyficznej cechy Hołowni – drewnianej mowy. Odnotowana dla realiów socjalistycznych przez francuską sowietolog Françoise Thom, a wobec ponowoczesności przez francuską filozof Chantal Delsol, jest zbiorem słownictwa, fraz i całych zdań, które niosą za sobą okrojoną i ubogą treść. Gdy pojawiają się konkretne i trudne dylematy, przed którymi ma stanąć wspólnota, Szymon Hołownia zawsze uderza w najwyższe tony: demokracja, miłość, humanizm. Zapytany przez Węglarczyka, czy w szkołach powinny wisieć krzyże, odpowiedział właśnie drewnianą mową: „Jeżeli wszystkie osoby chcą...[to tak]... Ja mówię o głębokim rozumieniu demokracji i wspólnoty, jeżeli mamy różne zdania, to nawzajem uznajemy, że te różne zdania mamy" – odpowiedział katolicki (podobno) polityk. Rzecz nie w tym, by sposób wypowiedzi Szymona Hołowni określać mianem bełkotu – bo „drewniana mowa" XXI w. to coś więcej niż polityczna poprawność i unikanie odpowiedzialności, to swoiste wyznanie wiary. Jeśli były prezenter co rusz rzuca hasłami typu „świeckie państwo", „Rzeczpospolita jest państwem świeckim", „słowa kształtują rzeczywistość", a o „mowie nienawiści" prowadzi osobne warsztaty dla młodzieży, to znaczy, że jest właśnie orędownikiem ponowoczesności, ubranym w katolickie szaty.

KONCESJONOWANY BUNTOWNIK

To specyficznie polska przypadłość – każdym przełomowym wyborom w naszym kraju towarzyszy pojawienie się na scenie politycznej nowej osobowości, która ma pochwycić zasób apolitycznego, czy raczej kontrpolitycznego, buntu. W zeszłej kadencji takim ponadpartyjnym liderem był Paweł Kukiz, wcześniej – Janusz Palikot, sięgnąwszy dalej, znajdujemy Andrzeja Leppera, a u zarania III RP – Stana Tymińskiego. Wszyscy energiczni, z retoryką odnowy, oczyszczenia życia publicznego z użyciem niekonwencjonalnych metod i odwoływania się bezpośrednio do społeczeństwa. Ilekolwiek zachwytów wyleje mainstream wraz ze zniechęconymi do polityki wyborcami, tacy cudowni liderzy zawsze wylądują w objęciach jakiegoś oligarchy, medialnego magnata albo liberalnego salonu.

Gdzie za kilka lat wyląduje Szymon Hołownia?

Reklama | 32/1219/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Wygraj i odbieraj
600 zł co tydzień przez cały rok



Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Fot. Karol Makurat/REPORTER / East News

Policzek dla obywateli

Wyrok sądu jest szokujący. Wyżej wyceniono komfort mobbera, człowieka, który sam nazwał się nazistą, od mojego poczucia godności. Tej osobistej – jako kobiety i pracownicy – oraz zbiorowej – jako Polki

Z Natalią Nitek-Płażyńską rozmawia Dorota Łosiewicz

Nagrała pani niemieckiego przedsiębiorcę, jak obrażał Polaków. Hans G. krzyczał m.in.: „Zabiłbym wszystkich Polaków, nie miałbym z tym problemu", „f... stupid country" i „Idiot Polak". Na nagraniach słychać dźwięk naśladowania odgłosu strzałów, a biznesmen nazywa się hitlerowcem. Dlaczego pani go nagrywała? Jakie były okoliczności tej sprawy?

Natalia Nitek-Płażyńska: Nagrywałam go, bo w moim przekonaniu dopuszczał się przestępstwa. Nękał i znieważał mnie, ale też cały naród polski. Wszystko zaczęło się od sporadycznych uwag, których było więcej i więcej. On się wciąż nakręcał, jakby się rozsmakowywał w tych wrzaskach i groźbach. Moi koledzy z pracy udawali, że nic złego się nie dzieje, milczeli. A ja milczeć nie chciałam. Polemizowałam z nim, żądałam, żeby przestał. Gdy to nie pomagało, nagrałam Hansa G. Zrobiłam to, żeby mieć dowód. Wiedziałam, że bez nagrania nikt mi nie uwierzy.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Sąd Apelacyjny w Gdańsku zdecydował, że musi pani owego przedsiębiorcę, pani byłego pracodawcę, przeprosić. Zaskoczył panią wyrok?

Wyrok jest szokujący. Wyżej wyceniono komfort mobbera, człowieka, który sam nazwał się nazistą, od mojego poczucia godności. Tej osobistej – jako kobiety i pracownicy – oraz zbiorowej – jako Polki.

Dlaczego sąd drugiej instancji tak zasadniczo zmienił wyrok w stosunku do pierwszej instancji?

Wciąż trudno mi to zrozumieć. To jest zupełne odwrócenie pierwotnego werdyktu, podeptanie elementarnego poczucia sprawiedliwości. Fatalnie się z tym czuję. Przeraża mnie przede wszystkim to, że w demokratycznym państwie prawa zapadają wyroki, które są po prostu policzkiem dla obywateli.

I do tego pani ma przeprosić publicznie, a Hans G. wyłącznie listownie. Czemu to ma służyć?

Nie wiem, czemu to ma służyć. Wiem, że jest to głęboko niesprawiedliwe, nieprzyzwoite. Myślę, że zdecydowana większość Polaków ocenia to w podobny sposób. Z całą pewnością ten wyrok nie służy budowaniu zaufania do wymiaru sprawiedliwości. Trudno oczekiwać, żeby ludzie szanowali sądy i sędziów, kiedy ci skazują ofiary.

Skąd pani zdaniem taka nienawiść do Polaków w tym człowieku? Nienawiść, której nie krył.

To pewnie kwestia wychowania, potężnych deficytów intelektualnych, ale też cech osobowościowych. Moim zdaniem zachowanie Hansa G. było patologiczne. On czerpał perwersyjną przyjemność z tych swoich tyrad i okrzyków. Przyjechał do nas, ugościliśmy go, daliśmy szansę. On ją wykorzystał, bo prowadzi biznes i świetnie z niego żyje. A jednocześnie gardzi swoimi gospodarzami. Uważa ich za podludzi. Na to nie może być zgody. Nie możemy nie reagować na takie zachowania, bo jesteśmy w Polsce u siebie. Szkoda, że tego przekonania nie podzielił sąd.

Zdaniem sędzi Zwierzyńskiej zachowała się pani niegodnie. Niegodna jest obrona dobrego imienia Polaków? A może sędzia nie zrozumiała sedna problemu?

Powiem wprost: jestem oburzona tym, co na mój temat powiedziała pani sędzia. Rozumiem, że moje poglądy czy działalność polityczna mojego męża nie odpowiadają pani sędzi. Dawno przestałam też wierzyć w niezawisłość sędziowską, w apolityczność sądów. Za dużo mieliśmy przykładów łamania tych wartości. Ale nazywając mnie w ten sposób, pani sędzia obraziła pamięć ofiar Niemiec hitlerowskich, z których szydził Hans G. Podeptała też poczucie godności wszystkich osób, które zdecydowały się udokumentować czyny sprawców przestępstw.

> Na pewno nie przeproszę Hansa G. Będziemy składać skargę kasacyjną. To ostatni element drogi prawnej, jaki nam pozostał

Jak pani czuła się jako Polka, słysząc takie słowa?

Czułam się fatalnie, jakby ktoś napluł mi w twarz. Zazwyczaj staram się działać racjonalnie i odkładać na bok emocje, ale w tym przypadku naprawdę było to bardzo trudne. Przypomnę, że Hans G. krzyczał, że jest hitlerowcem, i udawał odgłos strzelania z karabinu dosłownie kilkanaście kilometrów od miejsca, gdzie jego rodacy naprawdę strzelali. W Lesie Piaśnickim od października 1939 r. do kwietnia 1940 r. Niemcy zamordowali kilkanaście tysięcy Polaków, przede wszystkim przedstawicieli inteligencji z Pomorza. To miejsce nazywane jest „pomorskim Katyniem". Dlatego też chciałam, żeby Hans G. zapłacił 150 tys. zł na rzecz Muzeum Piaśnickiego. Także po to, by na całe życie zapamiętał, co jego rodacy tam zrobili.

Czy ten wyrok mówi coś więcej o stanie polskiego sądownictwa?

Ten wyrok mówi wszystko. Sądownictwo jest w głębokiej zapaści. Obywatel nie może być pewien, że zostanie uczciwie, racjonalnie osądzony. Bo jeśli w mojej sprawie mógł zapaść tak kuriozalny wyrok, to dlaczego oczekiwać, że w pozostałych przypadkach będzie inaczej? Nie wchodząc w szczegóły i unikając kontekstu politycznego – sądy muszą być szybko i skutecznie zreformowane. To nie jest jakaś fanaberia jednej z sił politycznych, ale paląca potrzeba społeczna.

Na ile słowa Donalda Tuska o tym, że „polskość to nienormalność", odbijają się w tym wyroku?

Bardzo ciekawe pytanie. Niestety, nasze społeczeństwo, a zwłaszcza jego elity ukształtowane na przełomie lat 80. i 90., za bardzo zasłuchały się w to bzdurne zdanie pana Tuska. Wzięły je za pewnik i drogowskaz. Wszystko, co polskie, traktowano podejrzliwie. Wszystko, co nasze, miało być gorsze, wybrakowane, niewarte zainteresowania. A skoro polskość to nienormalność, to nie warto jej bronić prawda? A więc tak, moim zdaniem słowa Donalda Tuska mają swoje odzwierciedlenie w tym wyroku. Dobrze, że dziś zdecydowana większość Polaków wcale nie uważa, że polskość to nienormalność. I ta zdecydowana większość nie zgadza się z wyrokiem gdańskiego sądu.

Żałuje pani dziś tego nagrywania? Przeprosi pani?

Absolutnie nie żałuję. Zrobiłam, co do mnie należało. Na pewno też nie przeproszę Hansa G.

Co pani planuje?

Będziemy składać skargę kasacyjną. To ostatni element drogi prawnej, jaki nam pozostał. Trudno mi przewidzieć, jak to się skończy, zwłaszcza po ostatnim rozstrzygnięciu sądu. Ale walczymy do końca.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Po wyroku dostała pani wsparcie posłanki Nowej Lewicy. Spodziewała się pani tego?

Nie spodziewałam się, ale oczywiście jestem za te słowa wdzięczna. Takich wyrazów wsparcia płynących ponad polityczną barykadą było zresztą kilka. To dobrze. To pokazuje, że nie wszystko stracone, że jesteśmy w stanie wspólnie odrzucać najbardziej skrajne przejawy niesprawiedliwości. Polacy to mądrzy i dobrzy ludzie, gdy trzeba, potrafimy trzymać się razem.

Czy usłyszała pani słowa wsparcia od tzw. obrońców praworządności?

Jeśli mamy na myśli zawodowych obrońców praworządności, których widzimy na rozmaitych antypisowskich eventach, to oczywiście żadnego wsparcia nie otrzymałam. Wręcz przeciwnie, było sporo hejtu w sieci. Jak zwykle zresztą. Generalnie jednak przeważały sympatyczne reakcje. Wyrok jest tak skandaliczny, że przyznawali to nawet komentatorzy o zupełnie innych poglądach niż moje.

Sędziowie z Gdańska dostają po wyroku pogróżki. Ludzi chyba bardzo ten wyrok wzburzył.

Jeśli rzeczywiście ktoś groził sędziom, to ja to stanowczo potępiam. Tak nie można. Ja się z panią Zwierzyńską nie zgadzam, uważam, że zrobiła mi krzywdę, ale to nie oznacza przyzwolenia na robienie krzywdy jej. Dziękuję wszystkim za wsparcie, ale proszę, by zawsze zachować szacunek dla innych i klasę.

„Uważamy, że sędziowie orzekający w tej sprawie stracili moralne prawo do wydawania wyroków w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej" – czytamy w oświadczeniu Akademickich Klubów Obywatelskich im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Zgadza się pani?

Przede wszystkim jestem zaszczycona, że tak wybitni przedstawiciele świata nauki stanęli po mojej stronie, wyrazili swoje zdanie na temat wyroku. Czy sędziowie orzekający w mojej sprawie stracili moralne prawo do wydawania wyroków w imieniu Rzeczypospolitej? Na pewno stracili szacunek w oczach wielu obywateli naszego państwa. A szacunek, autorytet społeczny jest niezbędny, by sądzić.

Czy spotykała się pani z hejtem pod swoim adresem ze względu na męża?

Oczywiście. Mój mąż, choć w moim przekonaniu to wzór kulturalnego, spokojnego podejścia do debaty politycznej, jest bardzo ostro atakowany przez różnej maści „silnych razem". Myślę, że najbardziej fanatyczni przedstawiciele opozycji wiedzą, że skuteczne i bardzo konsekwentne działania Kacpra są dla nich dużym problemem. Ja obrywam niejako przy okazji. A z drugiej strony – mam swoje poglądy, jestem dość wyrazista, dość aktywna publicznie. Dlatego jestem gotowa na krytykę, nie obrażam się za nią. Wszystko jest w porządku, dopóki nie są przekraczane granice dobrego smaku i zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

> Ten wyrok mówi wszystko. Sądownictwo jest w głębokiej zapaści. Obywatel nie może być pewien, że zostanie uczciwie osądzony. Bo jeśli w mojej sprawie mógł zapaść tak kuriozalny wyrok, to dlaczego oczekiwać, że w pozostałych przypadkach będzie inaczej?

Myślała pani o wejściu do polityki?

Ja w tej polityce jestem. W skromny, ograniczony z racji innych obowiązków sposób, ale jestem. Próbowałam swoich sił, startując w wyborach, pomagałam mężowi w jego kampaniach. Przede wszystkim jednak działałam i działam społecznie. W najbliższym czasie chcę się na tym mocniej skoncentrować. Mam pewne pomysły i plany, mam nadzieję, że uda się zrobić wiele dobrego.

Jak ocenia pani ataki na pierwszą damę z ust żony kontrkandydata prezydenta Dudy?

To niesmaczne, niewłaściwe i przede wszystkim pozbawione jakichkolwiek merytorycznych podstaw. Pani prezydentowa wybrała i konsekwentnie realizuje swój model aktywności, który polega na bardzo intensywnej działalności charytatywnej, społecznej. Wystarczy przejrzeć odpowiednią zakładkę na stronie internetowej, żeby się przekonać, że to są dziesiątki spotkań miesięcznie, często po kilka dziennie. Na panią prezydentową mogą liczyć chore dzieci, kobiety chore na raka, ośrodki opiekuńcze dla seniorów i wiele, wiele innych grup społecznych. Polacy to widzą i doceniają. Jeśli więc słowa żony jednego z kandydatów komukolwiek zaszkodzą, to jej. Bo są nie najlepszym świadectwem uczciwości i dobrego smaku.

Z czego biorą się brutalne ataki na kobiety prawicy środowisk lewicowych i liberalnych?

Kobieta, która osiąga sukces, jest aktywna w życiu zawodowym czy politycznym, a jednocześnie otwarcie mówi o rodzinnym szczęściu, wierze w Boga, patriotyzmie czy ogólnie przywiązaniu do tradycyjnych wartości jest dla tych środowisk śmiertelnym zagrożeniem. To zaburza budowany latami stereotyp, wedle którego „prawacy" to wyłącznie starzy, zaniedbani, słabo wykształceni ludzie, a prawdziwe kobiety to domagające się aborcji na życzenie, agresywne feministki. Tymczasem takie osoby jak Beata Szydło, Elżbieta Rafalska czy wiele innych pań kształtujących w ostatnich latach polską rzeczywistość to wielka inspiracja, wzór do naśladowania. Dlatego są tak brutalnie atakowane, dlatego próbuje się je ośmieszyć i zohydzić. Ale to nie przejdzie. Zwłaszcza jeśli wszyscy będziemy ich odważnie bronić.

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Ma 21 lat i imponującą pozycję w show-biznesie. Wie, co to hejt, ale w myśl zasady „zawsze warto" sięga po więcej. Julia Wieniawa gra i tańczy w znaczących produkcjach. Jej obecność w sieci śledzi ogromna rzesza nastolatków

Mała petarda

Fot. Piętka Mieszko/AKPA

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Julia Wieniawa zagrała jedną z głównych ról w filmie „W lesie dziś nie zaśnie nikt”



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

To miał być jej rok. Jej wiosna. Na dużym i małym ekranie, ale też na tanecznym parkiecie i scenicznych deskach. Tymczasem właścicielka najgorętszego dziś medialno-showbiznesowego nazwiska i najliczniej obserwowanego w Polsce konta na Instagramie apeluje do swoich fanów: „To nie są żarty. Nie panikujmy, ale nie bagatelizujmy koronawirusa...”. I musi się pogodzić z tym, że kinowa premiera, na którą tak liczyła, została właśnie odwołana. Podobnie jak jej występ w teatrze. Będzie też, do odwołania, tańczyć bez gorącego wsparcia publiczności.

WCIĄŻ WARTO

Jeszcze nie tak dawno, wraz z koleżanką z planu, odbierała Telekamerę 2020 dla serialu „Zawsze warto”, po czym wróciła do widzów w kolejnym sezonie produkcji. Jako odtwórczyni jednej z trzech głownych ról znów dostała do zagrania najbardziej dynamiczną oraz barwną bohaterkę – Adę, dziewczynę z przeszłością, ale i przyszłością.

W wiosennej ramówce pojawiła się też w „Tańcu z gwiazdami”, by już po pierwszym odcinku, walcząc o Kryształową Kulę w parze ze Stefanem Terrazinem, wybić się na pozycję liderki. Jej partner, komentując ambitne, zadaniowe podejście Julii do treningów, nazwał ją „Petardina Piccolina”, czyli małą petardą.

Zabłysła na parkiecie i obiecująco zaprezentowała się w serialu, jednak to nie telewizja miała jej w tym roku dać szansę wejścia na wyższy, zawodowy i showbiznesowy poziom.

Julia znalazła się w obsadzie oczekiwanego filmu „Sala samobójców. Hejter”. Jego reżyser Jan Komasa powierzył jej co prawda rolę FitAnety, celebrytki, influencerki i znanej z sieci trenerki fitness – ale musiała zagrać upadek tej medialnej gwiazdy i związane z nim załamanie dziewczyny zniszczonej przez internetowy hejt. Poważne zadanie aktorskie, na dodatek u głośnego reżysera, nominowanego do Oscara, a także obsypanego Orłami „Bożego ciała”.

„Hejter” trafił do kin w pierwszy weekend tego miesiąca. W piątek, 13 marca, kinowe ekrany miała zalać groza horroru, z pierwszoplanowym udziałem Julii. Życie napisało jednak inny scenariusz.

ODŁOŻONY PRZEŁOM

Tytuł filmu Bartosza M. Kowalskiego „W lesie dziś nie zaśnie nikt” można obecnie odczytać także jako przewrotny komentarz do sytuacji, w której rzeczywistość wciska w fotele mocniej niż najbardziej krwawa filmowa groza. Horroru o grupie nastolatków – odciętych od internetowej sieci i wypuszczonych, w ramach obozu przetrwania, w leśne ostępy – na razie nie obejrzymy. Z powodu realnego zagrożenia w ekranowym lesie nie zaśnie nikt do odwołania. Premiera została przesunięta.

Fani Julii Wieniawy nie zobaczą więc swojej idolki w roli, która zapowiadana była jako wręcz przełomowa w jej dotychczasowej karierze. Groza, strach, ból, cierpienie, ale też – jak można sądzić po zwiastunie – wielka wola życia... być może pozwoliły Wieniawie wygrać aktorsko znacznie więcej niż w dotychczasowych produkcjach. Czy udało jej się podnieść ciśnienie i poziom grozy do granic odporności widza? Dziś nie sposób odpowiedzieć.

Emocje wywołały za to decyzje, które w ślad za odwoływanymi masowymi imprezami usunęły publiczność także z widowni telewizyjnych programów na żywo. Drugi odcinek „Tańca z gwiazdami” emitowany był już bez obecności, a więc i zagrzewającego uczestników aplauzu, zgromadzonych w studiu ludzi.

Z powodu koronawirusa nie odbędzie się również, zaplanowana na kolejny tydzień, premiera spektaklu „Dom lalki. Część 2” w Teatrze Komedia z udziałem Julii Wieniawy oraz Agnieszki Warchulskiej, Marii Pakulnis i Jana Wieczorkowskiego.

TO NIE ŻARTY

O odwołanych premierach aktorka poinformowała na swoim Instagramie obserwowanym przez rekordową w Polsce liczbę 1,5 mln osób, głównie bardzo młodych. To zakres, zwłaszcza w obecnej sytuacji, nie do przecenienia. Gdy Julia pisze: „To nie są żarty. Nie panikujmy, ale nie bagatelizujmy koronawirusa. Trzeba być uważnym, dbać o siebie i najbliższych” – jej przekaz odnosi znacznie większy skutek niż rodzicielskie, szkolne czy urzędnicze zalecenia.

Fot. materiały prasowe, Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Z pewnością jednak o zupełnie innym wpływie na ludzi i innych relacjach marzyła Julka Wieniawa-Narkiewicz, gdy jako nastolatka wchodziła do show-biznesu. Gdy po przygotowaniach w ramach Warsztatowej Akademii Musicalowej debiutowała na scenie Teatru Muzycznego „Roma", a potem brała udział w projekcie muzycznym Teatru Rose w Londynie. Gdy mierzyła się z aktorskimi wprawkami na zajęciach Ogniska Teatralnego „U Machulskich". Już wtedy wydawała się wiedzieć, czego chce (miała też obok siebie ważnego doradcę).

Gdy zaczęła występować przed telewizyjną kamerą, skróciła nazwisko do pierwszego członu – Wieniawa. Popularność przyniosła jej już pierwsza ekranowa postać – Pauli (dziewczyny Kuby Boskiego) w serialu „Rodzinka.pl". Potem reguł filmowego planu i pracy z kamerą uczyła się, przyjmując może niewielkie role, za to w licznych serialach i filmach.

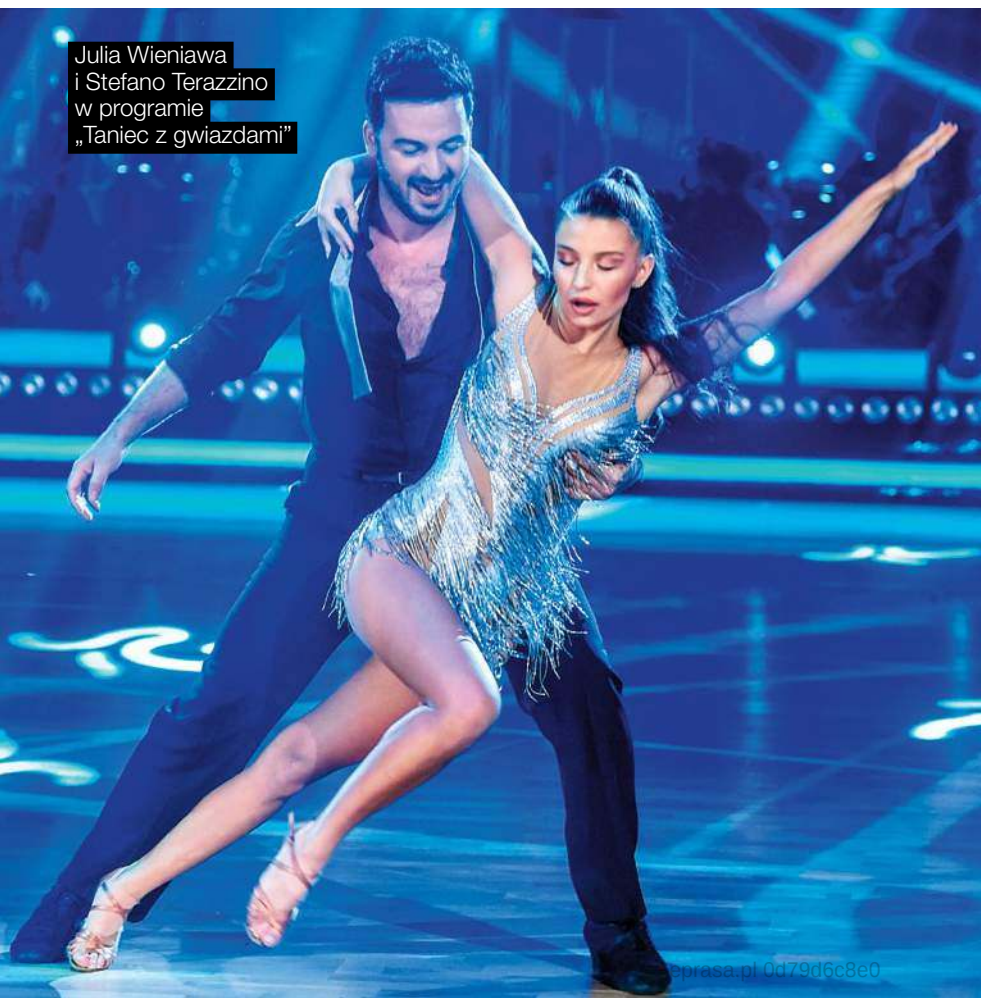
Nieustannie obecna w mediach, nie zdecydowała się na aktorskie studia, ale szukała zadań, które przysporzyłyby jej popularności. Po „Barwach szczęścia" czy „Na Wspólnej" dwa lata temu trafiła do obsady „Kobiet mafii" Patryka Vegi, a potem m.in. na plan romantycznej komedii „Kobieta sukcesu".

Rosnącą rozpoznawalność zwiększała, rozwijając działania w mediach społecznościowych. Jako przedstawicielka pokolenia, które dorastało w świecie rozwijających się technologii, ze swobodą odnajdywała się w nowych możliwościach i trendach. Budowała swój wizerunek, zarówno na internetowych forach, gdzie prowadziła własne relacje, jak i pokazując się na tzw. ściankach.

NA CZERWONYM DYWANIE

Oswojona z kamerą, atrakcyjna, dynamiczna przyciągała na swoje strony nie tylko fanów, lecz i znane marki – odzieżowe, kosmetyczne... Jako ambasadorka L'Oréal Paris pojawiła się dwa lata temu na czerwonym dywanie festiwalu w Cannes. Stawała się modową przewodniczką dla coraz liczniejszej grupy obserwujących ją nastolatków.

Na fanów mogła też liczyć, realizując równolegle muzyczne pasje i marzenia. Wydała trzy single (pierwszy pt. „Co mi jest" już w 2015 r.), ale to „Oddycham" z 2017 r. z 10 mln odsłon, a szczególnie późniejszy o rok utwór „Nie muszę" określił Julię nie tylko muzycznie. Do oprawy trzeciego teledysku (w jego wersji nieoficjalnej) Wieniawa wykorzystała zdjęcia i nagrania z prywatnych relacji, jakie łączyły ją z Antkiem Królikowskim. Na tamtym etapie o wiele szerzej rozpoznawalnym medialnie. Dziś to jej profil ma największą liczbę instagramowych fanów w Polsce.



Julia Wieniawa i Stefano Terazzino w programie „Taniec z gwiazdami"

eprasa.pl 0d79d6c8e0

W KONTAKCIE

Mimo młodego wieku Julia Wieniawa świetnie radzi sobie w show-biznesie. Jej kariera rozwija się płynnie, w różnych obszarach, zapewniając dziś 21-latce rosnący kapitał. Nie tylko zawodowy.

Taka sytuacja jest w dużej mierze zasługą jej mamy Marty Wieniawy-Narkiewicz, pełniącej zarazem funkcję menedżerki (i nazywanej przez Julię „mamagerką"). Osoby oddanej, z życiowym doświadczeniem, czuwającej nad wyborem artystycznych produkcji czy reklamowych kontraktów, ale też jak najlepszym wykorzystaniem przez córkę zarobionych pieniędzy, ponoć imponujących. To dzięki własnej pracy Julia stała się m.in. właścicielką pięknego mieszkania. Swego czasu pochwaliła się nim w sieci, tak jak innymi osiągnięciami i wydarzeniami z prywatnego życia.

Instagramowe konto jest dla Julii Wieniawy miejscem regularnego kontaktu z fanami. Często aktualizuje zdjęcia, komentuje i odpowiada na komentarze. Jest blisko internautów, ale w związku z obecną sytuacją – gdy inne formy kontaktu są tak dramatycznie ograniczane – może przyjdzie jej się wcielić w nową życiową rolę – bycia jeszcze bliżej młodych ludzi, którzy darzą ją sympatią, zaufaniem, dla których jest ważna. By w czasie, gdy koronawirus pisze tak nieprzewidywalne scenariusze, nikt z ogromnej grupy jej obserwatorów nie czuł się w sieci sam.

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Co się stało z Piusem XIII?

Łukasz Adamski z Łukaszem Jasiną mają w Radiu dla Ciebie nowy program o filmach. W pierwszym odcinku dworowali sobie z Piotra Zaremby. Jest on jedynym znanym im człowiekiem, który ogląda serial „Nowy papież" w normalnym rytmie HBO. Wszyscy inni podobno już dawno obejrzeli – w HBO GO. I owszem, piszę ten felieton po obejrzeniu dziewiątego, ostatniego odcinka. Czas na podsumowanie, w którym nie uniknę spojlerowania.

Podtrzymuję wcześniejsze wrażenia. To wyraz realnego niepokoju związanego z rolą Kościoła i religii w życiu świata. Równocześnie mamy tam mnóstwo pustych ozdobników, fałszywych tropów i popisów krasomówstwa, które prowadzą donikąd. Więcej niż w „Młodym papieżu", którego ten serial jest kontynuacją. Z jednej strony Sorrentino na swój sposób idealizuje Watykan. Żaden z ostatnich papieży nie mówił tak pięknie i chyba nie przeżywał tak widowiskowych rozterek jak Pius XIII (Jude Law) i Jan Paweł III (John Malkovich). Równocześnie zaś jest to Watykan opleciony efektownymi pokusami i paradoksami epoki, w której dominują cielesność i psychoanaliza.

Na skutek splotu okoliczności mamy tu duet papieży, do pewnego stopnia podobny do tego prawdziwego, który doczekał się osobnego filmu. Jeden reprezentuje siłę tradycji (Pius XIII), drugi oferuje „linię środka" (Jan Paweł III). Obie wersje są przegadane i wydziwaczone. Sorrentino dotyka wielu kwestii: uwikłania kardynałów w homoseksualne, a czasem i heteroseksualne igraszki, w finansowe skandale, także zderzenia ze światem zewnętrznym, choćby z islamskim fundamentalizmem.

Mamy mnóstwo ryzykownych scenek i symboli. Zakonnice buntują się przeciw dominacji mężczyzn w Kościele, a jedna z nich zachodzi w ciążę z uchodźcą. Tajemnicze nimfy hasają w świątynnych wnętrzach. Jeden z papieży ulega na końcu logice ziemskiego uczucia. Konia z rzędem zresztą temu, kto mi klarownie objaśni finał. Co tak naprawdę stało się z Piusem XIII?

Dostajemy niepokoje współczesności, ale stopień przystawalności przedstawianych sytuacji do realnej rzeczywistości jest iluzoryczny. Naprawdę kardynałowie byliby zdolni myśleć o antyislamskiej krucjacie? Problemem Kościoła jest tak naprawdę co innego. Może to rzeczywistość alternatywna? Ale jej egzotyczność marginalizuje Sorrentino jako ważnego uczestnika debaty o realnym katolicyzmie.

Pomimo sięgających groteski skojarzeń całość jest niedomknięta. O niczym się tu niby nie przesądza, także o racjach stron teologicznych czy ideowych sporów. To nie jest opowieść o złych konserwatystach i dobrych liberałach. Choć niektóre cząstkowe konkluzje uderzają w niezbitą pewność rzeczników ortodoksji.

Przełom w dość powolnym serialu, w którym pełen rozterek „nowy papież" musi obserwować starego, choć młodego, papieża w śpiączce, następuje w siódmym odcinku. Obserwujemy wstrząsające, przyznaję, szamotanie się ucho-



wionego konserwatysty, który oczekuje od Boga cudu. To jest przyczynek do tylu różnych debat: o tym, czym są: wola Boża, modlitwa, właśnie cud. Stajemy nagle wobec rzeczywistości, w której ani wiara, ani niewiara nie są do końca logiczne.

Skądinąd Sorrentino zdaje się wierzyć w życie pozagrobowe, ale nie mamy pewności co do głębi tego przekonania. A może to fabularna sztuczka? Z tym brakiem pewności rozstaję się z bohaterami serialu. Wyrażając raz jeszcze sympatię do kardynała Voiello (Silvio Orlando), który na koniec zostaje kolejnym filmowym papieżem.

Piotr Zaremba

Reklama | 19/0220/F



Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo od lat wspiera inicjatywy, projekty i wydarzenia promujące polską kulturę wysoką, występując w roli ich sponsora lub organizatora. W poczuciu odpowiedzialności za polskie dziedzictwo kulturalne objęliśmy mecenatem Teatr Telewizji.



Wojciech ***Stanisławski***

Gryząc palce

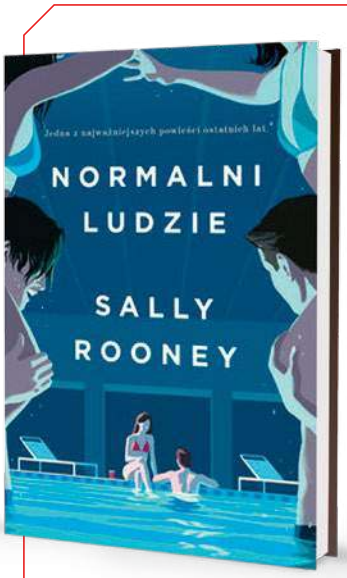
Siłą powieści Rooney nie jest ani analiza klasowa, ani umiejętność sportretowania współczesnego pokolenia, lecz rzecz dokładnie odwrotna: opisanie niezmiennych tak naprawdę perypetii i cierpień pierwszej dorosłej miłości

Grafika okładkowa (świetna!) rozplakatowana na warszawskich murach i w witrynach księgarń. Kilka blurbowych fraz („powieść o pokoleniu milenialsów" oraz „Salinger epoki Instagrama") wraca echem w kilkunastu już recenzjach i blogach zawodowych czytaczy. Albo mamy do czynienia z wyjątkową powieścią, albo z wyjątkowo intensywną kampanią marketingową.

Wygląda na to, że z jednym i drugim. Starzy oczywiście zawsze ciekawi są młodych, pochylając się nad ich dziełami z pocieszną mieszaniną paternalizmu i skrywanego lęku. Ho, ho, otrzymać klucz do formacji tak tajemniczej jak milenialsi? W dodatku klucz, odlany w kruszcu tak anachronicznym dla dzisiejszych 20-latków jak powieść, klasyczna powieść z początkiem i pointą, nie mem kolejnej generacji czy snapchatowy filmik? A jeśli jeszcze uszu recenzentów dojdzie pogłoska, że Rooney ma się za neomarksistkę i „demaskuje podziały klasowe"? – jasne, nie dziwi w tej sytuacji entuzjazm „Guardiana".

Tyle że sarkastyczny dystans wobec tego rodzaju grupowych uniesień niewiele nam może dać – oprócz tego, że pozbawi nas okazji do lektury książki niekoniecznie może bardzo wybitnej literacko, ale na pewno przejmującej – nawet jeśli z innych powodów, niż chce „Guardian".

Można łatwo rozbroić uniesienia recenzentów nad ostrością klasowej krytyki dokonywanej przez Rooney, zauważając, że anglosaska literatura od co najmniej 200 lat z wyjątkową uważnością komentuje niemal niezauważalne, a mordercze podziały obecne w społeczeństwie brytyjskim (i kilku pokrewnych mu – a do takich należy opisywana przez pisarkę współczesna Irlandia). Trudno byłoby wskazać powieściopisarza języka angielskiego – od Fieldinga po Grahama Greena, od Austen po Doris Lessing, od Joyce'a po Waugha – który pozostałby obojętny wobec półtonów, niedopowiedzeń, zawieszania głosu, tych przepaści, otwierających się między lower middle a upper middle class, między mieszkańcami dworków i kamienic, bloków i rezydencji z białym podjazdem. Zredukować opis tylu niuansów do „analizy klasowej" to oczywiście rozpaczliwe spłaszczenie potencjału literatury – ale i wilcze prawo recenzentów, którym potrzebne są autorki prawdziwie postępowe.



Sally Rooney, „Normalni ludzie", tłum. Jerzy Kozłowski, W.A.B., 2020

Nie w tym widzę moc powieści Rooney. I nie w portrecie zbiorowym 20-latków, trafiających w drugiej dekadzie XXI w. na studia w wielkim mieście: portrecie, jak się wydaje, wiernym i smutnym, choć i dość banalnym. Gdyby konserwatywna prawica potrzebowała nowych powodów do zgorszenia (gdyby, dodajmy, stosownej podaży gorszących i ekscytujących newsów nie zapewniały jej media społecznościowe i czujne dziennikarki) – mogłaby czytać „Zwyczajnych ludzi"

eprasa.pl 0d79d6c8e0

jak reportaż, bez porównania słabszy literacko od Houellebecqa, ale niewiele odbiegający odeń nastrojem. Młodzi prekariusze Dublina, na pozór delektujący się przygodnymi związkami, rekreacyjnymi dragami i dobrym winem, w rzeczywistości stoją na krawędzi klinicznej depresji, na której nazwanie nie potrafią znaleźć słów: niezdolni do budowania związków, asekurujący się przed wyrażeniem jakichkolwiek zdecydowanych poglądów („Szczerze powiedziawszy, nie uważam, żeby Jamie albo Peggy byli jakimiś szczególnie dobrymi ludźmi. Nie moja sprawa, jeśli chcesz się z nimi przyjaźnić, to tylko moje zdanie"), oprócz może potępienia „izraelskiego i amerykańskiego imperializmu", są dla konserwatywnego czytelnika aż przerysowani, potwierdzając jego wszystkie wyobrażenia o „chochołowych ludziach" epoki Instagrama. W tej jednogłośności, z jaką kulturowa lewica i prawica gotowe są uznać powieść Rooney za głęboko prawdziwą (lewica – z uznaniem, prawica – ze zgrozą), rozpoznaję odblask fenomenu, zaobserwowanego jakiś czas temu: coraz mniej sensu ma rysowanie karykatur, bo mało kto, zanurzony w swojej bańce społecznej, jest w stanie uświadomić sobie własną śmieszność (lub żałosność) w oczach innych. Skoro wszyscy pławią się w samozadowoleniu, obraz neurotycznych, zagubionych, naspeedowanych swingersów jedni uznają za całkowicie normalny, drudzy za wizerunek współczesnej Sodomy. Po czym rozejdą się bez zrozumienia.

Jednak jest coś, w czym mogą spotkać się czytelnicy starsi od 20-latków o pokolenie, niezależnie od tego, z jakiej bańki wychodzą. Rooney przejmująco opisuje bowiem perypetie pierwszej dorosłej miłości: tego stanu skrajnej niepewności, rozkołysania emocji i pożądania, lęku przed śmiesznością, rozstań i powrotów. To wszystko już było, oczywiście, w literaturze i w życiu: o goryczy i sile uczucia „nowej generacji", o miłości kryjącej się za cyniczną frazą, a przecież niepowstrzymanej pisały kolejne pokolenia literackie, a mało dziś pamiętana poetka Małgorzata Hillar w programowym i głośnym ongi wierszu „My z drugiej połowy XX wieku" deklarowała „Kiedy przychodzi miłość / wzruszamy pogardliwie ramionami (...) / Dopiero późną nocą / przy szczelnie zamkniętych oknach / gryziemy z bólu ręce / umieramy z miłości". Wszystko to już było – ale kolejny opis pary, która usiłuje dotrzeć do siebie przez zerwania, zimne gry, oschłe maile, samozaprzeczenia, trafi do wszystkich, którzy kiedyś gryźli palce – albo nad własnymi perypetiami, albo bodaj nad filmem „Chasing Amy".

Cyprysowa i ciemna. Hiszpańska Polka

Wydawałoby się, że takie książki to trochę samograj: sięgnąć po garść listów, przepytać rodzinę, zilustrować reprodukcjami i proszę, jest opowieść, z koszmarnymi trzema latami w Ravensbrück, niewygodnymi, ale jakoś znośnymi realiami życia w PRL – odbudową, stalinizmem, odwilżą. Trochę przedwojennych drzeworytów, trochę powojennych okładek książkowych, zdjęcie mozaiki w prowincjonalnym kościele. Nie spodziewamy się biografii, która chwyci nas za gardło.

Nie ze względu na skomplikowane przedwojenne dzieje rodziny Hiszpańskich (zrelacjonowane może odrobinę zbyt szczodrze) i polski, arcypolski los studentki ASP, konspiratorki z dobrego domu, która prosto z „kotła" trafia do więzienia gestapo i do kazetu. I nie dlatego, że jeśli w ogóle czytamy książki wydane w ubiegłym wieku, w tym Villona czy „Pieśń o Rolandzie", to musieliśmy już widzieć te smoczyska, te czepce, te miecze, tych rozpłatanych na pół rycerzy wdzięcznie przewieszonych przez ozdobny inicjał. Przede wszystkim ze względu na opis (może tylko sugestię) przemiany, drogi duchowej, jaką przeszła nieprzysiadalna, osobna, zawsze trochę zawstydzona sobą graficzka, oswajając doświadczenie obozu koncentracyjnego, podejmując próbę przezwyciężenia go, wracając po wielu latach do Kościoła. Praca dwóch autorek, które deklarują dystans do zawodowo uprawianej biografistyki i historii sztuki okazuje się przejmującym, głębokim portretem, który uzupełnia wyobraźnię zarówno, jeśli idzie o historię inteligencji polskiej w PRL, jak o konkretne działania i prace, które poszły za „Orędziem biskupów polskich do biskupów niemieckich" z 1965 r., często wspominanym, ale też wyniesionym na pomnikowy piedestał, z którego rzadko widać szczegóły. Tu – widać, delikatne jak ocalałe rysunki tuszem.



Maria Czarnecka, Ewa Kiedio, „Zostały mi słowa miłości. Maria Hiszpańska-Neumann: życie i twórczość", Więź, 2019

eprasa.pl 0d79d6c8e0





Fot. Jarosław Sosiński / NAIMA FILM

Wodzirej nienawiści

Kino

Karierowicz Lutek z „Wodzireja" Feliksa Falka doczekał się nowej wersji. Znacznie bardziej przerażającej. To Lutek ze świata zgniecionego nową dyktaturą. Dyktaturą nihilizmu i skrajnego cynizmu. To świat pogrążony w kłamstwie. Kłamstwie fake newsów.

Tomek (Maciej Musiałowski) to chłopak z prowincji. Dostał stypendium od zamożnych państwa Krasuckich (Danuta Stenka, Jacek Koman), którzy spędzali kiedyś wakacje w jego miejscowości. Dzięki temu może studiować prawo. Pragnie stać się częścią ich świata. Podkochuje się w ich córce Gabi (Vanessa Aleksander), z którą przyjaźnił się w dzieciństwie. Wylatuje z uczelni za plagiat. Gdy prawda wychodzi na jaw, zostaje brutalnie odtrącony przez świat, do którego tak aspirował. W tym samym czasie trafia do firmy kierowanej przez demoniczną Beatę (Agata Kulesza), zajmującej się czarnym pijarem. To zabójcy nowej ery. Profesjonalni hejterzy. Tomasz dostaje zlecenie niszczenia niezależnego kandydata na prezydenta Warszawy Pawła Rudnickiego (Maciej Stuhr), który jest również przyjacielem Krasuckich. Zaczyna więc podwójną grę, korzystając ze wszystkich dostępnych dziś w wirtualnym świecie środków manipulacji otoczeniem.

Duet Jan Komasa i scenarzysta Mateusz Pacewicz dał nam kolejny z rzędu przeszywający, gęsty emocjonalnie film. Komasa w ciągu zaledwie roku dowiódł, że jest reżyserem na drodze do osiągnięcia wybitności. „Hejter" sprawdza się jako cyber-thriller połączony z klimatem z „Id marcowych" George'a Clooneya. Podlany jest równie surową i namacalną przemocą rodem ze „Słonia" Gusa Van Santa. Musiałowski jest znakomity w swojej roli. Komasa wyciąga z niego mrok i dziecięcy infantylizm, które tworzą zabójczą mieszankę. Zwróćcie uwagę na jego finalną grę diabolicznym grymasem. To dwie twarze zamknięte w jednym spojrzeniu.

Duet Komasa/Pacewicz opowiada znów o człowieku w masce. Maskę nosił oszust z „Bożego ciała" pragnący czynić dobro. Maskę nosi oszust z „Hejtera" czyniący zło. Obaj są odrzuceni przez otoczenie. Obaj są rozrywani wewnętrznymi demonami. Komasa w „Bożym ciele" chciał zrozumieć obcą mu polską prowincję. W „Hejterze" wchodzi do świata liberalnych elit, który świetnie zna. Wbija w niego szpilę. Delikatnie, ale pokazuje hipokryzję liberalnych snobów. Zasłuchani w modnym jazzie i zajadający wegetariańskie dania perorują o europejskich wartościach. Dają stypendium chłopakowi ze wsi i zatrudniają ukraińską pomoc domową, popisując się tym pewnie przed swoimi przyjaciółmi z czegoś, co Łysiak nazywa „salonem". Za plecami obdarowywanych protekcjonalnie podśmiewują się z ich pochodzenia.

„Hejter" jest filmem o wojnie klasowej, wpisującym się w modę opowiadania o rozwarstwieniu zachodnich społeczeństw. Michał Oleszczyk słusznie zauważa, że to kolejny, obok „Parasite", „Jokera" i „To my", film pokazujący „infiltrację klasy wyższej przez klasę niższą; inwazja wypartego i wzgardzonego w szacowność, dobrobyt i stagnację". Tak jak w wymienionych obrazach i tutaj chodzi o zemstę na klasie uprzywilejowanej. Nawet główny czarny charakter, mimo narysowania go grubą kreską, jest osobą wyrzuconą poza nawias społeczny. Fanatyk broni palnej, narodowiec, islamofob i gwiazda YouTube'a dokonuje swoich czynów, bo został stłamszony przez system. Nienawiść jest wzięta z frustracji.

Komasa patrzy na świat oczami liberała. Najczystszym bohaterem jest tutaj ideowy polityk homoseksualista, niszczony czarnym pijarem przez konkurenta z prawicy. Jednocześnie, mimo uproszczonego wizerunku narodowców, Komasa również ich pokazuje jako ofiary manipulacji macherów od fake newsów. Ucieka od plakatowości, choć jednocześnie naskórkowo pokazuje problem rodzącego się gniewu Europejczyków, patrzących coraz mocniej w stronę narodowej prawicy. Naprawdę uważa, że przyjęcie z szeroko otwartymi ramionami uchodźców, czego dziś już nawet nie robią Niemcy, jest jedyną słuszną drogą, a sprzeciw wobec tej polityki musi mieć brutalny wyraz? To spojrzenie pasujące do naiwnego Rudnickiego, którym przenikliwy Komasa przecież nie jest.

Zostawmy spór polityczny. Ten film to mocna, brawurowo wyreżyserowana i świetnie zagrana opowieść o wiecznie nienasyconej nienawiści oraz o rodzącym się złu. Złu ukrytym za maską niewinności i bohaterstwa. Lutek przynajmniej dostał w finale w twarz. „Wodzirej" skończył się łzami triumfującego karierowicza. Tomek nie płacze. Tomek ma coś innego wymalowanego na twarzy.

„HEJTER. SALA SAMOBÓJCÓW", REŻ. JAN KOMASA, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Więcej niż się spodziewacie

Nie kierujcie się przesłodzonym polskim tytułem i landrynkową okładką. Nie patrzcie tylko na to, że obok gwiazd hip-hopu Cardi B i Lizzo pojawia się sama Jennifer Lopez, znana z wielu nieudanych ról. W „Hustlers" (taki jest oryginalny tytuł filmu) Lopez dowodzi, że potrafi kreować skomplikowane postacie, gdy ma obok siebie dobrego reżysera, jak Steven Soderbergh („Co z oczu, to z serca") czy Oliver Stone („Droga przez piekło").

Reżyserka Lorene Scafaria poprowadziła ją na tyle dobrze, że JLo dostała drugą w swoim życiu nominację do Złotego Globu. „Ślicznotki" to oparty na artykule Jessiki Pressler z „New York Magazine" film o pracujących w nowojorskich klubach go-go tancerkach. Są paniami życia z drogimi samochodami, designerskimi ciuchami i apartamentami na Manhattanie. Kryzys z 2008 r. zmienia wszystko. Dosłowne kąpanie się w gotówce rzucanej przez Ushera (gra sam siebie), blichtr i sławę zastępują upokorzenia ze strony klientów próbujących wykorzystać coraz gorszą sytuację materialną tancerek. Dziewczyny pod wodzą JLo wpadają na diaboliczny plan. Umawiają się z dawnymi klientami klubów, wrzucają do drinków pigułki i potem zamroczonym panom czyszczą konta bankowe. Ci doniosą policji po przebudzeniu się? I co powiedzą? Że wydali kasę z obcymi kobietami, będąc pod wpływem alkoholu? Przekręt doskonały. Niemal jak ten u Paula Newmana w filmie... „Hustler".

„Ślicznotki" to film gładko przechodzący od teledyskowego filmu o nocnych klubach Manhattanu do klasycznego heist movie. Narracja z offu przypomina, nomen omen, „Wilka z Wall Street" Scorsese oraz „The Big short" MacKaya, ale więcej jest tutaj klimatu z obyczajowego kina o kobiecej przyjaźni niż skandalizowania. Dziewczyny mają dzieci, kredyty do spłacenia i własne marzenia rozbijające się o mur systemu. Jest to opowieść o walce o awans społeczny kobiet stygmatyzowanych za pracę, jaką wykonują. Stygmatyzowanych przez tych samych napalonych samców, którzy nocami przychodzą tę pracę wykorzystywać.



Dziewczyny mszczą się więc na hipokrytach w drogich garniturach, którzy doprowadzili do finansowego kryzysu, bogacąc się kosztem całego społeczeństwa. Płacą za to same wysoką cenę. Jennifer Lopez tworzy bardzo ciekawą rolę dziewczyny z Bronxu (aktorka i piosenkarka również stamtąd pochodzi), która chce zapewnić przyszłość swojej dorastającej córce. Za wszelką cenę. Obrabiając nie tylko zdradzających swoje żony wilczków z Wall Street, ale też zagubionych mężczyzn, nieumiejących się oprzeć ich urokowi. Nie gloryfikuje więc Scafaria swoich bohaterek, choć bez wątpienia patrzy na nie z sympatią i zrozumieniem. „Ślicznotki" to dynamiczne i ciekawe kino z błyszczącą Jennifer Lopez. Błyszczącą nie tylko urodą, ale przede wszystkim aktorskim talentem.

„ŚLICZNOTKI", REŻ. LORANE SCAFARIA, DYSTR. MONOLITH

Cały ten Fosse!

VOD

„Kabaret", „Cały ten zgiełk" i niedoceniany „Lenny". Reżyserem tych filmów był Bob Fosse. Powiedział nam o sobie wiele w arcydziele „All that jazz", gdzie w jego alter ego wcielił się Roy Scheider. Ten miniserial nie jest o tanecznej i filmowej karierze nie do końca spełnionego następny Freda Astaire'a, ani jego hulaszczym trybie życia (sześć paczek papierosów dziennie, alkohol i amfetamina ściągnęły go przedwcześnie z tego świata). „Fosse/Verdon" opowiada o jego burzliwym związku z aktorką Gwen Verdon. Byli w latach 60. XX w. gwiazdami muzycznych teatrów w Nowym Jorku. Fosse był jednak niepoprawnym kobieciarzem i nawet ukochaną kobietę życia porzucił dla młodszej 22 lata aktorki Ann Reinking. Nigdy się formalnie nie rozwiedli, a Gwen pielęgnowała po jego śmierci jego spuściznę. „Fosse/Verdon" ciekawie opowiada o toksycznym związku dwójki artystów i daje wejść za kulisy tak znanych musicali, jak „Cabaret". Sam Rockwell i Michelle Williams tworzą wyraziste i złożone role. Jest między nimi wielka chemia. Wszystko naznacza zegar odliczający czas do śmierci Fosse'a. Nowatorski zabieg.



SERIAL DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 0d79d6c8e0



T jak turbulencje kampanijne

Hanna Karp

A już się robiło nudno. Jeszcze do niedawna w kraju panowała atmosfera z „Rejsu" Marka Piwowskiego. Jak mówił inżynier Mamoń: „Nic się nie dzieje, nuda". Przeżyliśmy eventy wyborcze wszystkich kandydatów i zapowiadała się tępa walka sztabów na pyskówki i jałowe przepychanki. A tymczasem to, co się teraz dzieje, może budzić podejrzenia, że Donald Tusk znów korzysta ze swoich parauzdolnień. Ma szczególny fart. Podobnie jak Jaś Fasola, gdziekolwiek się pojawi, tam nadciąga kataklizm. Odkąd przeskoczył ze stołka przewodniczącego Rady Europejskiej – a zasiadał na nim od 1 grudnia 2014 r. do 30 listopada 2019 r. – mamy już za sobą brexit. Choć zapewniał wszystkich, że najbardziej zależało mu na jedności Unii Europejskiej. „W swoim biurze, biurze przewodniczącego Rady Europejskiej, trzymałem zrobiony własnoręcznie plakat z napisem: »Jedność, głupcze«. Zrobiłem go, by nie zapomnieć, co jest najważniejsze. I na wszelki wypadek go tam zostawię" – zwierzał się na koniec.

Od grudnia 2019 r. objął stanowisko przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej i Unię pogrążyła... chińska zaraza. Aż boję się myśleć, jakie słowo znów sobie wyrył na ścianie w partyjnym biurze. Dobrze przynajmniej, że żywot prowadzi z dala od kraju. Może tylko – obserwując swoich wrogów – przesyłać z Brukseli jadowite tweety.

ZAWIROWANIA Z WIRUSEM

Gdy światem zawładnęła tajemnicza choroba, media w kraju zaczęły nią straszyć. W dniu, w którym „Wyborcza" pytała, „czy nowy koronawirus jest naprawdę poważnym zagrożeniem i czy grypa nie zabija więcej ludzi?", objawił się podróżujący z Niemiec „pacjent zero". Tabloidy z miejsca zmieniły go w celebrytę. Nowe zachorowania w kraju odnotowywano już w tempie lawinowym. Polacy podobnie jak Chińczycy, Japończycy czy Australijczycy rzucili się głównie na papier toaletowy. W moim warszawskim osiedlowym markecie przetrzebiono głównie półki z kaszą gryczaną i ryżem. Pierwszy chory z wirusem w Warszawie zgłosił się do przychodni w Wilanowie.

Kampania wyborcza zeszła na drugi plan, spekulowano głównie o tym, komu chiński wirus zaszkodzi. Gdy powstał tekst, docierały już głosy o zamykaniu imprez masowych, prezydent Andrzej Duda ogłosił rezygnację ze swoich dużych spotkań podczas kampanii, pojawiały się spekulacje o przesunięciu terminu wyborów. Sztaby wyborcze zmieniły scenariusze kampanii. Złowrogo brzmiały informacje o Włoszech zamienionych w całości w czerwoną strefę odciętą od świata z dekretem prezydium Rady Ministrów zawieszającym do 3 kwietnia także uroczystości cywilne, religijne i pogrzebowe. Świat już na dobre zwalczał ogniska choroby; wirus wszedł na światową giełdę, a infosfera roiła się od sprzecznych teorii spiskowych. Eksperci Światowej Organizacji Zdrowia informowali, iż mamy do czynienia także z „infodemią", czyli budowaniem globalnego informacyjnego strachu przed wirusem.

Wydawało się, że kampanię prezydencką na dobre przykryje długi cień koronawirusa.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

TRZĘSIENIE W TVP

A jednak, nie. Zdarzyło się jeszcze coś – redakcyjne sejsmografy osiągnęły znów maksymalną skalę. Tabloidy szalały: „Kurski na wylocie. Trzęsienie ziemi w TVP!". A poszło o podpis prezydenta Andrzeja Dudy pod ustawą o rekompensacie dla mediów publicznych. Dokument przewiduje kwotę ok. 2 mld zł w obligacjach skarbowych, do sprzedaży na giełdzie jako uzupełnienie sum, które nie wpłynęły na konto mediów publicznych z tytułu zwolnień od opłat abonamentowych. Mało kto pamięta, że wielu Polaków nie uiszcza abonamentu, gdyż zwalnia ich z tego... ustawa. Jednak przepisy, zwalniając od opłat, nie wskazały źródeł uzupełnienia utraconych wpływów. Co nie przeszkadza, by medialne imperia pisały o kolejnych miliardach na rządową propagandę wyborczą. A tych miliardów po prostu nie ma. Jeśli się pojawią, będą przeznaczone na przetrwanie. Zwłaszcza gdy chodzi o oddziały regionalnych stacji radiowo-telewizyjnych.

ZAGUBIONE MILIARDY

Warto przypomnieć, bo o tym w ogóle nikt nie mówi, jakby to było coś wstydliwego, że osób zwolnionych od opłat abonamentowych jest kilka kategorii. Pierwsza to niezdolni do pracy. Chodzi tu o całkowicie niezdolnych do pracy oraz I grupę inwalidów lub w znacznym stopniu niepełnosprawnych, lub niezdolnych do trwałej czy okresowej całkowitej niezdolności do pracy w gospodarstwie rolnym. Druga kategoria dotyczy wieku. Tworzą ją osoby, które ukończyły 75 lat, oraz osoby, które ukończyły 60 lat, i te, które mają ustalone prawo do emerytury, której wysokość nie przekracza miesięcznie kwoty 50 proc. przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia. Zwolnione są także osoby mające prawo do zasiłku przedemerytalnego oraz mające prawo do świadczenia przedemerytalnego. Kolejna kategoria zwolnionych od abonamentu to osoby, które otrzymują świadczenie pielęgnacyjne lub specjalny zasiłek. Zwolnione od abonamentu są także osoby niedowidzące i niedosłyszące oraz kombatanci będący inwalidami wojennymi lub wojskowymi. W sumie zapisy definiują ponad 30 kategorii zwolnionych od opłat.

Zapaść w opłatach trwa przynajmniej od 2007 r. – od czasu, gdy premier Donald Tusk w swoim exposé obiecał zniesienie „haraczu" abonamentu. Ze sprawozdań KRRiT wynika, że na 13,5 mln gospodarstw domowych w Polsce 96,4 proc. ma odbiorniki telewizyjne. 31 grudnia 2018 r. zarejestrowane odbiorniki radiofoniczne i telewizyjne miało 6,6 mln (czyli 50,5 proc.) gospodarstw domowych. Spośród nich dokładnie 3,7 mln (czyli 55,7 proc.) abonentów było zwolnionych z wnoszenia opłat. I liczba ta stale się powiększa.

> Temat mediów publicznych już znika z kampanijnej agendy. Chiński wirus sieje spustoszenie i to on ostatecznie – niby „ciemne, skłębione zasłony" z piosenki otwierającej kampanię Małgorzaty Kidawy-Błońskiej – już przykrywa całą rzeczywistość

Polskie społeczeństwo coraz bardziej się starzeje i staje się coraz bardziej schorowane. Pozostała część – 3,1 mln zobowiązanych – powinna terminowo wnosić opłaty. Jednak na koniec 2018 r. opłaty uregulowało jedynie 994 637 zobowiązanych – czyli niewiele ponad 31 proc. Ponadto zobligowani do uiszczania opłat wywiązują się z obowiązku jedynie w ok. 30 proc. Część nowych właścicieli odbiorników radiowo-telewizyjnych w ogóle ich nie rejestruje. Czy trzeba jeszcze coś więcej dodawać, by wyjaśnić przyczynę zapaści finansowej mediów publicznych?

KTO ZA KIM ZATĘSKNI?

Tymczasem media, komentując odejście prezesa TVP Jacka Kurskiego, ogłosiły kolejną „nocną zmianę". „Gazeta Wyborcza" miała obszerne gotowce komentujące to wydarzenie. Dominował wielki tytuł: „»Prezes marzeń« odchodzi", spekulowano też nad tym: „Jak podpis Dudy o odejściu Kurskiego zaważy na kampanii Dudy?". Inny redaktor „Wyborczej" wieszczył: „Opozycja jeszcze za Kurskim zatęskni". „Prezes TVP stał się pierwsza ofiarą nieudanej kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy. Opozycja nie powinna się jednak z dymisji Jacka Kurskiego cieszyć" – grzmiał inny nagłówek obszernego tekstu. „Wyborcza" prezesowi TVP przypisała wszystkie kampanijne błędy opozycji. W całej wyliczance były takie „zasługi" jak: zjednoczenie elektoratu opozycji, wypromowanie Kidawy-Błońskiej, zniechęcenie umiarkowanych wyborców PiS, odesłanie widzów TVP do konkurencji.

„Gazeta" obawia się, że dymisja Kurskiego zapowiada radykalną zmianę kursu kampanii wyborczej obecnego prezydenta. Z drapieżnego na łagodny – na szukający zwolenników w okolicach centrum i narodowej zgody. Według dziennikarzy z Czerskiej do tej „zmiany Jacek Kurski jako prezes TVP zupełnie się nie nadawał". Zapewne usłyszymy jeszcze wiele koncepcji czy spiskowych teorii o ostatniej burzy w TVP. Na czas bezkrólewia stery ma przejąć i pełnić obowiązki prezesa Maciej Łopiński, obecny przewodniczący rady nadzorczej TVP. Konkurs na nowego prezesa ma być rozpisany w maju.

Jednak temat mediów publicznych już znika z kampanijnej agendy. Chiński wirus sieje spustoszenie i to on ostatecznie – niby „ciemne, skłębione zasłony" z piosenki otwierającej kampanię Małgorzaty Kidawy-Błońskiej – już przykrywa całą rzeczywistość. Ale tak czy inaczej – nudy nie będzie, inżynier Mamoń z „Rejsu" nie miałby na co narzekać.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Zmienili płeć i... żałują

Według portalu Market Watch światowy popyt na operacje zmiany płci stale rośnie. W 2018 r. rynek ten wart był 202,7 mln dol. W samych Stanach Zjednoczonych przeprowadzono dwa lata temu ponad 4 tys. takich zabiegów. Ale coraz więcej zoperowanych osób chce powrócić do swojej dawnej płci. Dlaczego?



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Transpłciowi mężczyźni nie staną się kobietami, tak jak transpłciowe kobiety nie staną się nigdy mężczyznami. Są aktorami parodiującymi płeć, z którą się utożsamiają. To ogromna krzywda, którą lekarze wyrządzają swoim pacjentom" – mówił w maju 2019 r. prof. Paul McHugh, wieloletni wykładowca psychiatrii na uniwersytecie Johna Hopkinsa w amerykańskim stanie Maryland, w rozmowie z dziennikiem „The Wall Street Journal". McHugh od kilkudziesięciu lat toczy walkę z – jak to określa – „szaleństwem psychiatrii", a w szczególności z modą na operacje zmiany płci. W 1979 r. zamknął klinikę na uniwersytecie Johna Hopkinsa oferującą takie usługi, ponieważ uznał, że „nie służy" to pacjentom. „Kaleczymy ich, utwierdzając tych ludzi w ich urojeniach. To porównywalne do oferowania liposukcji chorym na anoreksję" – tłumaczył psychiatra. Według niego psychiatrzy jako grupa zawodowa zmarnowali na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat ogromne zasoby naukowe, niszcząc po drodze swoją reputację „poprzez uczestnictwo w transpłciowym szaleństwie", zamiast próbować je dogłębnie zbadać i znaleźć na nie lekarstwo.

Prof. McHugh wskazuje przy tym na wysoki współczynnik samobójstw wśród osób, które przeszły tzw. korektę płci, wielokrotnie wyższy niż w przeciętnej populacji (30–40 proc. wobec 4 proc. w ogólnej populacji), oraz rosnącą liczbę tych, którzy chcą wrócić do płci, z którą się urodzili (po angielsku: detransitioning). To nierzadko okazuje się trudne, a nawet niemożliwe, szczególnie w przypadku mężczyzn, którzy zmienili płeć na żeńską. A to oni wciąż stanowią większość klientów klinik wykonujących operacje zmiany płci (ponad 75 proc.). Skazuje ich to na życie na płciowej „ziemi niczyjej". Nie są kobietami, a operacyjnie nie da się im już przywrócić atrybutów męskości.

BYĆ CZĘŚCIĄ SPOŁECZNOŚCI

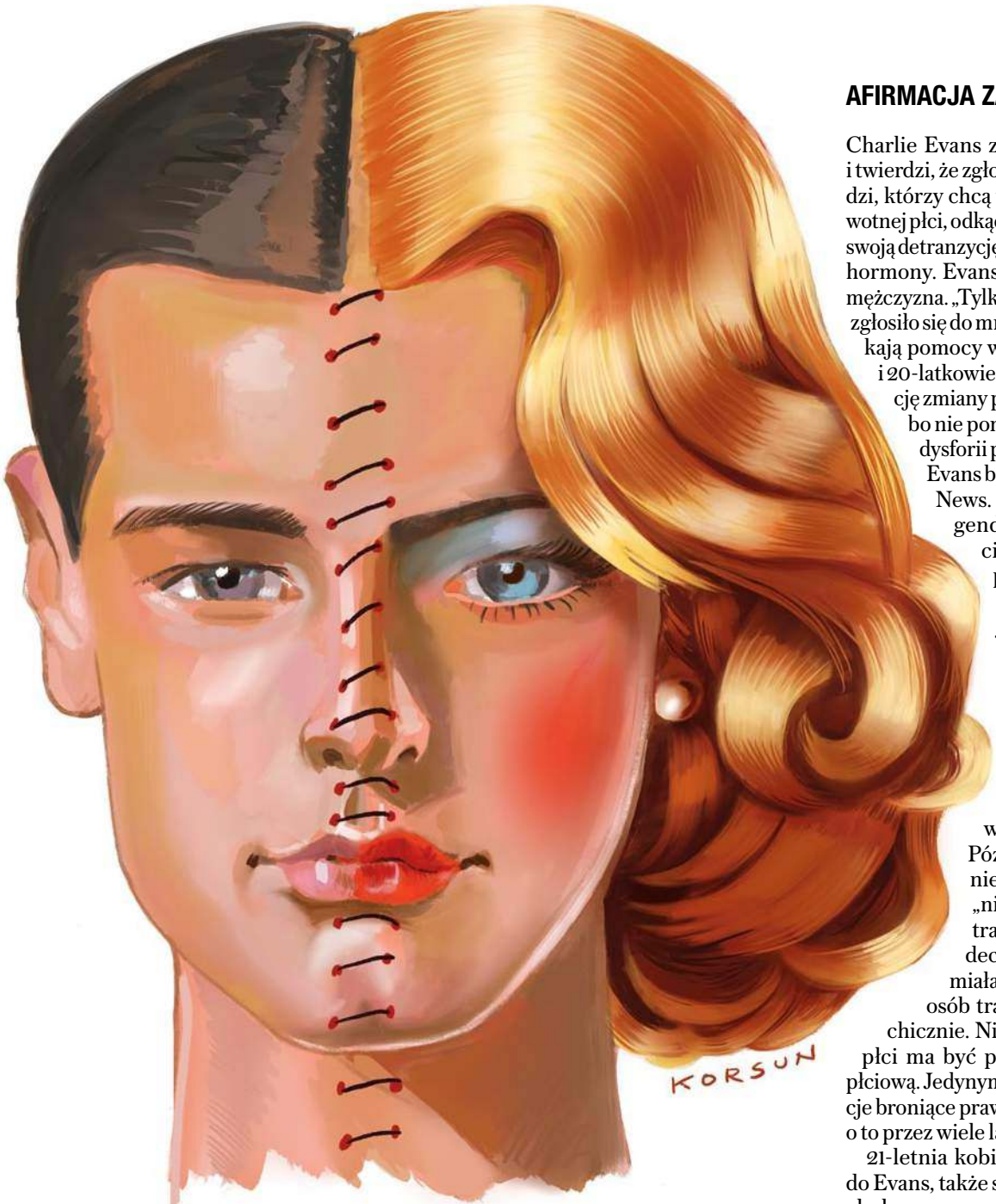
Według portalu Market Watch światowy popyt na operacje zmiany płci stale rośnie. W 2018 r. rynek ten wart był 202,7 mln dol. i ma wzrosnąć do 939,9 mln dol. w 2025 r. W samych Stanach Zjednoczonych przeprowadzono w 2018 r. ponad 4 tys. takich operacji. Zmiana płci z męskiej na żeńską kosztuje między 7 a 24 tys. dol., a z żeńskiej na męską nawet 50 tys.

Ile z operowanych osób chce powrócić do dawnej płci, nie wiadomo, szacunki oscylują między 8 a 11 proc. Dlaczego szacunki? Większość badań, jak choćby US Transgender Survey z 2015 r., biorą bowiem pod uwagę tylko tych, którzy pozostają aktywni w środowisku transseksualnym, a – jak podkreśla brytyjski psychoterapeuta James Caspian – ci, którzy wracają do swojej biologicznej płci, zazwyczaj opuszczają to środowisko, które „traktuje ich nierzadko jak zdrajców". Są pomijani w badaniach. Rzeczywiste liczby mogą być więc o wiele wyższe. Choć nawet 8 czy 10 proc. – jak podkreśla Caspian w rozmowie z portalem Spiked – to i tak bardzo dużo. W 2017 r. psychoterapeuta chciał przeprowadzić własne badania na ten temat, jednak uczelnia, gdzie studiował – Bath Spa University w brytyjskim Bath – odmówiła mu współpracy, argumentując, że byłoby to „politycznie niepoprawne" i „obraźliwe" (offensive).

Caspian, który przez 10 lat doradzał pacjentom chcącym zmienić płeć, zainteresował się tematem detranzycji, gdy poznał chirurga plastycznego z Belgradu dr Miroslava Djordjevica, który przeprowadza kilka do kilkunastu operacji cofnięcia zmian płci rocznie. Głównie na mężczyznach. Często niewiele może dla nich zrobić, prócz stworzenia iluzji penisa i jąder, które zostały wcześniej usunięte. Caspian zaczął na własną rękę poszukiwać osób, które przeszły detranzycję. „Zgłosiła się do mnie grupa kobiet z USA, które po latach życia jako mężczyźni wróciły do swojej biologicznej płci. Usunięto im piersi, podano testosteron. Choć dziś żyją z powrotem jako kobiety, nie próbowały odwrócić skutków operacji. Powiedziały mi, że żyją po prostu ze swoimi bliznami" – twierdzi psychoterapeuta.

Według niego te kobiety zdecydowały się na zmianę płci po tym, jak odkryły ruch trans w internecie. „Była to społeczność, która je przyjęła z otwartymi ramionami. Myślały, że to rozwiąże wszystkie ich problemy.

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Tak się nie stało. A gdy postanowiły wrócić do swojej biologicznej płci, ta społeczność je z powrotem odrzuciła" – przekonuje Caspian. Jego zdaniem problem osób transpłciowych, czyli nieutożsamiających się ze swoją płcią biologiczną, stał się tematem „naładowanym politycznie". Trudno o otwartą debatę. „W Wielkiej Brytanii skutkowało to przyjęciem memorandum ws. zakazu terapii konwersyjnej, polegającej na próbie zmiany orientacji seksualnej osoby homoseksualnej lub biseksualnej na heteroseksualną. Niestety memorandum objęło także osoby transpłciowe, co znacznie utrudnia pracę terapeutom, którzy chcą pomóc ludziom żałującym zmiany płci. Wszystko z wyjątkiem bezpośredniej afirmacji tożsamości transpłciowej jest zakazane i może mieć poważne konsekwencje dla terapeuty" – przekonuje.

AFIRMACJA ZA WSZELKĄ CENĘ

Charlie Evans z Newcastle ma 28 lat i twierdzi, że zgłosiły się do niej setki ludzi, którzy chcą wrócić do swojej pierwotnej płci, odkąd sama w 2018 r. ogłosiła swoją detranzycję i przestała brać męskie hormony. Evans żyła przez 10 lat jako mężczyzna. „Tylko w regionie Newcastle zgłosiło się do mnie 30 osób, którzy szukają pomocy w detranzycji. Są to 19- i 20-latkowie, którzy przeszli operację zmiany płci i bardzo tego żałują, bo nie pomogło to załagodzić ich dysforii płciowej" – powiedziała Evans brytyjskiej telewizji Sky News. Dysforia płciowa (ang. gender dysphoria), czyli cierpienie odczuwane przez daną osobę z powodu niedopasowania jej tożsamości płciowej do płci przypisanej w chwili urodzenia, do 2013 r. w diagnostycznym i statystycznym podręczniku zaburzeń psychicznych (DSM) było uznawane za zaburzenie. Później słowo „zaburzenie" z DSM usunięto, by „nie stygmatyzować osób transpłciowych". Była to decyzja polityczna, która miała utrudnić traktowanie osób trans jako chorych psychicznie. Nie terapia tylko zmiana płci ma być panaceum na dysforię płciową. Jedynym panaceum. Organizacje broniące praw osób trans lobbowały o to przez wiele lat.

21-letnia kobieta, która zgłosiła się do Evans, także szukała pomocy u psychologa z powodu dysforii płciowej. „Po terapii hormonalnej, która niewiele dała, doszłam do wniosku, że lepiej będzie jeśli popracuję nad zmianą sposobu, w jaki myślę o sobie, o swoim ciele, zamiast to ciało zmieniać. Cierpiałam także na zaburzenia żywienia. Ten temat nie został jednak poruszony podczas moich sesji terapeutycznych" – twierdzi Ruby. Młoda kobieta korzystała z terapii w jednej z brytyjskich klinik. Prawie każda oferuje obecnie usługi zmiany tożsamości płciowej,

eprasa.pl 0d79d6c8e0

i to nawet dzieciom w wieku trzech czy czterech lat. Popyt na nie wzrósł w ciągu ostatnich 10 lat – jak twierdzi Sky News – o szokujące 3,2 tys. proc. Zdaniem Ruby ludzie cierpiący na dysforię płciową są wręcz pchani w kierunku zmiany płci. „Utworzył się taki system. OK, proszę, masz hormony, masz operację i do widzenia!" – podkreśla.

Według Charlie Evans większość osób, które się do niej zgłaszają, to kobiety, które czują pociąg do kobiet, niektóre cierpią także na autyzm. Wstydzą się swojego męskiego wyglądu i uważają, że łatwiej będzie im żyć ze swoją orientacją jako mężczyźni. Evans założyła organizację Sex Change Regret, oferującą pomoc osobom chcącym wrócić do swojej dawnej płci. Na stronie internetowej organizacji można się zapoznać osobistymi historiami tych, którzy żałują tranzycji.

ZMARNOWANE LATA

Jedną z tych osób jest Amerykanin Walt Heyer, który w 1983 r. w wieku 42 lat przeszedł operację zmiany płci i żył przez osiem lat jako „Laura". Heyer twierdzi, że zmieniając płeć, chciał się pozbyć problemów, z którymi zmagał się przez całe życie – z depresją, stanami lękowymi. Jak pisze na łamach portalu USA Today, jego babcia zaczęła go ubierać w sukienki, gdy miał cztery lata. „ To wywołało u mnie zaburzenie tożsamości płciowej. Nie wiedziałem, kim jestem. Gdy mój wujek dowiedział się o tym, co robiła babcia, zaczął się nade mną znęcać. Modliłem się do Boga, by zamienił mnie w dziewczynkę. Wtedy – byłem przekonany – zostanę zaakceptowany i drwiny się skończą. W dorosłym wieku zdiagnozowano u mnie dysforię płciową i traumę związaną z dzieciństwem. Przebierałem się za kobietę" – relacjonuje Heyer.

Psychiatra, do którego zwrócił się o pomoc w 1979 r., uznał, że najlepiej będzie, jeśli zmieni płeć na żeńską. Początkowo, przez kilka lat po operacji zmiany płci, był szczęśliwy. „ Ale potem znów zacząłem doświadczać dysforii płciowej. Pod makijażem i sukienkami wciąż był mały zraniony chłopiec. Miałem myśli samobójcze" – twierdzi Heyer. Zapragnął ponownie być Waltem. Po latach terapii w 1996 r. wrócił do dawnej płci. Od 21 lat jest szczęśliwie żonaty. Jego ciało jest jednak wciąż rozregulowane hormonalnie. „Kosztowało mnie to 13 lat mojego życia. Nie można zmienić genetyki, ale można zmienić uczucia, które nas trapią. To nimi należy się przede wszystkim zająć, nim wyśle się kogoś na operację zmiany płci" – przekonuje.

Według niego eksperci twierdzą, że tych, co żałują operacji, jest niewielu, ale „to nieprawda". „Moja skrzynka mailowa jest przepełniona wiadomościami od ludzi, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji jak ja. Są ich setki, tysiące" – mówi. I są oni coraz młodsi, lekarze coraz częściej przepisują bowiem osobom nieletnim blokery pokwitania, które mają hamować ich rozwój płciowy, i zachęcają je do operacyjnej zmiany płci. A skutki fizyczne i psychiczne tych „terapii" są często dramatyczne i nieodwracalne.

> Nie terapia tylko zmiana płci ma być panaceum na zaburzenia tożsamości płciowej. Jedynym panaceum. Organizacje broniące praw osób trans lobbowały o to przez wiele lat. Tych, którzy przeciwko temu protestują, oskarżają o „transfobię"

ZMIANA PŁCI ZA WSZELKĄ CENĘ

Klinika Tavistock w Londynie, która oferuje usługi rozwoju tożsamości płciowej (GIDS), została pozwana przez byłych pacjentów i pracowników. Jedną z takich pacjentek jest 23-letnia Keira Bell, która zgłosiła się do kliniki jako 16-latka, będąc przekonana, że jest mężczyzną. Szybko skierowano ją na terapię, podczas której podano jej środki hamujące proces dojrzewania oraz zastrzyki z testosteronu. W wieku 20 lat poddała się też operacji usunięcia piersi. Niedługo potem kobieta zaczęła żałować swej decyzji. „Nie wierzę, aby dzieci i młodzi ludzie mogli wyrazić zgodę na użycie potężnych i eksperymentalnych leków hormonalnych, tak jak ja to zrobiłam. To był błąd, za który płacę wysoką cenę" – twierdzi.

Były szef personelu w klinice, renomowany brytyjski psychoanalityk i psychiatra dr David Bell, zgadza się z nią. W jego opinii terapia, jakiej są poddawani mali pacjenci w klinice Tavistock, może im wyrządzić „poważne i nieodwracalne szkody". „Dzieci, które skarżą się, że żyją w nie swoim ciele, zbyt szybko diagnozuje się jako cierpiące na dysforię na tle tożsamości płciowej, pomijając wiele innych czynników, jak traumatyczne przeżycia, m.in. molestowanie seksualne czy autyzm" – uważa dr Bell.

Terapię hormonalną stosowano w Tavistock nawet wobec dzieci 10- czy 11-letnich, czasami bez wiedzy ich rodziców. Ponieważ psychiatrzy wysyłali wszystkich pacjentów z podejrzeniem dysforii płciowej do kliniki, liczba jej pacjentów wzrosła od 94 w 2010 r. do 2519 w 2018 r. Według Bella to transgenderowi aktywiści nakłaniają medyczne placówki, takie jak GIDS, do pójścia na skróty, jeśli chodzi o stawiane diagnozy. Tymczasem specjalistów, którzy się na to nie godzą, oskarża się o „transfobię".

Krytyczny raport, który dr Bell sporządził na temat kliniki Tavistock rok temu, został przez nią odrzucony jako „skandaliczny". Psychiatra ma nadzieję, że pozew doprowadzi do reformy systemu leczenia dysforii płciowej, dzięki czemu młode osoby – jak Keira Bell – nie będą kierowane „na okrutną i zbędną ścieżkę, która na stałe zmieni ich życia". W toku śledztwa ws. działania GIDS jednostkę NHS zarządzającą kliniką Tavistock opuścił Marcus Evans, który nią zarządzał przez 35 lat. Jako powód podał falę „uzasadnionych" skarg od rodziców, którzy twierdzą, że klinika „pchała ich dzieci w kierunku zmiany płci". Brytyjski resort zdrowia zlecił przegląd pracy GIDS. Ma się on rozpocząć jeszcze w tym roku.

Reklama | 29/0220/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



eprasa.pl 0d79d5c8e0



Projekt Europejskiego Zielonego Ładu staje się pretekstem do podjęcia przez Komisję Europejską kolejnej próby rozszerzenia jej uprawnień

Lekceważona przestroga Merkel



JAN ROKITA

„Zastanawiam się, dlaczego wszyscy tak podekscytowali się tym problemem" – dziwił się ostatnio komisarz Frans Timmermans, odpowiedzialny teraz za wprowadzanie w Unii Europejskiej Zielonego Ładu. Po czym z udawaną naiwnością dodawał: „Ktoś przecież musi ustalać harmonogram i informować, czy jesteśmy ciągle na dobrej drodze, czy też nie, a Komisja może to zrobić najlepiej".

Timmermans mówił te słowa 4 marca br. podczas konferencji prasowej, na której prezentował wstępnie przyjęty przez Komisję Europejską projekt unijnego prawa klimatycznego. Proponuje się w nim kolejne zaostrzenie obowiązujących standardów redukcji gazów cieplarnianych z dotychczasowych 40 proc. (licząc od 1990 do 2030 r.) do 55 proc.

ZIELONE DEKRETY

Jednak tym, co tak miało „podekscytować wszystkich", nie jest bynajmniej dobrze już znana rosnąca zielona ambicja obecnej Komisji Europejskiej.

Ale to, że projekt prawa klimatycznego stał się kolejną okazją do podjęcia próby istotnego poszerzenia uprawnień nadzorczych Komisji wobec państw unijnych. I to tylnymi drzwiami, tzn. wyraźnie obok i ponad to, co napisano w dwóch traktatach europejskich. Traktaty są dla Unii jako całości tym, czym dla państw członkowskich są ich konstytucje. A Komisja Ursuli von der Leyen nie jest pierwszą, która usiłuje tak rozepchać ramy traktatowe, aby zdobyć dla siebie kolejny obszar potężnej władzy.

Tym razem idzie o to, aby w prawie klimatycznym przyznać Komisji uprawnienia do nadzorowania, oceniania i udzielania wytycznych państwom co do tego, jak mają wprowadzać

Fot. photocosmos1 / Shutterstock

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Fot. Alexandros Michailidis / Shutterstock

u siebie Europejski Zielony Ład. Ale nie tylko o to. W precedensowy sposób Komisja testuje rządy państw członkowskich, aby sprawdzić, gdzie leży granica nowych kompetencji, na które byłyby gotowe się zgodzić. Postuluje bowiem przyznanie sobie prawa do wydawania dekretów, za pomocą których mogłaby samodzielnie nakładać na państwa prawnie wiążące indywidualne limity emisji oraz wyznaczać sposoby i terminy zastosowania się do nich. Mając takie uprawnienie, Komisja mogłaby prawnie zobowiązać Polskę do zamknięcia w ciągu następnego roku (powiedzmy przykładowo) pięciu kopalń i elektrowni jako warunku osiągnięcia wyznaczonego dla naszego kraju jakiegoś limitu cząstkowego. Przy czym Timmermans powołuje się tu na regułę art. 290 traktatu europejskiego (tzw. drugiego traktatu), wedle której można nadać Komisji takie prawo do wydawania dekretów, o ile jest ono ściśle ograniczone czasowo i tematycznie, a przede wszystkim dotyczy wyłącznie „kwestii nieistotnych". Timmermans stara się lekceważyć znaczenie nowego uprawnienia, nazywając je wobec dziennikarzy niewinnym „informowaniem, czy jesteśmy na dobrej drodze, czy też nie". W rzeczywistości jednak gdyby Komisji udało się uzyskać takie rozepchnięcie traktatu, mogłaby ona już nie tyle „sugerować, zalecać i prowadzić dialog" z państwami – jak to zazwyczaj czyni – ile po prostu wiążąco ustalać normy klimatyczne dla każdego kraju, opornych skarżyć zaś do unijnych sądów pod zarzutem łamania prawa. Trzeba więc sporej naiwności, aby uznać, iż chodzi tu (jak mówi traktat) o „kwestię nieistotną".

ZWIĘKSZANIE UPRAWNIEŃ

Warto rzucić okiem wstecz na to, w jakich materiach i jakimi sposobami Komisja Europejska dotychczas zwiększała obszar swojego dominium. Przełomem był tu bez wątpienia rok 2011, kiedy u szczytu kryzysu strefy euro Komisja zyskała tego rodzaju kompetencje, jakimi nigdy wcześniej nie dysponowała. W ramach sześciu ówczesnych dyrektyw (zwanych wtedy „sześciopakiem") stworzony został bowiem system tzw. scoreboardingu, którego istotą stało się wytwarzanie, kontrolowanie i egzekwowanie przez Unię parametrów ekonomicznych uznawanych za bezpieczne dla poszczególnych krajów. I tak UE zaczęła określać optymalny jej zdaniem poziom długu danego kraju, kształt rocznych ustaw budżetowych, systemu emerytalnego, rynku pracy, opieki społecznej czy stan krajowych rachunków obrotów bieżących. Instytucją zaś, której zlecono tworzenie owych zaleceń i egzekwowanie ich przestrzegania przez państwa, stała się właśnie Komisja. Co ciekawe, wtedy także rozegrał się – z istotnym polskim udziałem – spór o to, czy to Komisja, czy też przedstawiciele wszystkich rządów zasiadający w Radzie będą mogli nakładać na państwa sankcje za niestosowanie się do określonych dla nich parametrów. Parlament Europejski próbował odsunąć rządy państw od wpływu na decyzje o sankcjach. W końcu tak się nie stało, a kompromis wypracowała ówczesna polska prezydencja w Radzie, zostawiając przy rządach prawo do nakładania sankcji, ale zarazem ograniczając je nieszczęsnym (jak się miało potem okazać) pomysłem tzw. odwróconej większości kwalifikowanej. Oznaczało to, że wystarczy, aby wniosek Komisji w sprawie sankcji poparła mniejszość państw (konkretnie 13 z 27), by skutecznie zostały one zastosowane.

Tamta procedura wydawała się postulatem zdrowego, ekonomicznego rozsądku w obliczu gospodarczej niefrasobliwości wielu krajów południa Unii, z Grecją i Włochami na czele. Ale w polityce precedens zawsze pozostaje precedensem. W 2014 r. Komisja zażądała podobnych uprawnień, gdy idzie o badanie respektu dla tzw. rządów prawa, a pretekstem stał się spór z węgierskim rządem Orbána. I otrzymała nowe kompetencje w zakresie tzw. ram prawnych, uchwalonych wtedy przez Radę i Parlament. A o tym, jak nowe uprawnienia Komisji działają w praktyce, rychło miała się przekonać Polska, gdy w 2016 r. Komisja rozpoczęła trwający do dziś ping-pong z rządem polskim, polegający na nieustannych przesłuchaniach władz polskich, wyznaczaniu coraz nowych zaleceń i terminów ich wprowadzenia, kolejnych raportów na ten temat, i znowu zaleceń oraz terminów na podstawie owych raportó1). A wszystko to na podstawie owych „ram prawnych" z 2014 r., w sposób oczywisty naciągających normy traktatowe. W tym przypadku sławetną normę z art. 7 traktatu (tzw. pierwszego traktatu), która stosowana rygorystycznie nie daje Komisji ani prawa do nękania rządu przesłuchaniami, ani do formułowania zaleceń, ani tym bardziej do wyznaczania terminów ich wprowadzenia w życie.

W tym przypadku Komisja (jeszcze ta kierowana przez Junckera) próbowała posunąć się jeszcze dalej, wnosząc w maju 2018 r. projekt przyznający jej prawo do żądania zawieszenia wypłat funduszy unijnych wobec krajów członkowskich. W analogii do modelu „polskiego kompromisu" przy „sześciopaku" o tego rodzaju sankcjach miałyby decydować wprawdzie rządy zasiadające w Radzie, ale ową nieszczęsną „odwróconą większością", czyli – mówiąc ludzkim językiem – mniejszością mającą prawo narzucić wolę większości. Ten pomysł był oczywiście wynikiem doświadczeń z Polską, przeciw której Junckerowi i Timmermansowi nie

eprasa.pl 0d79d6c8e0

udało się zmobilizować wystarczającej liczby państw członkowskich, chętnych do wszczęcia procedury karania naszego kraju. I dopiero całkiem ostatnio, w lutym 2020 r., nowy szef Rady Europejskiej Belg Charles Michel zdecydował w imieniu państw członkowskich o odrzuceniu owego dziwacznego projektu, który miałby nadawać mniejszości krajów prawo do karania jednego członka UE wbrew woli większości unijnych rządów. Perwersyjna z perspektywy demokratycznej idea „odwróconej większości", jaką Polska wykorzystała dla sukcesu swojej prezydencji w 2011 r., tym razem nie tylko stanęła naszemu krajowi ością w gardle przy sporze o „rządy prawa", ale przede wszystkim jest teraz przywoływana regularnie jako pomysł na to, by uniemożliwić de facto (albo co najmniej utrudnić) państwom sprzeciwienie się temu, czego akurat żąda Komisja.

Jeszcze raz precedens „scoreboardingu", który początkowo miał służyć wyłącznie kwestiom gospodarczym, Komisja wykorzystała w 2015 r. podczas kryzysu migracyjnego. Wtedy spiritus movens przyznania Komisji pozatraktatowych uprawnień władczych stała się kanclerz Merkel, a ściśle mówiąc, ówczesny szef Kanzleramtu Peter Altmaier. To pod jego presją unijne rządy zgodziły się na nadanie Komisji prawa do określania przymusowych kwot uchodźców, których każdy kraj członkowski miał przyjąć, a także oddanie Komisji władzy egzekucji owych kwot wobec krajów członkowskich. Zuchwałość Komisji pod kierownictwem Junckera posunęła się tu tak daleko, że gdy się okazało, iż z wielu przyczyn (leżących nie tylko po stronie państw, ale także po stronie uchodźców) owa przymusowa relokacja raczej się nie uda, komisarze zaproponowali w maju 2016 r., aby za każdego nieprzyjętego uchodźcę w ramach wyznaczonego dla danego kraju limitu, kraj ów był zobowiązany zapłacić karę w astronomicznej wysokości ćwierci miliona euro! Jak wiadomo, kar nie udało się Komisji wprowadzić, a uprawnienia do określania limitów i ich egzekwowania w tym przypadku okazały się czysto papierowe, bo cały system przymusowej relokacji wkrótce się wywrócił.

CO NA TO POLSKA

W Polsce zwykło się od pewnego czasu uważać, iż poszerzanie uprawnień Komisji jest z definicji dla naszego kraju szkodliwe. Niestety tak właśnie jest w większości opisanych wyżej przypadków: „rządów prawa", uchodźców czy obecnie Zielonego Ładu. Rzecz w tym, że kompetencje zyskiwane przez Komisję najczęściej dotyczą najbardziej drażliwych kwestii ideologicznych, jak właśnie spory o klimat, multikulti czy ustrojową rolę sędziów.

> Mając nowe uprawnienie w postaci dekretów, Komisja arbitralnie mogłaby prawnie zobowiązać Polskę do zamknięcia w ciągu następnego roku np. pięciu kopalń i elektrowni

Warto jednak pamiętać, iż do czasu, gdy właśnie te spory stanęły w Unii na ostrzu noża, w Polsce dominowało słuszne przekonanie, iż Komisja jest cennym sojusznikiem w wielu polskich kluczowych interesach narodowych, zwłaszcza tam, gdzie idzie o przeciwstawienie się unijnej dominacji Berlina czy Paryża. Tak właśnie jest choćby w staraniach o unijny „duży budżet" (czyli obronie bezcennej dla Polski polityki spójności), w kwestiach energetycznych, w politycznych sporach z Rosją, w obronie unijnej swobody świadczenia usług, w walce z monopolami (choćby Gazpromu) czy hamowaniu francuskich dążeń do tworzenia unijnego „twardego jądra" i wypchnięcia naszej części UE na polityczne peryferie. Tylko z tej prowizorycznej listy widać jasno, że gdyby nie postawa Komisji w tak kluczowych materiach, polskie interesy w Unii byłyby znacznie bardziej zagrożone. Na tym właśnie polega cała ambiwalencja polskiego podejścia do rozszerzania kompetencji Komisji. Tam, gdzie byłyby one przydatne z perspektywy polskiego interesu (np. w energetyce czy egzekwowaniu jednolitego rynku), nie są niestety rozszerzane. Tam zaś, gdzie dotykają drażliwych sporów ideologicznych, władza Komisji staje się – pozatraktatowo – coraz szersza.

Ten proces ma jeszcze niebłahy aspekt ogólnoeuropejski. W 2010 r., kiedy wybuchł kryzys strefy euro, kanclerz Merkel wygłosiła na berlińskim Uniwersytecie Humboldta słynny wykład na temat przyszłości Unii, który wówczas był ostro krytykowany przez najbardziej zagorzałych europejskich federalistów. Opowiadała się w nim bowiem za ostrożną polityką małych kroków w reformowaniu Unii, przeciw silnym wtedy w Europie postulatom szybkiej federalistycznej „ucieczki do przodu" przed wzmagającym się kryzysem finansowym. Merkel nawiązywała do słynnego upadku konstytucji dla Europy w referendach we Francji i Holandii, mówiąc: „Po fatalnych doświadczeniach z konstytucją należałoby teraz unikać wszystkiego, co prowadzi do przekazywania kompetencji Brukseli tylnymi drzwiami". Widać jasno, że na przekór skrajnym euroentuzjastom niemiecka kanclerz była świadoma, iż forsowane „tylnymi drzwiami" (czyli obok traktatów) nowych kompetencji Brukseli musi wywołać ludowy antyunijny opór w wielu krajach.

Tamta uwaga Merkel okazała się dla Europy niemal prorocza. Niestety sama pani kanclerz, choćby przy okazji „sześciopaku" czy relokacji uchodźców, machnęła ręką na własną przestrogę, w imię pragmatycznego forsowania doraźnego niemieckiego interesu. Dzisiejsza szefowa Komisji Ursula von der Leyen, ogarnięta entuzjazmem Europejskiego Zielonego Ładu, również lekceważy mądrą przestrogę swej politycznej patronki i przyjaciółki.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Warto pamiętać więcej

Pod datą 29 lutego 1968 r. ksiądz prymas Stefan Wyszyński zapisał w swoim dzienniku: „Na Mszy św. Jerzy Zawieyski. Po śniadaniu rozmowa o sytuacji, wytworzonej decyzją Rządu o »Dziadach«. Cały Rząd »zszedł na Dziady«, zrobił sobie niepotrzebnie zatarg ze światem literackim, który właśnie dziś ma zebranie w ZLP". To słynne zebranie Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, podczas którego miała być odczytana rezolucja przygotowana przez znanego pisarza Andrzeja Kijowskiego. Pisarze bezpartyjni obawiali się jednak, że jeśli głosowanie będzie jawne, to większość nie odważy się poprzeć Kijowskiego, a za to zapewne ze strachu poprze rezolucję przygotowaną w imieniu POP przez Stanisława R. Dobrowolskiego. I rzeczywiście, partyjne dywagacje miały być poparte nie tylko przez komunistycznych aparatczyków oddelegowanych do nadzorowania polityki kadrowej w ZLP, lecz także przez literatów z ZSL czy też ze Stowarzyszenia PAX. Dyskusja na ten temat odbyła się w przeddzień zebrania w mieszkaniu Pawła Jasienicy, podczas której zastanawiano się m.in., czy poddać pod głosowanie rezolucję „opozycjonistów", jak doprowadzić do głosowania tajnego itd. Już nazajutrz SB otrzymała na temat spotkania wyczerpującą notatkę. Czytelnicy zapewne wiedzą, że donosicielką ps. Ewa była żona wybitnego pisarza, co skutkowało natychmiastową reakcją aparatu bezpieczeństwa. Tym bardziej że podczas wspomnianego zebrania udało się doprowadzić do przegłosowania rezolucji Kijowskiego stosunkiem głosów 221 „za" do 124 „przeciw", w której literaci protestowali przeciwko ingerencjom cenzury, polityce kulturalnej władz, niedopuszczającej do rozpowszechniania i odbioru przez opinię publiczną wybranych dzieł; w ostatnim akapicie zaś pisali: „Domagamy się przywrócenia »Dziadów« Mickiewicza w inscenizacji Kazimierza Dejmka, których usunięcie wywołało zrozumiałe rozgoryczenie mieszkańców stolicy". Na zlecenie partii komunistycznej rozpoczęto dyskredytować m.in. Jasienicę, czy to plotkując o jego rzekomo żydowskim pochodzeniu (co w warunkach wytworzonych przez propagandę moczarowską miało go kompromitować), czy to sugerując, że w latach stalinowskich był donosicielem. Efektem nadzwyczajnego zebrania warszawskiego oddziału ZLP było także pobicie Stefana Kisielewskiego przez „nieznanych sprawców" i wiele innych szykan, w tym dotykających bezpośrednio Kijowskiego, którego – jak pisał w swoim dzienniku – „wylali z teatru" Dramatycznego w Warszawie, gdzie pełnił funkcję kierownika literackiego. Mieczysław Marszycki, dyrektor administracyjny teatru, namawiał go, by sam się podał do dymisji, ten jednak odmówił: „Chciał naturalnie, żebym sam złożył dymisję. A gówno". Dzięki postawie Kijowskiego Marszycki musiał sam się ześwinić.

Postawa znaczącej części literatów warszawskich była jedyną w skali kraju; żaden oddział ZLP nie poparł swych stołecznych kolegów po piórze. Zapewne z różnych powodów: ze strachu, z zawiści do lepiej sytuowanych pisarzy z Warszawy, którzy do tej pory byli traktowani jak beneficjenci reżimu. Pisarze „prowincjonalni" mogli jedynie marzyć o porównywalnej sławie, nakładach i pieniądzach. Stąd wielu przymilało się do kolejnych ekip komunistycznych, by móc się przenieść do stolicy i tu dostać prawo do meldunku.

Warto pamiętać o tym, kto wówczas – w marcu 1968 r. – „zszedł na dziady", a kto dorósł do postawy obrońców polskiej kultury. Jak pisali bowiem autorzy wspomnianej rezolucji, w polskiej tradycji wolność wyrażania swych opinii stanowiła najważniejszą wartość, podnoszącą ją na coraz wyższy poziom artystyczny. Szkoda jedynie, że literaci nie zauważyli wcześniejszych przejawów niszczenia polskiej kultury, szczególnie tych jej przejawów – widocznych dwa lata wcześniej – które związane były z chrześcijańskim dziedzictwem, a które nie mogły się przebić do opinii publicznej w roku obchodów Milenium Chrztu Polski. Podsumowując rok 1966 r., prymas pisał m.in., jak cenzura nie dopuszczała do naświetlania przez Kościół katolicki w Polsce rzeczywistego poziomu dyskusji soborowych w Kościele powszechnym czy też zakłamywała wywiady z przedstawicielami Episkopatu Polski (konkretnie z abp. Bolesławem Kominkiem), po których biskupi musieli podjąć decyzję, iż nie będą udzielać wywiadów prasie reżimowej. Cenzura i SB nie tylko nie dopuszczały do druku wydawnictw kościelnych, lecz je rekwirowały i niszczyły, a redaktorów pism katolickich, jak np. o. Mariana Pirożyńskiego, redagującego „Homo Dei", potrafiły po procesie wsadzić do więzienia. Wtedy panowała cisza. //

Jan Żaryn



eprasa.pl 0d79d6c8e0



Szczerbiec

Czy miecz koronacyjny polskich monarchów znajdujący się na Wawelu to oryginał czy kopia?

Marek Madej



Miecz koronacyjny polskich monarchów zawsze wzbudzał wielkie emocje. Dziś spoczywa wreszcie bezpieczny w specjalnej gablocie Skarbca Koronnego na Wawelu. Zwróciła go nam (z Ermitażu) Rosja na podstawie postanowień zawartego po wojnie polsko-bolszewickiej traktu ryskiego z 1921 r. Jest tam, gdzie zawsze było jego miejsce, aż do niesławnej grabieży pruskiej polskich insygniów koronacyjnych w nocy z 3 na 4 października 1795 r. Ale czy na pewno miecz eksponowany na Wawelu to oryginalny Szczerbiec?

Ostatnie badania

Ostatnie badania miecza odbyły się około roku 2011. Przeprowadził je zespół powołany przez prof. Ostrowskiego. Kierował nim dr Marcin Biborski z Instytutu Archeologii UJ, a wchodzili doń dr Grzegorz Żabiński z Muzeum Zamkowego w Malborku i metalurg inż. Janusz Stępiński z AGH. Artykuł „Szczerbiec – koronacyjny miecz królów polskich – pierwsze badania nad jego technologią" zamieszczony został na s. 77–82, wydawnictwa Alma Mater nr 122–123. Zadaniem zespołu było m.in. „doprecyzowanie dotyczące chronologii Szczerbca i jego pochodzenia". Zespół potwierdził, iż badany miecz to oryginalny Szczerbiec, pochodzący z połowy XII w., a nie jego kopia (doskonale zrobiona) wykonana w XVII w. ponoć dla hetmana Żółkiewskiego, a potem odziedziczona przez Sobieskich i Radziwiłłów i przechowywana w Nieświeżu, skąd zrabowali ją Rosjanie w 1812 r. W inwentarzu zbiorów nieświeskich pojawiła się ona po raz pierwszy w roku 1740. Według nowszych poglądów kopia ta została wykonana w końcu XVII w. na zlecenie króla Jana III Sobieskiego dla jego syna królewicza Jakuba.

W roku 1819 posiadaczem miecza – nie wiadomo, czy oryginału, czy tej właśnie kopii – był ks. Dymitr Łabanow-Rostowski, który chciał go sprzedać gen. Wincentemu Krasińskiemu, ojcu poety Zygmunta. Gen. Krasiński zasięgał opinii w sprawie zakupu u prof. Sebastiano Ciampiego. Obaj nie byli przekonani o autentyczności miecza. Łabanow w końcu sprzedał miecz w 1843 r. ks. A. Demidowowi. Po śmierci tegoż miecz wystawiono w roku 1870 na licytację w Paryżu, gdzie nabył go ambasador Rosji i kolekcjoner sztuki Aleksander Bazylewski. Jego z kolei zbiory, wraz ze Szczerbcem czy też jego kopią, trafiły w 1884 r. do Ermitażu.

Mnożą się wątpliwości

Szczegółową historię miecza Łabanowa opisał W.E. Radzikowski w broszurze „Szczerbiec, miecz bolesławowski", wydanej w Krakowie w roku 1898. Przytoczył on wiele argumentów na rzecz tezy, iż miecz Łabanowa nie był Szczerbcem, tylko właśnie kopią nieświeską. Wygląd miecza nie zgadzał się z rysunkami oryginalnego Szczerbca wykonanymi przez Przybylskiego przy okazji ostatniej lustracji skarbca w roku 1792. Różnice

FOT. MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM NA WAWELU/ DARIUSZ BLAZEWSKI

eprasa.pl 0d79d6c8e0

były znaczne i dotyczyły głowni, gałki i napisów.

W Szczerbcu oryginalnym powinna też być owa słynna dziura w strudzinie (czyli z boku ostrza), w głowni.

Na głowni miecza, u osady pod jelcami, powinien być orzeł koronny wypukło kuty, ale go nie ma. Poza tym, co podkreślano już na aukcji w Paryżu, miecz nie wyglądał na XII–XIV w. Był, zwłaszcza ostrze, zachowany w znakomitym stanie w porównaniu z innymi mieczami z epoki. Z inwentarza Skarbca z 1737 r. wiadomo, iż stan Szczerbca nie był dobry. Pochwa przerdzewiała na wylot – wykonano wtedy nową i naprawiano głownię. Pisze o tym bardzo szczegółowo W.E. Radzikowski. Miecz Łabanowa przez jakiś czas był pokazywany z pochwą gotycką (potem zaginęła), a pochwa Szczerbca wykonana była w stylu rokoko w XVIII w.

Autentyczność miecza z Ermitażu kwestionowali także znawcy rosyjscy, uczeni polscy ze Lwowa i przedstawiciele polskich rodzin magnackich, którzy nie zdecydowali się na zakup miecza w Paryżu. W roku 1897 w Petersburgu miecz oglądali dr Aleksander Czołowski, archeolog i dyrektor Archiwum Miasta Lwowa, oraz profesor Uniwersytetu Lwowskiego dr Ludwik Finkel. Obaj uznali miecz za zbyt nowy.

Kamuflaż rabusia?

Niektórzy badacze przekonują, że Szczerbiec przerabiano, by ukryć jego proweniencję ze Skarbca Wawelskiego, ale przecież sprzedanie go jako miecza koronacyjnego królów Polski przyniosłaby większy zysk. Jeśli przerabiano, to raczej zdarto napisy, które wskazywałyby na jego pochodzenie z Nieświeża właśnie i miecz określano jako miecz templariuszy. Co do ewentualnych roszczeń – jakie byłyby groźniejsze? Te rzeczywiste, ze strony Radziwiłłów, jeśliby nie starano się zamazać jego pochodzenia z Nieświeża, czy te iluzoryczne ze strony... no właśnie, jakiego podmiotu? Państwo polskie nie istniało, więc chyba ewentualne roszczenie mogłaby podnieść tylko Rosja. Stanisław August formalnie abdykował na jej rzecz, czyniąc z Kremla niejako kustosza korony polskiej. A może niczego aż tak bardzo nie ukrywano, tylko po prostu nie jest to autentyczny Szczerbiec? Powstaje też pytanie, dlaczego Szczerbiec nagle w 1819 r., czyli osiem lat po przetopieniu polskich koron przez Prusaków, znalazł się w Rosji właśnie, u rosyjskiego właściciela, który zresztą podawał różne wersje, jak wszedł w jego posiadanie. A może po prostu ks. Łabanow-Rostowski nabył nieświeski miecz od admirała Cziczagowa czy gen. Tuczkowa (albo nawet od innego oficera rosyjskiego) z grupy wojsk, które w 1812 r. złupiły zamek w Nieświeżu i dostały się nawet do radziwiłłowskiego skarbca?

Nieświeska grabież

Książę Dominik Radziwiłł w wojnie francusko-rosyjskiej stanął po stronie Bonapartego. Na czele swojego 8. pułku ułanów wkroczył 28 czerwca 1812 r. do Wilna. Cesarz odznaczył go Legią Honorową. Rosjanie to dobrze zapamiętali i korzystając z pierwszej okazji, napadli na Nieśwież. Skarby radziwiłłowskie były jednak dobrze ukryte w specjalnym schowku, do którego drogę, oprócz księcia, znał jeszcze tylko jeden człowiek – burgrabia (marszałek zamku) Albert Burchelski (Burkielski). 11 listopada 1812 r. Nieśwież został zajęty przez żołnierzy rosyjskich armii admirała Cziczagowa. Odkryto schowek i zrabowano „wspaniałe kolekcje tabakierek, biżuterii wszelkiego rodzaju, staroświecką porcelanę, bogate zbiory numizmatów i medali, chińskie i tureckie namioty, tkaniny i makaty staroświeckie, buławy hetmańskie wysadzane drogiemi kamieniami, srebro i złoto kościelne, wspaniałe ornaty i monstrancje, srebrne i złote serwisy, broń staroświecką, pancerze i tarcze, puginały tureckie, wspaniałe rzędy na konie, wozy i cenne dzieła z biblioteki, wreszcie wiele przedmiotów pamiątkowych, jak czapka z wyobrażeniem Świętego Ducha, miecz przysłany Sobieskiemu przez papieża Innocentego XI, oraz inne pamiątki po Sobieskim", w tym niestety także kopię koronacyjnego Szczerbca.

Co wiemy...

Marcin Biborski pisał w sprawozdaniu z badań z lat 2010–2011: „Reasumując, moim zdaniem w oparciu o przeprowadzone nie niszczące badania można przyjąć, iż głownia Szczerbca wykonana została według wszelkich zasad bojowej broni średniowiecznej używanej w okresie XIII i XIV, wykuto ją ze stali dymarskiej, półtwardej". Ogólna konkluzja badań zespołu dr. Biborskiego jest następująca: „Wyniki badań nad głownią oraz stylistyka zdobień i inskrypcji występujących na rękojeści pozwalają datować miecz na około połowę wieku XII", co stoi w sprzeczności z hipotezą, iż może to być kopia radziwiłłowska.

Cóż, badanie bez pobrania próbek nie może chyba dać rezultatu pewnego co do wieku materiału, z którego wykonano Szczerbiec, i kiedy poddano go obróbce. Nie poddano metalu badaniu izotopem węgla C14 – różnica 300–400 lat między oryginałem a kopią nieświeską by wyszła. Twierdzenie, że głownię wykonano według zasad wykonywania broni średniowiecznej moim zdaniem nie świadczy zatem w żaden sposób o wieku Szczerbca ani nie rozwiewa wątpliwości, czy na Wawelu jest oryginał, czy radziwiłłowska kopia. Też chciałbym wierzyć, że jest to oryginał, w końcu tak niewiele nam tego zostało, ale w nauce wiara nie wystarcza i nie do końca sprawdza się jako metoda badawcza... //

Szczerbiec jest obecnie eksponowany wystawie czasowej w Zamku Królewskim na Wawelu „Skarby epoki Piastów", upamiętniającej siedemsetną rocznicę koronacji Władysława Łokietka dokonanej na Wawelu 20 stycznia 1320 r. Na wystawie, która potrwa **do 31 marca 2020 r.,** prezentowane są bezcenne dzieła sztuki, wyroby rzemiosła artystycznego, materialne symbole kultury czasów panowania dynastii piastowskiej.

Autopromocja

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

www.wSieciHistorii.pl



eprasa.pl 0d79d6c8e0



Włodzimierz Lenin w 1917 r. po przejęciu władzy przez bolszewików szybko pozbył się z kręgu współpracowników Aleksandra Parvusa

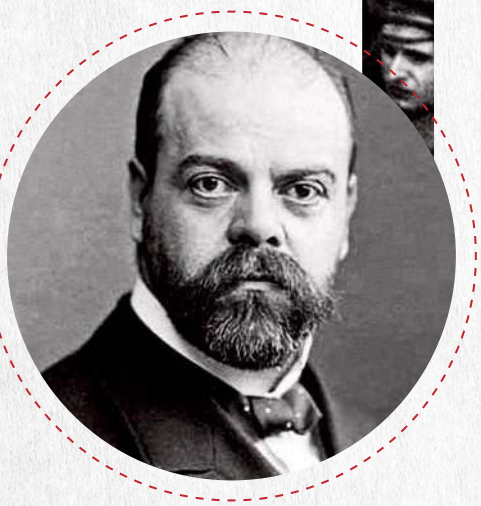
Aleksander Parvus – marszand rewolucji

Na przełomie XIX i XX w. zagrożenie dla władzy w Imperium Rosyjskim stanowiły organizacje rewolucyjne dążące do obalenia caratu



Mariusz Krzysztofiński

Jedną z nich była Narodna Wola, rozbita po zamordowaniu cara Aleksandra II w 1881 r. Na trwałe natomiast zapisała się na kartach historii Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji, powstała kilkanaście lat później, w 1898 r. Z czasem jej przywódcą został Włodzimierz Lenin. W gronie rewolucjonistów działających na terenie carskiej Rosji osobą wyróżniającą się, a w rezultacie ponadkilkudziesięcioletniej zmowy milczenia prawie zapomnianą, był Izrael Łazarewicz Helphand, znany bardziej jako Aleksander Parvus. Z powodu roli, jaką odegrał on w przetransportowaniu Włodzimierza Iljicza Lenina wraz z innymi bolszewikami ze Szwajcarii do Piotrogrodu, imię jego zostało usunięte z oficjalnej historii ruchu komunistycznego, a potem z oficjalnych dziejów bolszewickiej Rosji. Za operacją tą stał bowiem ówczesny niemiecki wywiad wojskowy.



Izrael Łazarewicz Helphand vel Aleksander Parvus

Szwajcarska droga do marksizmu

Helphand przyszedł na świat w sierpniu 1867 r. w miasteczku Berezyna w ówczesnej guberni mińskiej w rodzinie żydowskich rzemieślników. Po przeprowadzce do Odessy, czwartego co do wielkości miasta w ówczesnym Imperium Rosyjskim, zwanego rosyjską Marsylią, jako uczeń tamtejszego gimnazjum związał się z Narodną Wolą.

Wyjazd na studia do Szwajcarii umożliwiły mu środki otrzymane z Funduszu Palestyńskiego. Państwo to było wówczas mekką rewolucjonistów pochodzących z terenów carskiej Rosji. W Szwajcarii Helphand zmienił nazwisko na Parvus (z języka łacińskiego – mały), co należy traktować jako formę autoironii, gdyż w rzeczywistości posiadacz tego pseudonimu był postawnym mężczyzną. Tam też stał się zagorzałym marksistą i ateistą.

FOT. EAST NEWS/UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE; ARCHIWUM

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Wykształcenie zdobył, studiując w Bazylei i broniąc doktoratu w Genewie. W środowisku emigrantów – rewolucjonistów – zyskał opinię sprawnego organizatora, obdarzonego ciętym piórem i charakteryzującego się ponadprzeciętnym radykalizmem. Jego ówczesne publikacje pod względem treści stanowiły kwintesencję ideologii marksistowskiej.

W elicie

Taka postawa zjednała mu uznanie liderów rosyjskich i niemieckich rewolucjonistów. Jego entuzjazm i przebojowość zostały dostrzeżone przez Gieorgija Plechanowa, Klausa Kautsky'ego, Klarę Zetkin czy Różę Luksemburg. Podróżując swobodnie po Europie, stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych osób spośród przebywających na emigracji działaczy rosyjskiej socjaldemokracji. Wykorzystując swoje zdolności (m.in. językowe oraz ogładę), znajomość świata, wiedzę z zakresu ekonomii oraz doświadczenie w pracy dziennikarskiej, przeistoczył się we wpływowego ideologa marksistowskiego. Jego umiejętności organizacyjne oraz biznesowe docenił Lenin. Wyrazem tego był udział Parvusa w wydawaniu rosyjskiego czasopisma rewolucyjnego „Iskra", którego pierwsze numery wydrukowano w jego mieszkaniu. Kolejnym rewolucjonistą, który nawiązał z nim współpracę, był Lew Trocki, z którym połączyła go wiara w skuteczność „permanentnej rewolucji". Z czasem teoria ta stała się lejtmotywem poglądów Trockiego. W środowisku rosyjskich socjaldemokratów toczyła się już wówczas podskórna walka o pozycję polityczną i rolę przyszłego lidera. Nie wszystkim jednak odpowiadały rozmach i sposób działania, jak również poglądy i... hochsztaplerstwo Parvusa. Skandalem zakończyło się bowiem prowadzenie wspólnie z Julianem Marchlewskim wydawnictwa specjalizującego się w publikowaniu dzieł literatury „słowiańskiej i nordyckiej". Jednym z autorów, którego książki wydawano na niemieckim rynku bez uiszczania jakiegokolwiek honorarium, był Maksym Gorki. W 1905 r. wydawnictwo to upadło z powodu niewypłacalności.

Komunista biznesmen

Podczas rewolucji 1905 r. Parvus przyjechał do Rosji, korzystając z fałszywego paszportu. Jako człowiek zamożny, mający dochody z handlu, zainicjował działalność wydawniczą. Został aresztowany przez carską policję i skazany na trzy lata zesłania. Przy pierwszej możliwej sposobności zbiegł z transportu jadącego na Syberię. Po powrocie do Niemiec oddał się swojej drugiej – poza rewolucją – pasji, czyli zarabianiu pieniędzy. Ważnym miejscem biznesowej aktywności Parvusa okazał się Konstantynopol, gdzie sprawował stanowisko doradcy ministra finansów Turcji. Handlując lekarstwami i bronią (m.in. z koncernem Kruppa), zyskał status niezwykle majętnej i wpływowej osoby. Krajami, w których prowadził interesy, były też Szwajcaria oraz Dania. W swoim imperium handlowym zatrudniał prominentnych po rewolucji październikowej działaczy komunistycznych, którzy pasję kupiecką umiejętnie łączyli z działalnością polityczną i szpiegowską. Zresztą ten sposób funkcjonowania można uznać za modus operandi ich szefa, czyli Parvusa, który opanował go do mistrzostwa.

Pierwszy eksport rewolucji

Wybuch wojny narodów, czyli I wojny światowej, stanowił dla Parvusa okazję do powrotu do wielkiej polityki i marzeń o rewolucji. Jednoznacznie wiążąc się z Niemcami, dążył do zdestabilizowania Rosji i wywołania w niej rewolucji. Upadek caratu stanowił szansę zarówno dla Niemiec, jak i osobiście dla niego. Finansowany przez Niemców przewrót w Rosji miał doprowadzić do wycofania się tego kraju z wojny i zakończenia jej niemieckim zwycięstwem. Trwające dość długo rozmowy z przedstawicielami niemieckich kół decyzyjnych zakończyły się zaakceptowaniem koncepcji Parvusa. Był on pomysłodawcą i wykonawcą planu przewiezienia Lenina i innych działaczy bolszewickich ze Szwajcarii do Rosji. Przyszły przywódca pierwszego komunistycznego państwa, kierując się typową dla rewolucji dialektyką, zaakceptował ten plan. Swoją zgodę traktował jako niezbędny „ideologiczny kompromis", zawarty w myśl hasła: „Wszystko dla rewolucji". Na realizację tego planu Parvus otrzymał od Niemców znaczne „subwencje" finansowe. 26 marca 1917 r. Lenin wraz z 30 innymi osobami wyjechał pociągiem ze Szwajcarii w kierunku Rosji. Następnie drogą morską cała grupa udała się do Szwecji. Tam Lenin nie zgodził się na spotkanie z Parvusem. Już wówczas, kierując się względami propagandowymi i wizerunkowymi, dystansował się od niego. Całej eskapady nie dało się jednak ukryć. Lenin i towarzyszące mu osoby zostały napiętnowane przez rosyjskie środowiska patriotyczne za korzystanie z niemieckiej „pomocy" i pieniędzy. Taką postawę traktowano wówczas jako zdradę. W planach Lenina głównym celem było jednak obalenie caratu i zdobycie władzy przez bolszewików. Parvus wybiegał dalej w przyszłość, prognozując, iż rewolucja ogarnie także Niemcy, a potem kolejne kraje Europy.

Pierwsza próba przejęcia władzy przez bolszewików w lipcu 1917 r. zakończyła się klęską. Lenin wraz z najbliższymi współpracownikami uciekł do Finlandii, gdzie się ukrywał. Z obawy o własne bezpieczeństwo do Szwajcarii przeniósł się też Parvus.

Niewygodny dla wszystkich

Wieść o powodzeniu kolejnej próby przejęcia władzy przez bolszewików w październiku 1917 r. oznaczała równocześnie kres jego znaczenia. Przestał być nie tylko potrzebny, lecz stał się wręcz zbytecznym balastem, zarówno dla Lenina, jak i dla niemieckich kręgów wojskowych. Władze nowej Rosji nie wyraziły zgody na jego przyjazd do kraju. Kierując się zawiedzionymi ambicjami, Parvus zaczął dyskredytować rządy bolszewików na łamach wydawanej przez siebie prasy. Głosił tezy o zdradzie rewolucji, krytykował powstanie w 1922 r. ZSRS. Dwa lata wcześniej zmuszony został do opuszczenia Szwajcarii. Zamieszkał w ekskluzywnej posiadłości koło Berlina. Towarzyszyło mu poczucie zagrożenia. Niedługo potem w 1924 r. zmarł. Jego nazwiska trudno szukać w wydawnictwach poświęconych rewolucji październikowej publikowanych w Związku Sowieckim. Jednak w opinii specjalistów zajmujących się dziejami i działalnością tajnych służb zaaranżowana przez Parvusa operacja przewiezienia Lenina do Rosji i jej efekt – w postaci wybuchu rewolucji październikowej – nazywana jest „największą w dziejach świata udaną operacją obcego wywiadu". Sam jej pomysłodawca przeszedł zaś do historii jako „marszand rewolucji". //

Autor jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej Oddziału w Rzeszowie

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Życie i śmierć Lekarza


Karol Mikulski

Najważniejsze zasady, jakimi powinien się kierować lekarz psychiatra, Karol Mikulski wyniósł prawdopodobnie z domu. To dzięki nim nie wahał się oddać życia za swoich pacjentów



Katarzyna J. Kowalska

Został psychiatrą podobnie jak jego ukochany ojciec profesor Antoni Feliks Mikulski. Był lekarzem z powołania. Do pacjentów odnosił się z szacunkiem i tego uczył innych. Nie zgadzał się, by nazywano psychicznie chorych wariatami, z niektórymi się przyjaźnił. Za swoich pacjentów 80 lat temu oddał życie. Karol Mikulski był ojcem zmarłej w zeszłym roku historyk sztuki – Izabelli Galickiej.

Wychowanie na Kresach

Urodził się 13 czerwca 1901 r. jako pierworodny syn Antoniego Feliksa Mikulskiego i młodziutkiej pianistki Marii z domu Grodeckiej. Mieszkali w Kijowie, na którego ulicach powszechnie słychać było język polski. Tu skupiała się polska inteligencja, kupcy, rzemieślnicy. Funt cukierków u pana Franciszka Gołąbka, do którego często zaglądała Maria Mikulska, kosztował w owym czasie jednego rubla, a pudełko pomad lub czekoladek 80 kopiejek – takie wspomnienia zachowały się w listach, które babcia Maria pisała do swojej wnuczki Izy Galickiej.

Rodzina Mikulskich wyprowadziła się z Kijowa w 1906 r. Antoni Feliks Mikulski otrzymał szansę wyjazdu na stypendium do Monachium i propozycję pracy asystenta wybitnego psychiatry prof. Emila Kraepelina. Po roku cała rodzina przeniosła się ponownie, tym razem do Kulparkowa pod Lwowem, gdzie Antoni Mikulski na stanowisku ordynatora szpitala psychiatrycznego pracował siedem lat. Potem przyszła propozycja objęcia funkcji dyrektora szpitala w Kochanówce pod Łodzią.

Karol Mikulski miał już wtedy 13 lat. Uczył się w gimnazjum w Łodzi. Był zawsze blisko taty, obserwował go przy pracy. Kiedy wybuchła wojna polsko-bolszewicka w 1920 r., przygotowywał się do matury. Przerwał naukę i razem z ojcem zgłosił się ochotniczo do wojska. Maturę zdał rok później.

Kierunek – psychiatria

Postanowił pójść w ślady swojego taty, który był dla niego wielkim autorytetem nie tylko jako lekarz, lecz także jako człowiek. Po zaliczeniu pierwszego roku medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie przeniósł się do Wilna na Uniwersytet Stefana Batorego, gdzie dyrektorem katedry psychiatrii został Antoni Feliks. Ojciec zmarł nagle w 1925 r. w wyniku wylewu. „Karol grał właśnie na fortepianie, kiedy usłyszał ostatni okrzyk uwielbianego ojca [...]. Rozpaczliwe próby ratowania [...] nie przyniosły skutku. Od tego dnia Karol już nigdy nie usiadł do fortepianu" – zapisała we wspomnieniach Izabella Galicka.

Rodzina przeniosła się do Warszawy. Rok po śmierci taty Karol ożenił się z Idalią Jadwigą z domu Gieysztor. Po skończeniu studiów został asystentem prof. Jana Mazurkiewicza w Klinice Psychiatrycznej im. Jana Bożego działającej przy Uniwersytecie Warszawskim. Pensję miał bardzo skromną, dlatego dorabiał jako lekarz i psycholog szkolny w warszawskich gimnazjach. Oddany swojej profesji cały czas chciał się rozwijać, korzystał też chętnie z możliwości wyjazdów na stypendia zagraniczne, podczas których podpatrywał bardziej doświadczonych kolegów z Niemiec czy Francji. Szczególnie interesowała go sprawa cech wrodzonych i późniejszego rozwoju bliźniąt. W podróży pisał pamiętniki, notował najdrobniejsze szczegóły, nie tylko metody leczenia poszczególnych chorób, lecz także liczbę łóżek w szpitalnej sali, szkicował modele zarządzania poszczególnymi placówkami.

Zapowiedź najgorszego

W 1936 r. podczas podróży stypendialnej do Kliniki Psychiatryczno-Neurologicznej w Heidelbergu prowadzonej przez prof. Carla Schneidera zanotował, że na powitanie wszyscy, od lekarzy po chorych, stają na baczność z wyciągniętą prawą ręką i krzyczą: „Heil Hitler!". Prof. Schneider głęboko wierzył w ideologię nazistowską. Jego teoria uzasadniała czystki etniczne oraz eksterminację osób niepełnospraw-

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE RODZINY (2X)

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Karol Mikulski z żoną i córką

nych i chorych psychicznie. Trzy lata po wizycie Karola Mikulskiego w Heidelbergu prof. Schneider zaangażował się w „Akcję T-4", czyli „eliminację życia niewartego życia".

Po tym dwumiesięcznym stypendium Karol Mikulski wrócił do swoich obowiązków jako wicedyrektor i ordynator Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Gostyninie. Pracę tę zaproponował mu w 1934 r. jego kolega z Warszawy, prof. Eugeniusz Wilczkowski. Do Gostynina sprowadził całą rodzinę. Chętnie zabierał córkę na oddział, tłumaczył, czym różnią się poszczególne choroby, jak je rozpoznawać, jak leczyć. Karol Mikulski marzył, że jego córka w przyszłości zostanie lekarzem, najlepiej psychiatrą. Dziewczynka od najmłodszych lat miała kontakt z chorymi. W mieszkaniu państwa Mikulskich mieszczącym się w lewym skrzydle głównego budynku szpitala w pracach domowych pomagały pacjentki. Doktor Mikulski był gorącym zwolennikiem terapii poprzez pracę. Gościem Mikulskich był też często Karol Araszkiewicz, skrzypek, który mówił o sobie „Pan Ka". Cierpiał na schizofrenię, co nie przeszkadzało mu akompaniować żonie dr. Mikulskiego, która często grała na fortepianie.

Ucieczka od pewnej śmierci

Wiadomość o napaści Niemiec na Polskę spadła na rodzinę Mikulskich jak grom. Karol Mikulski został zmobilizowany i stawił się w Sokółce Podlaskiej. Tam spotkał swego serdecznego przyjaciela, też lekarza, Kazimierza Niemirowicza-Szczytta. Trafili do niewoli od razu po wkroczeniu wojsk sowieckich. Zaraz potem razem z oficerami zostali zapakowani do bydlęcego wagonu. Pociąg ruszył na wschód, jak się okazało w stronę obozu jenieckiego w Kozielsku.

Karol Mikulski miał w kieszeni mały pilnik do paznokci, a drzwi były zamknięte na drut. Zaczął namawiać przyjaciela do ucieczki: „– Jedziemy na pewną śmierć, znam bolszewików, nikt z nas nie wróci do domu. – Ależ jest konwencja genewska! – przekonywał Kazimierz Niemirowicz-Szczytt. – Jedziemy do obozu dla oficerów, nigdzie nie będzie bezpieczniej".

Karol Mikulski postanowił uciec sam. Po zmroku wykorzystał moment, kiedy pociąg zwolnił przed zakrętem i wyskoczył na nasyp. Ukrył się w lesie, a potem ruszył wzdłuż torów w drogę powrotną na zachód. Szedł przez miesiąc, często nocami przez lasy i małe osady, przedostał się przez strzeżony Bug. Odszukał rodzinę i razem z żoną i dziećmi (wychowywał także pasierba Jurka), wrócił do szpitala i objął swoje dawne stanowisko. Był wszakże lekarzem, wojna w tym względzie nic nie zmieniła, pacjenci go potrzebowali.

Doktor Mikulski musiał wiedzieć, że jeśli nie wykona polecenia, czeka go śmierć. Wiedział też, że chorzy, którzy znajdą się na liście, zostaną zamordowani

Ocalić pacjentów przed hitlerowską machiną śmierci

Głęboko przeżył klęskę Polski. Nie mógł się pogodzić z utratą niepodległości. W końcu 1939 r. przystąpił do Związku Walki Zbrojnej, którego komórka powstała na terenie szpitala. Zaczęły się pojawiać pogłoski, że Niemcy będą chcieli zabrać chorych. Szpital powiadamiał rodziny, aby zgłaszali się po bliskich. Rodziny jednak nie zawsze zdawały sobie sprawę, w jak wielkim są oni niebezpieczeństwie. Niektórzy nawet wierzyli, że w czasie wojny nie ma bezpieczniejszego miejsca niż szpital. Kilku lżej chorych pacjentów udało się przenieść do szpitala w Kobierzynie pod Krakowem. Dzięki temu przeżyli wojnę.

W lutym 1940 r. Niemcy zorganizowali pierwsze „transporty". Pod szpital podjechała ciężarówka i kazano wyprowadzić wszystkich pacjentów, za których płaciło miasto. Ciężarówka wypełniona chorymi nie pojechała jednak w stronę miasta, ale w głąb lasu. Andrzej Wilczkowski, syn dyrektora szpitala prof. Eugeniusza Wilczkowskiego, będąc tego dnia na spacerze, usłyszał strzały z karabinów. Nie było wątpliwości – chorzy zostali zabici.

W marcu Niemcy objęli zarząd w szpitalu. Zadawali dużo pytań, chcieli się zorientować, jak funkcjonuje placówka: „[...] zachowywali się zupełnie poprawnie, nikomu nie przeszkadzali w pracy, nie stawiali żadnych specjalnych wymagań poza tym, że polecili, by cały personel pozdrawiał ich pierwszy przy spotkaniu" – zapisała dr Anna Kulikowska, która w tym czasie także pracowała w klinice.

„Jak ja mogę wysłać ich na pewną śmierć..."

17 marca 1940 r. do szpitala przyjechała niemiecka komisja. Wezwali polskich lekarzy. Doktor Mikulski, biegle znający język niemiecki, został zobligowany do przygotowania listy pacjentów, którzy nie rokują na wyzdrowienie. Miał na to 24 godziny: „Nie sposób ocenić, którzy mają szanse wyzdrowieć, a którzy nie – argumentował Karol Mikulski. – Żeby postawić diagnozę, potrzeba czasu".

Odpowiedź Niemców była kategoryczna: „Ta decyzja nie podlega dyskusji!".

Dr Mikulski musiał wiedzieć, że jeśli nie wykona polecenia, czeka go śmierć, w najlepszym wypadku więzienie. Wiedział też, że chorzy, którzy znajdą się na liście, zostaną zamordowani.

Nie chciał dokonać takiego wyboru pacjentów, wszyscy byli mu równie drodzy.

Wrócił do domu. Usiadł ciężko na kanapie, żona zwinęła się obok i położyła »

eprasa.pl 0d79d6c8e0

» głowę na jego kolanach. Głaszcząc ją po głowie, zaczął opowiadać, co się wydarzyło, urywał zdania, nie kończył myśli. Jego głos był ledwie słyszalny. „Ty śpisz, Jadzieńko?" – zapytał, widząc, że żona nie reaguje na jego słowa.

Za kanapą siedziała córka Iza, podsłuchiwała, choć niewiele rozumiała z tego, co mówi tata. Czuła jednak, że zdarzyło się coś strasznego. Kiedy Karol Mikulski jak zawsze wieczorem przyszedł do pokoju córki, żeby przynieść jej herbatę, chciał ją pocałować w rękę, ale ona szybko wyrwała dłonie i schowała je pod kołdrę. Miała brudne paznokcie, nie chciała, żeby tatuś to zauważył. Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

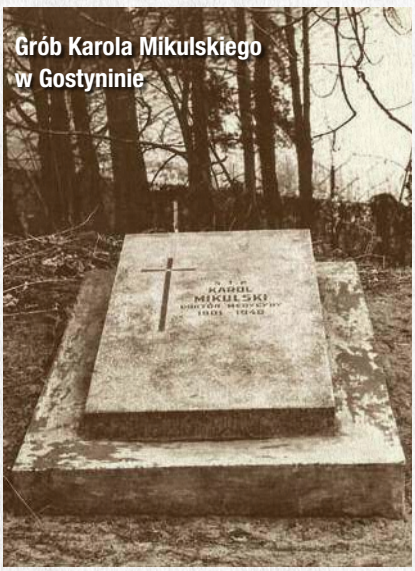
Nazajutrz Jadwiga Mikulska poprosiła dzieci, aby zawołały tatę na śniadanie. Drzwi do jego gabinetu były zamknięte od wewnątrz. Dzieci pukały, w końcu zaczęły walić pięściami. Wreszcie Jurek, starszy brat Izy, wyważył drzwi.

Karol Mikulski leżał na tapczanie w ubraniu. Głowę okalała poduszka, trzymał w dłoni jej róg i przytulał do policzka – tak zapamiętała tatę Iza, która zaraz za bratem wbiegła do pokoju. Podbiegła do ojca, chciała go pocałować. Ale jego twarz była zimna. Gwałtownie się odsunęła. Zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

Nie podano jej prawdziwej przyczyny śmierci taty. Ale wszyscy naokoło wiedzieli...

Pogrzeb dr. Mikulskiego

Obsypany kwiatami katafalk z otwartą trumną ustawiono w gabinecie doktora. Iza Galicka tak opisała w pamiętniku dzień pogrzebu: „Przy katafalku klęczy przytulona do trumny, znieruchomiała, cała w czerni babunia, która przyjechała z Warszawy. Jacyś ludzie przechodzą przed trumną. Mama prowadzi mnie do Tatusia, który wygląda, jakby spał, w czarnym garniturze, ze złożonymi rękoma, ze spokojną, pogodną, twarzą. Całuję go w chłodny policzek i wybucham płaczem. Dociera do mnie z przerażającą jasnością, że widzę go po raz ostatni".



Grób Karola Mikulskiego w Gostyninie

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE RODZINY (2X)

Kondukt żałobny ruszył ze szpitala na oddalony o ponad pięć kilometrów gostyniński cmentarz położony na wzgórzu nad jeziorem Kocioł. Przygotowano miejsce pod sosną z widokiem na jezioro. W kondukcie szły tłumy ludzi. Samobójcza śmierć dr. Mikulskiego była potraktowana jako akt protestu przeciw częściowo już realizowanym zamiarom Niemców w stosunku do psychicznie chorych. To była milcząca manifestacja.

Wiadomość o śmierci psychiatry rozniosła się po Polsce. Dotarła także do uszu Stanisława Lema, który jako student medycyny odbywał staż w szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie pod Krakowem. Jego pierwsza powieść „Szpital przemienienia" jest nad wyraz realistyczna, opisuje wojenne losy szpitala dla psychicznie chorych. Pierwowzorem jednego z lekarzy miała być właśnie osoba Karola Mikulskiego. //

POLSKIM OKIEM

Nokia i... polska siatkówka



Ryszard Czarnecki

Ostatnio rozmawiałem z moim kolegą przez lata mieszającym w Finlandii, że dla mnie najbardziej rozpoznawalnymi symbolami tego kraju są – poza sauną – instrument muzyczny kantele, marka Nokia i marszałek Carl Gustaf Mannerheim. Wiem, Nokia już nie jest w rękach Finów, a dla niektórych pewnie ważniejszy od przywódcy antysowieckiego fińskiego oporu w latach 1939–1940 jest prezydent Finlandii z czasów „odprężenia" między Wschodem a Zachodem Urho Kekkonen. Do symboli można jeszcze dodać okrzyk „Heja, Suomi", który słyszą fińscy sportowcy od swoich kibiców.

A jakie są symbole naszej Polski? Kopernik, Szopen, Skłodowska-Curie? Pierwszego chcieli ukraść Niemcy, drugiego Francuzi, którzy też wyciągali rękę po „Marię Curie" – pisaną bez jej panieńskiego nazwiska. Ale na pewno, tak, to są polskie symbole. Jeszcze większym symbolem jest papież Jan Paweł II. Pośród kibiców sportowych na sześciu kontynentach chyba wszyscy znają Roberta Lewandowskiego. Ale, uwaga, znają go jako Polaka z Bayernu Monachium, ale futbolu z Polską wcale nie kojarzą.

Jednak jest coś, co z Polską kojarzy się szczególnie. Zwłaszcza w ostatnich latach. I to też jest sport. Chodzi o siatkówkę. Zdobyliśmy w niej dwa razy z rzędu mistrzostwo świata mężczyzn (2014 i 2018). Mamy najlepszego siatkarza świata – Leóna, najliczniejszą i najlepszą pod słońcem siatkarską publiczność, najlepszy system szkolenia dzieci i młodzieży, włącznie z wyłapywaniem wielkich talentów. Stanowimy wzór najlepiej organizowanych w skali świata imprez, zwłaszcza międzynarodowych.

A jest to sport, który bardzo późno pojawił się na igrzyskach olimpijskich. Miałem raptem roczek, gdy siatkówka pań i panów pojawiła się w programie IO w Tokio w 1964 r. Skądinąd nasze siatkarki zdobyły wtedy brązowy medal, by powtórzyć to potem w Meksyku w 1968 r. Polacy uczyli się od Polek, bo swój pierwszy medal, od razu złoty w mistrzostwach świata, wywalczyli w 1974 r. (też w Meksyku), by po dwóch latach rozbić Sowietów w finale igrzysk w Montrealu. Do dziś dźwięczą mi w uszach słowa polskiego sprawozdawcy, który po ostatniej piłce piątego seta wykrzyczał: „Czernyszow – aut!". A to oznaczało, że usłyszymy „Mazurka Dąbrowskiego". Kolejny raz na polski hymn musieliśmy czekać aż 21 lat, gdy nasi juniorzy zdobyli w dalekim Bahrajnie tytuł mistrzów świata. Nie, ani słowa nie napiszę o tym, co chcemy zdobyć na IO w Tokio... //

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Rekordowy rok spółki LOTOS Air BP Polska

LOTOS Air BP Polska należy do kluczowych dostawców paliwa lotniczego na polskich lotniskach. Sprzedaje, dostarcza i tankuje najwyższej jakości paliwo JET A-1 z gdańskiej rafinerii LOTOSU, które trafia do samolotów największych linii lotniczych na świecie. Ubiegły rok był dla spółki rekordowy – odbyło się aż 44 tys. operacji tankowania. W 2020 r. spółka planuje dalszy intensywny rozwój.

Na 14 polskich portach lotniczych działa obecnie trzech dostawców paliwa lotniczego. Spółka LOTOS Air BP Polska systematycznie zwiększa sprzedaż paliwa. Świadczą o tym wyniki uzyskane w 2019 r. – 44 tys. operacji tankowania przełożyło się na wzrost wyników sprzedaży o 13 proc. w stosunku do roku 2018 oraz na wzrost wyniku netto o 25 proc. LOTOS Air BP Polska systematycznie poszerza bazę swoich klientów o linie lotnicze korzystające z polskich lotnisk. Są to najbardziej znane linie lotnicze z całego świata, jak choćby Qatar Airlines.

Dobre wyniki osiągnięte w 2019 r. to podstawy do prognoz dalszego rozwoju spółki. Sprzyja temu także wzrost liczby pasażerów w ruchu lotniczym oraz otwieranie nowych destynacji przez linie lotnicze. Przekłada się to na wzrost zapotrzebowania na paliwo lotnicze – według prognoz na 2020 r. wzrośnie ono o ok. 6 proc. Należy także zwrócić uwagę, że niemal całe zapotrzebowanie na paliwo lotnicze w Polsce zaspokajane jest z produkcji w polskich rafineriach. Daje to solidne podstawy, aby optymistycznie patrzeć na rozwój tego segmentu w Polsce.

Zwiększające się zapotrzebowanie na paliwo lotnicze, a także zwiększanie bazy klientów, stawia przed spółką LOTOS Air BP Polska nowe wyzwania. Jednym z nich jest zwiększenie możliwości operacyjnych. Wiąże się to z modernizacją infrastruktury i zakupem nowych cystern lotniskowych. Konieczna będzie także dalsza rozbudowa narzędzi informatycznych wspierających operacje, które LOTOS Air BP Polska już wprowadziła. To m.in. aplikacja dedykowana do obsługi tankowania statków powietrznych. Zapewnia ona dostosowanie sposobu rejestracji wydań do zmieniających się przepisów w zakresie obrotu produktami akcyzowymi oraz znacznie usprawnia pracę przy dynamicznie rosnącej liczbie operacji tankowania na lotniskach. W 2020 r. priorytetem dla LOTOS Air BP Polska będzie dalsze umacnianie swojej obecności w polskich portach lotniczych, przy zachowaniu najwyższych standardów bezpieczeństwa i ciągłości działania.

Spółka LOTOS Air BP Polska, dla zwiększenia komfortu planowania lotów i obsługi naziemnej samolotów, wprowadziła jako jedyny operator na polskim rynku kartę paliwową dla pilotów. Dzięki temu rozwiązaniu użytkownicy Sterling Card są obsługiwani w Polsce w ten sam sposób jak w innych lokalizacjach siatki Air BP.

Spółka jest także obecna w przestrzeni publicznej, czego najlepszym przykładem są pokazy lotnicze LOTOS Aerobaltic. Kolejna edycja już 7, 8 i 9 sierpnia w Gdyni.

LOTOS Air BP Polska to spółka, w której równorzędnymi udziałowcami są Grupa LOTOS oraz Air BP. Powstała w 2013 r. w wyniku zakupu przez BP Europa SE 50 proc. udziałów w spółce LOTOS Tank należącej do Grupy LOTOS. Przedmiotem działalności spółki jest sprzedaż paliwa lotniczego JET A-1 oraz tankowanie paliwem lotniczym samolotów na lotniskach w Gdańsku, Warszawie, Katowicach, Lublinie, Olsztynie i Poznaniu. Firma obecnie posiada 25 proc. udziału w rynku sprzedaży paliwa lotniczego w Polsce.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 22/1219/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Branża elektrociepłownicza jest wyjątkowo ciekawa, zwłaszcza w dobie prób schładzania klimatu i nacisku na transformację w kierunku zero-waste, recyklingu totalnego i likwidacji tzw. śladu węglowego. Powstrzymać globalne ocieplenie, mniej marnować, odzyskiwać, ile się da, używać ponownie i na tym zarabiać. To nie marzenie ściętej głowy ekologów, ale filozofia nowego przemysłu i gospodarki obiegu zamkniętego. W przypadku np. elektrociepłowni wyjątkowo ciekawe wydaje się połączenie pozornie sprzecznych celów, jakimi są z jednej strony produkcja ciepła, a z drugiej wkład w schładzanie klimatu. O transformacji energetycznej miast oraz przemysłu rozmawiają Maksymilian Wysocki, redaktor zarządzający portalu wGospodarce.pl, oraz ***Frédéric Faroche***, prezes i dyrektor generalny Grupy Veolia w Polsce

Odzyskiwać, nie marnować

To nawet ironiczne, że państwa biznes polega na produkcji ciepła, które w nowej polityce klimatycznej należy redukować...

Frédéric Faroche: Trzeba produkować ciepło, ale efektywnie kosztowo i w sposób dający najlepszy efekt środowiskowy przy zaangażowaniu najmniejszych środków. Na przykład w elektrociepłowniach, które są aż 25 proc. bardziej efektywne niż oddzielna produkcja prądu i ciepła. Jednocześnie ciepło należy zatrzymywać wewnątrz systemu, dlatego nawet w dłuższej perspektywie ciepłownictwo systemowe powinno być w centrum uwagi, bo pozwala na oszczędności. Miasta w Europie potrafią tracić mnóstwo ciepła i wody. Dla przykładu – jedną z miar sprawności sieci ciepłowniczej jest to, ile razy uzupełnia się ją na rok. W niektórych europejskich miastach robi się to nawet 30–40 razy, a dla porównania w Warszawie 5–6, w Poznaniu 3–4, przy czym 4 to doskonały wynik. To daje wyobrażenie, jak wartościowe pod względem ekologicznym jest to, co mamy do dyspozycji.

Co właściwie oznacza bardziej zielona, ekologiczna gospodarka? Co musi się zmienić?

Dla Veolii to gospodarka obiegu zamkniętego. We wszystkich obszarach naszej działalności: zarządzaniu energią, wodą i odpadami, wprowadzamy jej zasady w praktyce. Chodzi o to, by sięgać po jak najmniej surowców oraz wykorzystywać je najefektywniej, jak się da. Na przykład ograniczając straty ciepła i wody na etapie dystrybucji. W końcu – by to, co pozostanie, wracało do obiegu i było wykorzystane ponownie. W ten

eprasa.pl 0d79d6c8e0

sposób zamykamy obieg. Dla przykładu w Tarnowskich Górach wykorzystujemy biogaz powstający w toku fermentacji osadów ściekowych do produkcji ciepła zasilającego nasze obiekty technologiczne. Pracujemy nad tym, aby wykorzystać biogaz jeszcze szerzej – do produkcji energii elektrycznej oraz ciepła, które w przyszłości może zasilać miasto. Podobnie można zagospodarować odpady, przekształcając je w paliwo dla elektrociepłowni.

Tylko jak droga jest ekologia? Ile kosztować będzie bardziej zielona gospodarka? Co jest do zrobienia?

W ostatnich latach sektor wodno-kanalizacyjny przeszedł modernizację i moim zdaniem jest na dobrym poziomie. W przypadku zarządzania odpadami ten proces trwa i niezbędne są inwestycje, ale zamknięcie obiegu nie wiąże się z kosztami, których nie da się pokryć. Otwartym pytaniem pozostaje energetyka. Koszty jej transformacji znacznie przekraczają możliwości sektora. Według Komisji Europejskiej, ograniczenie emisji gazów cieplarnianych o 40 proc. do 2030 r. w całej Unii Europejskiej pochłaniałoby ok. 260 mld euro rocznie.

Ekonomicznie to się nie opłaca?

Z punktu widzenia ekonomii to się nie opłaca. Dziś trzeba odpowiedzieć na pytanie – co chcemy osiągnąć, w jaki sposób i jak to sfinansować. Podejście musi być zrównoważone, bo nikt w pojedynkę nie zapłaci, ani państwo, ani firmy, ani klienci. To powinien być efekt konsensu.

Niedawno przyznawał to już także naczelny redakcji ekonomicznej „Die Welt", pisząc, że transformacja ekologiczna może się skończyć plajtą bardzo wielu firm przemysłowych, więc nawet najbardziej aktywni na tym polu Niemcy dopiero zaczynają to dostrzegać. Ale dość ważne jest też pytanie, czy da się zarabiać w tej nowej ekonomii?

Oczywiście da się. Współczesna gospodarka idzie w parze z najnowszymi rozwiązaniami proekologicznymi. Jako przykład weźmy ponowne wykorzystanie pozostałości po spalaniu węgla w elektrociepłowniach. Kiedyś popioły lotne trafiały do stawów osadowych przy elektrociepłowniach, a po latach zaczęliśmy je osuszać, by służyły jako wypełnienie przestrzeni po wyeksploatowanych złożach w kopalniach, zabezpieczające przed ich zawałami i zapadnięciami gruntu. Obecnie te uboczne produkty spalania są wykorzystywane jako pełnowartościowe materiały do produkcji ceramicznych wyrobów budowlanych (cegły) oraz są stosowane w szeroko pojętym budownictwie. Ta zmiana zajęła 15 lat. Prowadzimy eksport popiołów lotnych do Skandynawii drogą morską od 2017 r., co ciekawe – byliśmy pierwsi w historii polskiej energetyki, oraz do krajów Europy Zachodniej. Ostatnio dostaliśmy zapytanie o możliwość wykorzystania naszych produktów przy budowie nowego tunelu w Alpach między Francją a Włochami.

W Poznaniu sieć ciepłowniczą zasilamy ciepłem odpadowym pochodzącym z pracy sprężarek w Odlewni Volkswagena (ciepło trafia do pobliskich budynków oraz szpitala). W Miasteczku Śląskim wytwarzamy ciepło z gazu pochodzącego z procesu produkcji cynku w hucie. To zasoby teraz są dla nas źródłem energii cieplnej, która trafia do ponownego obiegu. To przykład działań na rzecz ekologii i ekonomii.

Piękny przykład, jak z odpadu zrobić produkt.

Dziękuję, ale wciąż wiele można zrobić w tym obszarze.

A sam gaz, wśród odnawialnych źródeł energii widziany jest przez Brukselę dość niechętnie... Podobnie jak atom.

W Unii Europejskiej widać koncentrację na odnawialnych źródłach energii, ale miks energetyczny powinien być mądry, realistyczny i do pewnych rozwiązań należy dochodzić stopniowo. Lepiej też, gdy transformacja jest efektem debaty. O ile o produkcji energii elektrycznej czy rynku gazu się rozmawia, o tyle ciepłownictwo wydaje się zapomniane. W debacie należy brać pod uwagę zdanie różnych interesariuszy, bo tylko tak powstają efektywne rozwiązania.

W obszernym dokumencie poświęconym tym zagadnieniom w przyszłości nakreślili państwo trzy scenariusze.

To bardziej wizja, punkt wyjścia do dyskusji. Pierwszy nazwaliśmy Restopia – samowystarczalna, zdecentralizowana energetyka wykorzystująca źródła odnawialne. Wiele krajów i zwykłych ludzi ma taki scenariusz w głowie. Wiąże się jednak z wieloma wyzwaniami – jak przejść do niego od modelu scentralizowanego, jak zbilansować system, kiedy na przykład nie świeci słońce lub nie wieje wiatr? W drugim scenariuszu rozważaliśmy niedobór energii, który mimo działania elektrowni jądrowej musimy kompensować importem. W trzecim Polska pozostaje przy węglu, ale ten się wyczerpuje i trzeba go kupować za granicą, co właściwie nie jest dalekie od dzisiejszej rzeczywistości.

W naszej ocenie przyszłość będzie łączyć różne elementy tych scenariuszy. Musimy też uwzględnić w niej gaz, zwłaszcza jako rozwiązanie przejściowe. Może dla części polityków z zachodniej Europy jest jak węgiel, ale w Polsce jest niezbędny jeszcze przez przynajmniej 20 lat.

To nie jakaś aberracja, żeby traktować gaz jak węgiel?

Dla mnie tak. Pierwszy scenariusz nazywa się Restopia, bo całkowite oparcie się na źródłach odnawialnych nie jest możliwe. To powinien być miks rozwiązań, choć energia odnawialna na pewno będzie bardzo ważna w przyszłości. Poza tym nie można ot tak przeskoczyć od dzisiaj do 2050 r. Jest droga dojścia i wiedzie przez gaz, biomasę, biowęgiel (wytworzony z biomasy). Dlatego niezbędna jest debata na ten temat, a my – uruchamiając platformę on-line Transformacja2050 z wnioskami z naszej analizy – chcemy ją uporządkować i zaprosić innych uczestników rynku i wszystkich zainteresowanych, ekspertów, bo im jest ich więcej, tym szerszą mamy perspektywę.

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 0d79d6c8e0



Najwyższy zysk netto, najwyższa sprzedaż, największe zaangażowanie pracowników. Grupa PZU osiągnęła w 2019 r. najlepsze wyniki w swojej giełdowej historii

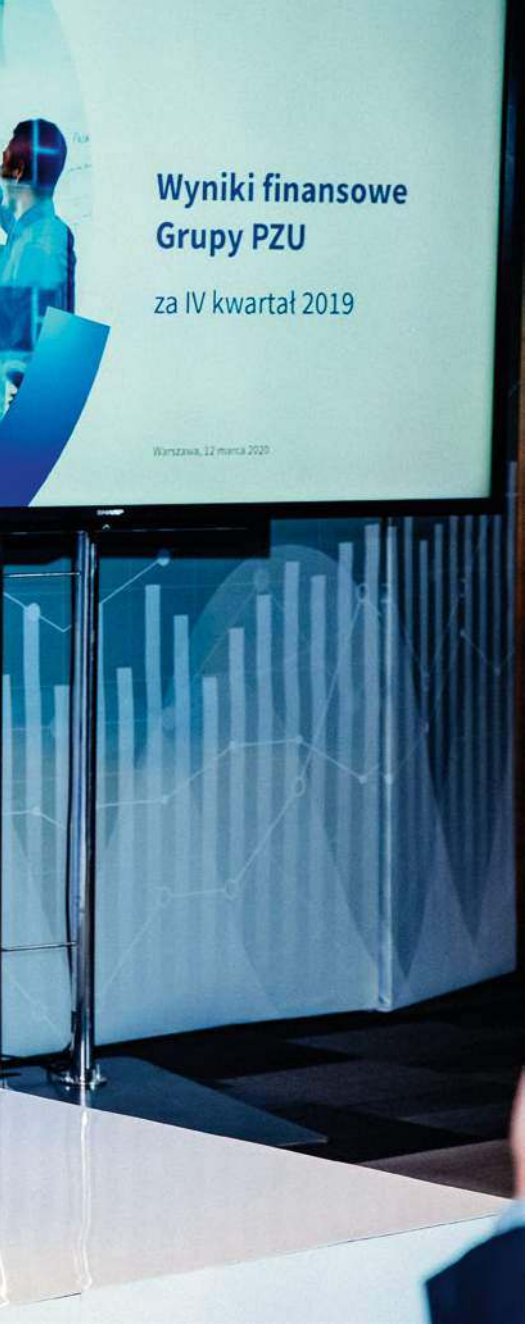
PZU bije rekordy

Gdy na początku marca PZU ogłosiło, że w związku z zagrożeniem koronawirusem uruchamia bezpłatne konsultacje medyczne dla wszystkich Polaków, nie tylko swoich klientów, wyznaczyło wysoką jak nigdy poprzeczkę dla konkurentów z branży. Gdy tydzień później ogłosiło swoje finansowe wyniki, zakasowało wszystkich. Największy polski ubezpieczyciel nieustannie dostarcza dowodów, że spektakularne biznesowe sukcesy można łączyć ze społecznym zaangażowaniem.

Finansowe wyniki Grupy PZU przekroczyły oczekiwania analityków. Zysk netto sięgnął prawie 3,3 mld zł, sprzedaż – 24,2 mld zł. – Pobiliśmy rekord w naszej giełdowej historii – mógł dumnie ogłosić prezes PZU Paweł Surówka. Opowiadając na konferencji prasowej na warszawskiej giełdzie o spektakularnych sukcesach, konsekwentnie podkreślał, jak duży udział w nim mają pracownicy PZU.

Nie bez przyczyny. Miniony rok przyniósł również rekordowe dla Grupy PZU wyniki w badaniu zaangażowania pracowników. Według renomowanej firmy Kincentric wskaźnik zaangażowania sięgnął 51 proc., o 11 pkt proc. więcej niż przed rokiem. Przekroczył o kilka punktów nie tylko średnią dla

eprasa.pl 0d79d6c8e0



firm ubezpieczeniowych, lecz wszystkich firm w Polsce. – Najlepsze w naszej giełdowej historii zyski i rekordowa sprzedaż świadczą nie tylko o skutecznym wcielaniu w życie ambitnej strategii i innowacyjnych projektów, lecz również o tym, że Grupa PZU stała się w ostatnich latach miejscem, w którym pracownicy chcą pracować i pracują z pełnym zaangażowaniem – mówi prezes Surówka.

TROSKA O KLIENTÓW

Nie byłoby sukcesów, gdyby nie zaufanie klientów. Grupa PZU ma ich aż 22 mln. Jak podkreśla Paweł Surówka, Grupa koncentruje się na tym, by jak najlepiej zaspokajać ich oczekiwania i potrzeby. – To fachowa i sprawna obsługa, bliskość placówek, szeroki zakres usług on-line i oferta coraz lepiej dopasowana do wymagań klientów. Naszą ambicją jest oferowanie takich produktów i usług, z jakich sami chcielibyśmy korzystać i mieć dla swoich rodzin – tłumaczy.

Zwiększanie liczby oddziałów i biur agentów wyłącznych PZU, których jest już 2 tys., jest również sposobem na to, by przeciwdziałać marginalizacji mieszkańców niewielkich miejscowości, a także osób niedołężnych czy niepełnosprawnych, dla których problemem jest dotarcie do odległych placówek.

– W trosce o wygodę klientów robimy jednocześnie szybki i śmiały skok w świat cyfrowy. Dziś nasi klienci mogą pod jednym adresem zgłosić szkodę, umówić się z lekarzem, kupić polisę czy inwestować swoje oszczędności. Ten adres to mojePZU.pl, najbardziej rozbudowana platforma na rynku finansowo-zdrowotnym w Polsce – mówi prezes spółki.

ZDROWIE I FINANSOWE BEZPIECZEŃSTWO

Szczególną rolę w działalności Grupy PZU odgrywają usługi medyczne. Liczba placówek własnych PZU Zdrowie wzrosła w zeszłym roku dwukrotnie – do 130. Placówek partnerskich jest już 2,2 tys. – Dzięki rozwojowi sieci PZU Zdrowie zapewniamy pacjentom coraz lepszy dostęp do usług na najwyższym poziomie. Jako pierwszy operator medyczny uruchomiliśmy też Wirtualną Przychodnię, dzięki której pacjenci mogą bez wychodzenia z domu zasięgnąć porady lekarza, otrzymać skierowanie na badania albo receptę na lek – mówi Paweł Surówka.

Przykładem innowacyjnych rozwiązań jest też uruchomiona w 2019 r. internetowa platforma pożyczkowa Cash, efekt współpracy PZU i Alior Banku. Daje pracownikom wygodny dostęp do szybkich, tanich i bezpiecznych pożyczek, o które mogą występować za pośrednictwem pracodawców. Ma również wymiar społeczny, chroniąc osoby, które w nagłych życiowych sytuacjach potrzebują gwałtownie pieniędzy, przed zaciąganiem długów na lichwiarskich warunkach.

SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Biznesową działalność PZU łączy ze społecznym zaangażowaniem. Również pod tym względem rok 2019 był wyjątkowy – latem spółka ogłosiła swoją społeczną strategię #10latdłużej. To projekt, który łączy wiele inicjatyw na rzecz zdrowia i bezpieczeństwa Polaków. – Są adresowane do wszystkich, nie tylko do naszych klientów – podkreśla prezes Surówka.

Ubezpieczyciel organizuje profilaktyczne badania zdrowotne, akcje edukacyjne, jak „Bezpieczne wakacje z PZU", i kampanie społeczne na rzecz bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Finansuje sprzęt dla strażaków z jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej i rozdaje pieszym światełka odblaskowe, które mają ich chronić przed wypadkami na drodze. – Sukcesem jest każda tragedia, której udaje się zapobiec – mówi Paweł Surówka.

AMBITNE CELE

We współpracy z Ministerstwem Zdrowia PZU uruchomiło też w 2019 r. innowacyjny na światową skalę projekt „Opaska życia". To niewielkie, zakładane na rękę urządzenie, które monitoruje podstawowe parametry życiowe pacjentów i alarmuje personel medyczny o sytuacjach zagrożenia. Pierwsze „opaski życia" trafiły, w ramach pilotażu, do pacjentów Mazowieckiego Szpitala Wojewódzkiego im. Jana Pawła II w Siedlcach. W przyszłości mogą znaleźć szerokie zastosowanie w szpitalach i przychodniach. Mogą również służyć do monitorowania stanu zdrowia samotnie mieszkających starszych czy chorych osób.

– Robimy wiele, a chcemy jeszcze więcej. Miarą sukcesu jest dla nas osiąganie nie tylko biznesowych, lecz i społecznych celów. Ciesząc się rekordowymi zyskami, chcemy realizować projekty służące wszystkim Polakom. W trosce o ich zdrowie i bezpieczeństwo – podkreśla prezes PZU.

Piotr Grochowski

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 21/1219/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0

JACEK LENARTOWICZ AKTOR

Na fale mogę patrzeć cały dzień

W ostatnich latach, za sprawą serialu „Wataha", w którym grałem pogranicznika Michała Łuczaka, dobrze poznałem Bieszczady. Bywałem w nich wcześniej, w ramach uczniowsko-studenckich wypadów nad Solinę, ale wtedy bardziej interesowaliśmy się dyskotekami i szukaniem alkoholu niż walorami estetycznymi otoczenia. Dopiero jako dojrzały człowiek zobaczyłem, i w pełni doceniłem, urok Bieszczad. Może dlatego, że nie widziałem w nich typowych gór.



Fot. Niemiec/AKPA

To wciąż piękny i nieuładzony cywilizacyjnie obszar. Nadal jedzie się tam osiem godzin. I dzięki Bogu, bo skoro trudno się w to miejsce dostać, to docierają tam tylko ci, którzy tego naprawdę chcą. Nie jest to wypad na Mazury – wyruszamy w piątek po południu, biwakujemy i bawimy się w sobotę, a w niedzielę pomału zbieramy się do domu. Tam trzeba wyruszyć co najmniej na tydzień – żeby dotrzeć, zaaklimatyzować się, potem trochę pobyć i dopiero wyjechać.

Bieszczady nadal są magiczno-pierwotną krainą, ale piękno i dziewiczość przyrody zachowują też okolice Zwierzyńca (w woj. lubelskim) i Roztocze (łączące Wyżynę Lubelską z Podolem). Te miejsca też polecam znajomym. Czuję się trochę ambasadorem tamtego rejonu Polski.

Wracając jednak do samych Bieszczad. Kiedy o nich myślę, widzę coś przeciwnego do ostrych i nieprzyjemnych Tatr (choć przecież to też Karpaty). Tyle że pasma, które leżą między Przełęczami Łupkowską i Wyszkowską, są zarazem monumentalne i przysadziste, niczym baby wciągnięte z pieca. I lasy porastają je po same wierzchołki.

Magiczne jest to, że gdy przyjdzie pierwszy przymrozek, wszechobecna zieleń znika jak za dotknięciem różdżki. Pamiętam, kiedy przy okazji kręcenia pierwszego sezonu „Watahy" przyjechałem do Polańczyka, zobaczyłem za oknem wielkie zielone drzewo. Po nocy, w czasie której przyszedł mróz, miałem przed oczami żółto-czerwoną koronę. Niesamowite. Tak jak doświadczenie obecności dzikich zwierząt zamieszkujących te tereny, choć z niedźwiedziem nie miałem bezpośredniej styczności.

Zupełnie inne doświadczenia przywiozłem z Australii, w której żyłem przez pięć lat (na przełomie lat 90. i początku nowego tysiąclecia). Na antypodach został mój najstarszy syn. Ja byłem tam jeszcze ze dwa razy, a teraz to raczej on przylatuje do Polski, bo tu mam jeszcze czwórkę dzieci. Wyjazd z taką gromadką byłby kosztowny.

Mieszkałem w Sydney, więc trochę pozwiedzałem tereny w górę i w dół mapy. Byłem w Brisbane i jeździłem autostradą do Melbourne (prawie tysiąc kilometrów). Rzucała się w oczy czerwoność tamtejszej ziemi. Pamiętam końcówkę pożaru w okolicach Sydney, gdy nasycone olejkami eterycznymi eukaliptusy paliły się jak pochodnie, wybuchając z wizgiem i sykiem. Nieprawdopodobne wspomnienia.

Brałem też udział w polowaniach na dzikie świnie i króliki, które są tam wielkim problemem. Kiedy pierwszy raz wziąłem do ręki winchestera, poczułem rozczarowanie. Nie był wcale tak duży, jak sobie wyobrażałem, czytając o Winnetou czy Oldzie Shatterhandzie.

Australia była jedną z przygód mojego życia. Bieszczady wciąż mnie fascynują, ale kiedy myślę o miejscu, do którego dziś mógłbym się na dłużej przeprowadzić, to widzę nasze polskie morze. Mam takie marzenie, że za jakiś czas posprzedaję wszystko, co tu mam, i kupię mały pensjonacik nad Bałtykiem. Będę tam siedział, czytał książki i chodził na długie spacery z psami. Myślę, że gdybyśmy wierzyli w poprzednie byty na ziemi, we wcześniejszym wcieleniu musiałem być wikingiem albo marynarzem, bo morze bardzo mnie ciągnie. Na fale mogę patrzeć cały dzień.

Jolanta Gajda-Zadworna

eprasa.pl 0d79d6c8e0



SŁODKO-SŁONY

Lepsza małpka w garści...

ANNA MONICKA

Nareszcie nadszedł czas, kiedy zrozumiałam, dlaczego moja przyszywana babcia trzymała w wersalce kilkadziesiąt torebek cukru oraz przedwojenną kawę rozpuszczalną – jedno i drugie okazało się skamieniałe, gdy wreszcie rodzina dobrała się do kanapy. Był też papier toaletowy, a jakże. Bardzo się wtedy ubawiliśmy, znalezisko obrosło mnóstwem anegdot. Mam nawet gdzieś w rodzinnym albumiku etykietkę z głową Murzynka. Pamiątkę po czasach, gdy ludzie w tapczanach trzymali cukier i sól – na wszelki wypadek.

Gdy ostatnio weszłam po pracy do sklepów po drodze do domu – zastałam puste półki. Kolejek już nie, bo fala uderzeniowa przeszła wcześniej. Oczywiście nie było cukru, mąki, makaronów, ziemniaków ani papieru toaletowego. Z ciekawości popytałam o spirytus. U mnie w centrum Warszawy w jednym miejscu jeszcze można było się zaopatrzyć w ten produkt pierwszej potrzeby, w innym lokalnym alkoholowym dowiedziałam się, że jeśli gdzieś jest u konkurencji, to mam brać, bo nie ma już nawet w hurtowni. No to wzięłam małpkę, czym rozbawiłam sprzedawczynię.

Zalałam tą małpką drobniutko pokrojone skórki z bergamoty. Bergamota nie tylko genialnie pachnie (to jej karierę zawdzięcza herbata earl grey), lecz jest też jednym z najsilniejszych środków wirusobójczych. Poza tym poprawia nastrój, nawet w wersji bezalkoholowej. Wystarczy dodać kilka kropli do kąpieli, kominka lub rozpylić. Bergamotkową mikstura można idealnie zdezynfekować ręce. A jeśli nie przyda się do tego – aromatyzować można nią nalewki albo zrobić sobie perfumy.

Podobnie jak wszystkie cytrusy pasuje do sałatek, pieczonych mięs, można nią podkręcić smak ryżu czy ryb. Jedzenie nabiera lekkości, zyskuje oryginalne wiosenne nuty. Banalna, wydawałoby się, zupa krem z ziemniaków i innych białych warzyw robi się nagle daniem mistrzowskim, gdy posypiemy ją startą skórką z limonki. Albo ryba – nie bez powodu dobrze jest ją skropić sokiem z cytryny. Wszystko jedno, czy jest pieczona, duszona, czy wędzona.

Polecam zwykłe płaty dorsza czy mintaja, obłożone cytryną, czosnkiem i cebulą, a potem skropione olejem i zapieczone w folii, a do nich cytrynowy ryż (ugotowany ze skórką) i sałatkę z rukoli, pomidorków koktajlowych, cieniutko pokrojonej cebulki i poszarpanych w palcach cząsteczek limonki lub, jeśli gdzieś wam się uda dopaść, właśnie bergamotki.

Fot. Shutterstock (2x)



WILCZYM OKIEM

Mikrokosmos

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W ciele ludzkim, a zwłaszcza w przewodzie pokarmowym, żyje więcej bakterii, niż nasze ciało ma komórek. Proporcje zależą od wieku, rozmiarów ciała, stanu zdrowia itp., jednak ogólnie rzecz biorąc, każdy z nas jest wszechświatem, w którym żyją dziesiątki bilionów drobnoustrojów.

To wyjątkowy związek, jest bowiem nie tylko obustronnie korzystną wymianą dóbr i usług. Taki przypadek symbiozy, w którym obie strony są sobie niezbędne, nazywamy mutualizmem.

Dla bakterii nasze przewody pokarmowe są idealnym, komfortowym środowiskiem życia, a my sami jesteśmy dla nich dostarczycielami pożywienia. Z drugiej zaś strony ludzie, istoty we wszelkich swoich czynnościach samodzielne, potrzebują bakterii, aby trawić i przyswajać pożywienie.

Kolonizowanie ludzkiego układu pokarmowego przez drobnoustroje, w większości bakterie, lecz nie tylko, zaczyna się zaraz po przyjściu człowieka na świat. Co bardzo interesujące, flora przewodów pokarmowych ludzi z różnych stron świata różni się między sobą co do składu gatunkowego, i to niekiedy bardzo istotnie.

W przewodach pokarmowych np. Japończyków występują unikatowe bakterie produkujące enzymy pozwalające na trawienie surowych wodorostów, wchodzących w skład sushi. Dzięki nim to, co dla ludzi spoza Japonii jest zupełnie nieprzydatne, dla Japończyków jest wartościowym pożywieniem. Przypuszcza się, że bakterie zamieszkujące przewody pokarmowe Japończyków mogły przed wiekami przejąć enzymy od bakterii znajdujących się na powierzchni morskich wodorostów i powodujących ich rozkład (Japończycy często jedzą wodorosty surowe, prosto z morza, a więc z całym dobrodziejstwem bytującego na nich inwentarza).

Każda nacja ma swoją florę, której wykształcenie trwa pokolenia i której utrzymanie we właściwym stanie wymaga dostarczania specyficznego pożywienia – bakteriom żyjącym w przewodach pokarmowych Polaków niezbędne są np. produkty kiszone: kapusta, ogórki, barszcz.

Dbanie o dobry stan flory przewodu pokarmowego jest bardzo ważne nie tylko dla właściwego trawienia, lecz również dla przezwyciężania przez nasze organizmy najróżniejszych infekcji, ponieważ to właśnie mikroflora jelit w bardzo dużej mierze reguluje działanie naszego układu odpornościowego.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wysłuchaj nas, Panie!



Trauma po pandemii winna wyzwolić refleksję nad prawdziwymi wartościami, jakimi powinny się kierować narody i instytucje ponadnarodowe

Czy zmagania z pandemią przywrócą społeczeństwom i narodom możliwość naturalnego, prawdziwego postrzegania i opisywania rzeczywistości? Walka z zarazą wymaga od ludzkich zbiorowości i od każdego z osobna przyjęcia i uznania racjonalnych środków obrony czy ochrony i takich samych racjonalnych, rozumnych reakcji. Dość udawania, wymyślania i kreowania fałszywej rzeczywistości, budowanej na propagandowych oszukańczych aksjomatach. Trauma po pandemii winna wyzwolić refleksjęnad prawdziwymi wartościami, jakimi powinny się kierować narody i instytucje ponadnarodowe. ONZ, WHO, UE, z ich licznymi agendami zajmującymi się bardziej upowszechnianiem cywilizacji śmierci niż życia, jak widać, nie sprawdzają się w sytuacjach kryzysowych, tak jak samodzielne, suwerenne narody. Poza tym na czele globalnych organizacji nie mogą stać pogrobowcy idei Marksa, Engelsa, Lenina czy nawet Mao Zedonga, jak w przypadku dyrektora generalnego WHO, Etiopczyka Tedrosa Adhanoma Ghebreyesusa, który zawdzięcza swoje stanowisko dyktatorowi Zimbabwe Robertowi Mugabe.

Świat nie jest dziś i najprawdopodobniej nie będzie w stanie obronić się w pełni przed zagrożeniem, jakie tworzy śmiercionośny wirus, organizm mierzony w nanometrach, czyli jednej milionowej milimetra. Nie potrafi tego, ale jest przekonany, że jest w stanie „uratować klimat" na Ziemi. Już w tym sformułowaniu kryje się idiotyzm, gdyż klimat jest zjawiskiem fizycznym, czymś stałym i równocześnie czymś zmiennym, jak temperatura, ciśnienie, wiatr. Ale postępowej ludzkości zależy na walce z takim klimatem, który powoduje suszę, topnienie lodowców, aby wyeliminować tajfuny, burze, powodzie, tsunami. Że też progresywni klimatolodzy jakoś nie walczą z wulkanami, źródłem potężnej i niekończącej się emisji CO_2.

Być może po pandemii wielcy tego świata nie będą już wstawali z miejsc, gdy do mikrofonu w siedzibie ONZ czy ostatnio w Parlamencie Europejskim zbliży się Greta Thunberg ze Szwecji. Celebrytka z celebryckiej aktorskiej rodziny, wykreowana przez media na proroka klimatu i zbawcę ludzkości. Dorośli, niby wykształceni ludzie stają na baczność przed zaniedbaną intelektualnie młodą dziewczyną i wsłuchują się w jej proroctwa typu: „Ludzie cierpią! Ludzie umierają! Cały ekosystem załamuje się! Jesteśmy na początku masowego wymierania! A jedyne, co wy robicie, to mówicie o pieniądzach i opowiadacie bajki o stałym wzroście ekonomiczno-gospodarczym! Jak wam nie wstyd!?". Po tych słowach zalega milczenie, a potem brawa na stojąco. Trudno komentować bzdury, jakie wygaduje ta typowana w 2019 r. do Nagrody Nobla niedouczona dziewczyna.

W końcu amerykańska fundacja Prager University, założona przez Dennisa Pragera i Allena Estrina, nagrała krótki film, polemikę ze szwedzką „osobistością" przyjmowaną nawet przez papieża Franciszka. Według trzymających się faktów, czyli myślących, naukowców, w ciągu ostatniego wieku liczba zgonów w wyniku naturalnych katastrof spadła aż o 97 proc. Było to możliwe dzięki rozwojowi nowych nauk i technik oraz większej zamożności państw. Od 1982 r. znacząco zmniejszyła się liczba ludności cierpiącej na brak wody, gdyż każdego roku fundacje, instytucje charytatywne, takie jak polski Caritas, finansują i budują studnie głębinowe w Afryce i innych pustynnych terenach świata. Jest faktem, że Ocean Arktyczny powiększa się w wyniku topnienia lądolodu, ale równocześnie Antarktyda powiększa swoją lodową powierzchnię. Ludzie nie umierają masowo z powodu zmiany klimatu ani nie załamał się żaden ekosystem. Histeryczne opowieści Grety Thunberg w obliczu groźby koronawirusa nie powinny już robić na nikim wrażenia. Oby.

Dziewczyna powinna ukończyć szkołę, wyleczyć się z choroby Aspergera, która polega na trudnościach w nawiązywaniu i podtrzymywaniu relacji międzyludzkich. Do pełnego wyleczenia nie jest jej potrzebne jeżdżenie po świecie ani wygłaszanie bzdurnych, łzawych monologów, a międzynarodowe gremia nie powinny się godzić, by być dla niej jakąś zbiorową terapią.

O młodej Szwedce wspomniał Janusz Szewczak w swojej ostatniej książce „Idiotokracja, czyli zmowa głupców". Słusznie zauważył, że gdyby Greta trafiła na Jana Pawła II, zapewne zapytałby ją o jej relację z Bogiem i codzienną modlitwę. A dziś w obliczu pandemii należałoby Grecie i innym przypomnieć słowa starej polskiej modlitwy: „Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny zmiłuj się nad nami! Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas, Panie! Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie! My grzeszni Ciebie Boga prosimy, wysłuchaj nas, Panie!".

Reklama | 64/0120/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0

niedziela

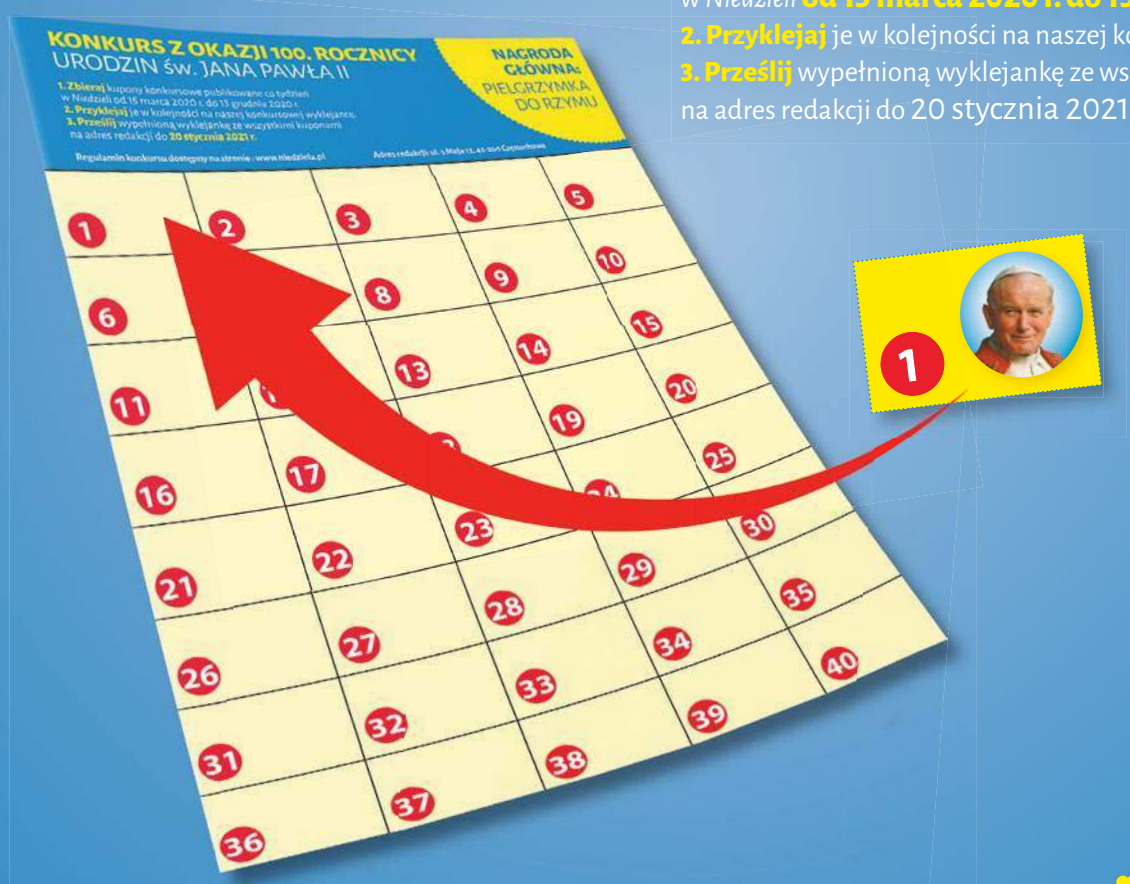
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

OGŁASZA

KONKURS Z OKAZJI 100. ROCZNICY

URODZIN św. JANA PAWŁA II

1. Zbieraj kupony konkursowe publikowane co tydzień w *Niedzieli* **od 15 marca 2020 r. do 13 grudnia 2020 r.**
2. Przyklejaj je w kolejności na naszej konkursowej wyklejance.
3. Prześlij wypełnioną wyklejankę ze wszystkimi kuponami na adres redakcji do 20 stycznia 2021 r.



Regulamin konkursu dostępny na stronie: www.niedziela.pl

NAGRODA GŁÓWNA:
PIELGRZYMKA DO RZYMU W 2021 R.

Szczegóły konkursu: Dział Marketingu i Reklamy Tygodnika Katolickiego *Niedziela*
e-mail: **marketing@niedziela.pl**
tel. 34 369 43 49

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Wirus



Alina Czerniakowska

Słowo „koronawirus" jest odmieniane w każdej minucie na całym świecie wielokrotnie, narasta panika, strach, bezradność. Może właśnie jest czas na zamyślenie, chociażby nad naszą ludzką kondycją, jej kruchością, słabością. Wiedzą o tym ludzie znający Ewangelię, wychowani w domach katolickich, pozostający wierni odwiecznym świętym zasadom.

Moja babcia powtarzała mi: „Pracuj i rób tak, jakby wszystko zależało od ciebie, ale jednocześnie pamiętaj, że nic od ciebie nie zależy". Potem wiele razy wracała do mnie ta myśl, powtarzana przez mądrych nauczycieli, wychowawców i coraz bardziej ją rozumiałam. Polska znowu, jak za czasów najazdów, epidemii, tragedii narodowych, zaczęła śpiewać suplikację, pieśń błagalną: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas, Panie, od nagłej niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie, my grzeszni Ciebie Boga prosimy" – wybrzmiewa codziennie od kilku dni na Jasnej Górze. Jednak nadal niektórzy wychodzą na tzw. manify, chcą być modni, postawili siebie w miejsce Boga, wolno im wszystko, profanować świętości, wizerunki Boga, wyśmiewać nawet największe autorytety kościelne. Zawsze wtedy wracam do Jana Pawła II, o którym prof. dr hab. Zofia Zdybicka USJK, wielka uczona, autorka ponad 300 prac naukowych, powiedziała: „Wojtyła to geniusz intelektualny, geniusz moralny i geniusz świętości", a ks. prof. Jacek Salij OP dodaje, że to, czego dokonał JP2, można porównać z dokonaniami św. Tomasza z Akwinu albo św. Augustyna.

Kardynał Karol Wojtyła w sierpniu 1976 r., odwiedzając Stany Zjednoczone, wypowiedział wstrząsające słowa opisujące kryzys Kościoła i świata: „Stoimy dziś w obliczu największej konfrontacji, jaką kiedykolwiek przeżyła ludzkość. Nie przypuszczam, by szerokie kręgi społeczeństwa amerykańskiego ani najszersze kręgi wspólnot chrześcijańskich zdawały sobie z tego w pełni sprawę. Stoimy w obliczu ostatecznej konfrontacji między Kościołem a anty-Kościołem, Ewangelią a jej zaprzeczeniem. Ta konfrontacja została wpisana w plany Boskiej Opatrzności. To czas próby, w który musi wejść cały Kościół, a polski w szczególności. Jest to próba nie tylko naszego narodu i Kościoła. Jest to w pewnym sensie test na dwutysiącletnią kulturę i cywilizację chrześcijańską ze wszystkimi jej konsekwencjami: ludzką godnością, prawami osoby, prawami społeczeństw i narodów".

Słowa JP2 sprawdzały się na przestrzeni minionych lat, ale zwłaszcza teraz widać ich prorocze przesłanie. Walka z Kościołem przybiera na sile poprzez jawny lub ukryty ateizm i liberalizm. Antychrześcijańskie ustawy, programy medialne, szkolne itp. realizowane są najczęściej pod hasłami praw i swobód obywatelskich. Gorzkim owocem tych działań jest pomijanie istnienia osobowego Boga, odejście od dekalogu i wprowadzenie nowych norm moralno-obyczajowych, mających uwolnić ludzkość od reguł Prawa Bożego z sankcjami prawnymi włącznie. Dąży się do zmian w Kościele, głosi się nowe spojrzenie na funkcję rodziny, wprowadza się nowe wzorce moralne w wychowaniu młodzieży (genderyzm, rozwiązłość, ateizm, okultyzm). Następuje akceptacja grzechu, fundamentalne wymogi ewangeliczne uważa się za niepasujące do współczesnych warunków życia. W ich miejsce proponuje się nowe rozwiązania, wykorzystując przewrotnie stwierdzenie, że Bóg zna nasze słabości i jest miłosierny. Tak Bóg jest miłosierny, ale również sprawiedliwy i powiedział wyraźnie: „Nie sądźcie, że przyszedłem znieść prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić. Zaprawdę powiadam wam, dopóki niebo i ziemia nie przeminą, ani jedna jota, ani jedna kreska nie zmieni się w Prawie, aż się wszystko spełni" (Mt 5,17n).

W 1981 r. w miejscowości Full w Niemczech JP2 na pytanie o to, co się stanie z Kościołem w świetle III Tajemnicy Fatimskiej, powiedział: „Musimy przygotować się w niedługim czasie do przetrzymania wielkich rzeczy, które będą od nas wymagać gotowości, nawet utraty życia i oddania całego siebie Chrystusowi i dla Chrystusa". Żeby nie opierać się tylko na cytatach papieża, warto przytoczyć chociaż niektórych wielkich uczonych sprzed stuleci, zmieniających oblicze świata. Blaise Pascal (1623–1662), francuski matematyk i filozof, za wielkie swoje odkrycia naukowe dziękował Bogu. I pisał: „Szczęście jest tylko w Bogu. (...) W każdym człowieku jest przepaść, którą może wypełnić jedynie Bóg". Isaac Newton, angielski fizyk, matematyk, astronom, w swoim dziele „Principia Mathematica" przedstawił słynne prawo powszechnego ciążenia leżące u podstaw mechaniki klasycznej, które doprowadziło do rewolucji naukowej. Przestrzegał jednak przed używaniem tego prawa w celu patrzenia na wszechświat jak na pewien rodzaj maszyny. Pisał: „Grawitacja wyjaśnia ruch planet, ale nie jest w stanie wyjaśnić, kto umieścił planety w ruchu. Bóg rządzi wszystkimi rzeczami, wie wszystko o tym, co może być zrobione". Biblia była największą pasją Newtona: „Jestem przekonany, że Biblia jest Słowem Bożym, napisanym przez tych, których On inspirował. Studiuję ją codziennie, żadna inna nauka nie jest tak potwierdzona jak nauka Biblii".

Na koniec tych myśli, do których warto wracać, gdy mamy siedzieć w domu ze strachu przed wirusem, dodam słowa naszego wieszcza Adama Mickiewicza „Przed Twoim obliczem jestem prochem i niczem" – to zadanie przydałoby się powtarzać po wielokroć niektórym współczesnym zarozumialcom, tak autorytatywnie wypowiadającym swoje rzekome mądrości.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Autopromocja

eprasa.pl 0d79d6c8e0

LOKAL DLA AWANTURNYCH

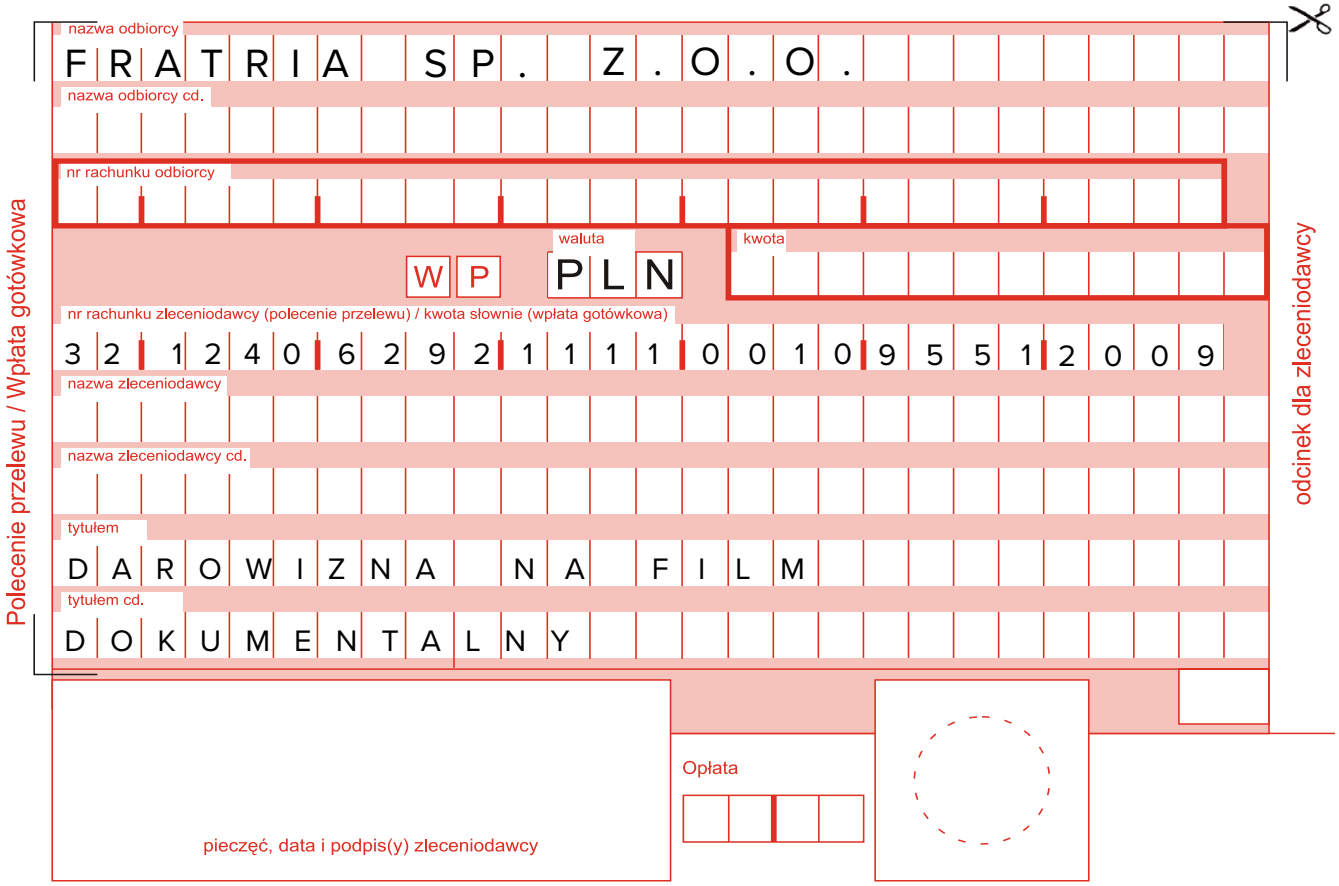
Zaraza



Witold Gadowski

Co musi się stać, abyśmy zwrócili uwagę na logiczny ciąg zdarzeń? Żyjemy w zarazie od wielu lat i dopiero kiedy spada na nas zaraza fizyczna, zaczynamy się poważnie zastanawiać, czy aby nic wcześniej nie zapowiadało takiego stanu.

Po wojnie z waporów lewicowego myślenia zaczęła powoli wypływać umysłowa ropa, która powoli zakażała środowisko za środowiskiem, szczególnie skupiając się na miejscach, skąd rozchodziły się w świat miarodajne informacje. Ludzie wzruszali ramionami, uważali, że głoszone coraz głośniej poglądy są jedynie aberracją, którą nie warto zawracać sobie głowy. Oswajano nas ze zboczeniami, przedstawiając je jako prawo człowieka do bycia odmiennym. Najpierw żądano tolerancji dla wynaturzeń po to, by teraz udowadniać, że owe wynaturzenia są lepszą forma człowieczeństwa niż normalne prowadzenie się i zachowanie. Wystarczyło zadeklarować, że jest się odmieńcem, aby nikt już nie wnikał w nasze umysłowe potencje, samo posiadanie odmiennych preferencji nadawało nam „medialnego szlachectwa". Zboczone zachowania, szukanie szokujących wzorców na siłę, zaczęły tworzyć nowy przekaz polityczny, nową agendę współczesnego świata. Umysłowe wybroczyny zastąpiły jasną logikę docierania do prawdy. Cywilizacja zaczęła gnić u samych swych podstaw. Drwiny z rzeczy świętych, brak poszanowania dla ludzkiej godności i życia dopełniały obrazu naszej współczesności. Śmierć przestała w niej istnieć. Dlatego gdy z ekranów telewizyjnych zaczęły padać informacje o nagłej zarazie, poczuliśmy się wszyscy rozczarowani – wszak śmierć została zlikwidowana, nie było jej w naszej świadomości, a tu wróciła pod postacią przerażającego wirusa. Media zachłystują się informacjami o jego pochodzie. Nikt nie zadaje sobie jednak pytania, skąd ten wirus przyszedł, jak wymknął się spod kontroli i jak bardzo ograniczy naszą wolność? Codziennie groza się potęguje. A jeśli trzeba będzie porachować się ze swoim życiem i być gotowym na gwałtowny koniec, to jak zdziecinniała cywilizacja sobie z tym poradzi? Czy jesteśmy gotowi pozbyć się myśli o przyszłości i porachować w głowie to, co wydarzyło się dotychczas? Przyszła nieznana zaraza i po raz pierwszy masowo rozległy się głosy, aby pozamykać kościoły, nie udzielać ludziom komunii, nie przekazywać sobie znaku pokoju. Szczuje się ludzi na ludzi. Unikajmy siebie wzajemnie, bo stanowimy dla siebie śmiertelne zagrożenie! Jak myślicie, czyj głos szepcze nam do uszu takie rozwiązania?



eprasa.pl 0d79d6c8e0

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Kochajmy książki



Aleksander Nalaskowski

Miniony tydzień upłynął mi na umykaniu przed wiadomościami politycznymi i koronawirusem w wersji medycznej, rządowej i opozycyjnej. To drugie unikanie wynikało z niemożności słuchania o tym, że muszę myć ręce (wersja medyczna), niemożności patrzenia na Morawieckiego i Szumowskiego, ze zmęczenia ledwo stojących na nogach (wersja rządowa) i słuchania opozycji, gdyż się nią niemal w całości brzydzę. I byłbym pewnie utknął w kazamatach nudy, gdyby nie dwie przepiękne przesyłki. Pierwsza od Wydawnictwa Biały Kruk zawierała książkę Janusza Szewczaka „Idiotokracja, czyli zmowa głupców" (2020), a druga z Wydawnictwa UAM w Poznaniu (2019) przyniosła książkę Zbyszka Melosika „Pasja i tożsamość naukowca. O władzy i wolności umysłu". I byłem uratowany. Wprawdzie ten tydzień już taki miły nie będzie, bo nie zanosi się, abym dostał kolejne książki (tamte były wysyłane na prośbę autorów, i na dodatek z dedykacją), ale spróbuję to przetrwać z honorem.

Chyba się nie mylę, mając przeczucie, że czytelnicy, którzy zareagują na nazwisko „Szewczak", nie zareagują na „Melosik". I na odwrót. Może zatem ten felieton jakoś przerzuci most między tymi grupami odbiorców i się one „twórczo wymieszają". A skąd taki rozdział? Bo Janusz Szewczak to konserwatysta i – przyklejając łatki – prawicowiec, ekonomista (autor słynnych „Banksterów"), a Zbyszko Melosik chyba przeciwnie. Moim zdaniem to lewicujący profesor pedagogik oraz prorektor UAM, i także autor kilku ważnych książek. Całe szczęście nie muszę odnosić się do ich upodobań ideologicznych czy światopoglądowych, a mogę tylko do śladów, które pozostawiają, a więc do książek. I to jest to, co najbardziej lubię.

Pierwsza książka dotyczy bezrozumności, bezrozumności przybierającej różne formy, zawłaszczającej różne treści i mającej różne pola rażenia. Tę bezrozumność Szewczak nazywa właśnie głupotą. Ale ze swobodą wirtuoza (aż dziw, że jest „tylko" ekonomistą) porusza się po meandrach ludzkiej głupoty i jej skutków. Z każdą kolejną stroną przysparza sobie oponentów i wrogów, naraża się na oskarżenia o zbytnią pryncypialność. Ale merytorycznie tę walkę wygrywa. Jeśli tylko odrzucić schematy i obowiązujące standardy języka prac naukowych, to książka „Idiotokracja", opatrzona ogromną bibliografią (kiedy on to przeczytał?!), mogłaby być rozprawą naukową w pełnym tego słowa znaczeniu. Bo nie da się jej treści i przesłania zamknąć w politpoprawnych eufemizmach ani wyziębionym, „obiektywnym języku nauki". Szewczak bowiem przyjął na siebie zadanie bezlitosnego obnażenia nowych ruchów społecznych, mód, dziwactw, nieuctwa, politykierstwa, prostactwa i konieczności zaistnienia w mediach. Ale wbrew pozorom nie jest to pozycja ani humorystyczna, ani nawet ironiczna. Jest realna i dlatego bolesna. Znakomicie wyedytowane dzieło zapewne znajdzie wielu nabywców. Oby!

Książka Zbyszka Melosika jest tylko pozornie z innej branży. Mówi bowiem o tych, „którzy są/mają być" mądrzejsi. Wartko i gęsto napisana, ale też wykłady tego autora przypominają raczej serię z karabinu maszynowego niż krok staruszka po schodach. Nie wiem, czy autor życzyłby sobie omówienia jego dzieła w prawicowym tygodniku, ale z tym większą przyjemnością to robię. Bo tak naprawdę i pod skórą tekstu Melosik pokazuje swoje widzenie reformy nauki znanej jako ustawa 2.0. Zwłaszcza od strony jej zapędów komercjalizacyjnych wobec uczelni, zawłaszczania akademickiej wolności słowa, dyscyplinowania pracowników. Nie pisze o tym wprost i dlatego zostawia czytelnikowi spory margines swobody interpretacyjnej. Ale niepokoi i stawia znaki zapytania. Wbrew wyznawanemu paradygmatowi (bo jak sam pisze, jest konstruktywistą, w co do końca jednak nie wierzę) podkreśla ważność tradycji jako rdzenia tożsamości uniwersytetu, pokazując m.in. niezbywalność (jak długo się da) książki drukowanej. Wprawdzie ustami innych, ale mówi, że książka cyfrowa tak do końca nie jest książką. A to znaczy, że próba zmiany statusu czy tożsamości profesorów z „myślących" na „produkujących", co usilnie próbuje zrobić reforma nauki, jest błędem uderzającym w humanistykę, której zadaniem jest przechowywanie dziedzictwa kulturowego. Czyli tego, czego żadna fabryka ani technologia, chociażby nimi był „odmieniony" uniwersytet, nie da. W Melosikowym meandrowaniu po tożsamości i pasji profesorskiej znajdowałem co rusz i własne z tym kłopoty. Wszak jesienią zadawałem sobie pytanie: „Jestem profesorem, czyli kim?". A zawieszany, odwieszany, łajany i hejtowany, nawet we własnym środowisku, nie byłem pewien żadnej na nie odpowiedzi. I u poznańskiego prorektora znalazłem zda się taką odpowiedź. Mam być politpoprawnym instrumentem albo nie być w ogóle. Nic więc dziwnego, że po zakończeniu lektury „Pasji i tożsamości naukowca" wróciłem do „Idiotokracji" Janusza Szewczaka, aby to wszystko lepiej zrozumieć i nazwać. Na koniec zacytuję Zbyszka Melosika z zakończenia jednego z jego wykładów: „Czytajmy książki, piszmy książki, kochajmy książki". Z nich naprawdę można się wiele dowiedzieć.

Reklama | 9/0120/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Na pozór niepotrzebna matematyka



Lech Makowiecki

Czy przedmioty ścisłe są nam niezbędne w życiu? Wielu „humanistów” od lat domaga się wyrugowania matematyki z obowiązkowego egzaminu maturalnego, argumentując: na cóż muzykowi, lekarzowi bądź historykowi znajomość geometrii czy rachunku różniczkowego?

Tymczasem sens egzaminu dojrzałości polega na uzyskaniu przez absolwenta szkoły średniej rzetelnej wiedzy ze wszystkich przedmiotów. Jeśli ktoś chce uchodzić za człowieka inteligentnego, musi zgłębić nie tylko biologię, historię, geografię czy języki (również ten ojczysty). Wiadomo, że światem rządzą procesy i uwarunkowania, które łatwiej zrozumieć czy opisać, znając podstawy fizyki i matematyki. Sama umiejętności corocznego samodzielnego rozliczenia podatków to jeszcze nie algebra, lecz zwykłe rachowanie słupków. Przy dochodzeniu do prawdy, przy analizie zalewającego nas informacyjnego szumu niezwykle przydatne były zawsze: logika, statystyka i rachunek prawdopodobieństwa. Operujący emocjami i wygłupami infantylni artyści celebryci, naginający (łamiący) przepisy prawa adwokaci hochsztaplerzy czy epatujący erystycznym słowotokiem skundleni politycy potrafią dziś skutecznie namieszać ludziom w głowach. Jednak półprawdy i ordynarne kłamstwa nie wytrzymują konfrontacji z racjonalnym myśleniem!

Gdy braknie dowodów na genezę koronawirusa czy katastrofy smoleńskiej, zawsze można postawić logiczne pytanie: cui bono? Ogólnikowe, krzywdzące niektórych stwierdzenie – wszyscy dziś kradną! – wypada uściślić precyzyjną tabelką statystycznego rozkładu partyjnego złodziejstwa. A w prawdopodobieństwo, że dewiacyjny margines zapewni po wygraniu wyborów błogostan wszystkim „normalsom”, uwierzyć mogą tylko wyjątkowo naiwne lemingi.

Tymczasem wciąż nie brakuje nieuków nieumiejących oszacować zwykłego rzędu wielkości liczb. Nie pojmują, że nawet bogata Europa nie jest w stanie przyjąć i zapewnić utrzymania kilkudziesięciu (kilkuset?) milionom tzw. uchodźców.



KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie
kasastefczyka.pl
801 600 100 (koszt wg taryfy operatora)
Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Klientów nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Uczony bojownik nagrodzony



Jerzy Jachowicz

W przyszłym tygodniu znany polski socjolog prof. Radosław Markowski otrzyma największe wyróżnienie przyznawane przez Komisję Europejską za wkład w rozwój demokracji. Złoty Medal Demokracji przyznawany co cztery lata – zgodnie z cyklem olimpiad – trafia do rąk ludzi, którzy są autorami wybitnych osiągnięć w walce o demokrację. Uroczystość wręczenia medalu prof. Markowskiemu odbędzie się w największej sali polskiego Senatu im. prof. Tomasza Grodzkiego. Imię to, w uznaniu za własne zasługi, nadał osobiście marszałek Grodzki. Odznaczenie wręczy wiceprzewodnicząca KE Věra Jourová, wielka przyjaciółka Polski.

Ciesząc się razem z prof. Markowskim, przypomnijmy, co stanowi podstawę i przedmiot dumy uczonego obdarzonego niezwykłym laurem.

Otóż prof. Markowski ponad pięć lat temu, po zwycięstwie PiS w wyborach parlamentarnych w 2015 r., stworzył na Uniwersytecie Warszawskim katedrę o nowatorskim kierunku studiów – Europejski Program Gruntownej Odbudowy Kwalifikacji Obywatelskich. Praźródłem pomysłu prof. Markowskiego były skomplikowane, wymagające olbrzymiej koncentracji umysłu obserwacje badawcze. Doprowadziły one profesora do odkrywczych wniosków.

Szkodliwy wpływ na preferencje wyborcze Polaków – dowodził – ma zanik kwalifikacji obywatelskich. Podatni na takie ubytki są ludzie starsi wiekiem, z wykształceniem podstawowym. Na szczęście z powodów naturalnych wykruszają się systematycznie z populacji żywych. Problemem są mieszkańcy prowincji oraz wsi, a szczególnie – tę konstatację prof. Markowski zapożyczył z refleksji znanego aktora Jerzego Stuhra – potomkowie chłopów folwarcznych.

Odkryciem prof. Markowskiego jest założenie, iż zdegenerowane komórki mózgowe kwalifikacji obywatelskich u tych ostatnich można odbudować. Szczególnie u ludzi młodych i w średnim wieku. W ich przypadku można nawet siedmiokrotnie poprawić stan „zatkanego ucha" czy „ślepego oka" (terminy stworzone przez prof. Markowskiego – JJ) na braki demokracji czy fatalną politykę w sprawie emisji CO_2.

Już wkrótce wynik wyborów prezydenckich zweryfikuje odkrycia naukowe prof. Markowskiego.

JESTEM DUMNA

Pani Ania



Katarzyna Łaniewska

Nazwisko Anny Walentynowicz znalazło się na liście 100 kobiet, które miały wpływ na losy ostatniego stulecia, przygotowanej przez magazyn „Time". Polacy mogą być dumni.

Poznałam jej nazwisko w czasie strajku sierpniowego w Stoczni Gdańskiej. To dlatego, że ją nieprawnie zwolniono z pracy przed emeryturą, zaczął się strajk. Była drobną szczupłą kobietą, pracowała jako suwnicowa na dźwigu. Cieszyła się sympatią wśród załogi przeważnie złożonej z mężczyzn: robotników i dokerów. Nie chcieli, żeby ją skrzywdzono, bo ona zawsze służyła innym pomocą. Zatrzymała zakończenie strajku, do czego dążyły podziemne działania Wałęsy, przekonując stoczniowców, że w ten sposób zdradzą mniejsze zakłady, które zaczęły strajkować z nimi. Robotnicy wrócili, a ona odwróciła losy polskiego Sierpnia.

Wiedziała, jaka była rola Wałęsy, była świadoma, kim był. Spotkałam się z nią osobiście na mszy św. za ojczyznę. Był ścisk, dużo ludzi, siedziałyśmy obok siebie. Potem zostałyśmy zaproszone na herbatę. Pani Ania, siedząc naprzeciwko mnie, nagle wstała i usiadła w innym miejscu. Na pytanie, czy jej niewygodnie, pokazała na portret Wałęsy na ścianie i odpowiedziała, że „przy tym panu siedzieć nie będzie". Dla nas wtedy „Bolek" był jeszcze tajemnicą. Wałęsa, gdy doszedł do władzy, zrobił z pani Ani oraz innych oszołomów i ludzi nieodpowiedzialnych. Została odsunięta i „wymieniona" na inną bohaterkę, która niby zatrzymała tramwaj.

Była kobietą niezłomną, prezydent Lech Kaczyński odznaczył ją najwyższym orderem. 10 kwietnia 2010 r. została zaproszona do samolotu prezydenckiego lecącego do Katynia. Zginęła pod Smoleńskiem. Zostałam zaproszona przez pana Antoniego Krauzego, by zagrać postać Ani Walentynowicz w jego filmie. Uprzedził mnie, że to maleńka rola. Z wielką dumą przystąpiłam do tej pracy. Materiału było rzeczywiście niedużo, a w wersji premierowej jeszcze mniej. Ale cieszę się, że zaistniałam w jej postaci. Nagrywając te sceny, byłam dumna z tego, co robię, i szczęśliwa, że warto było zostać aktorką.

A dlaczego znalazła na liście 100 kobiet mających wpływ na nasz świat? Dzięki niej skończył się ZSSR i upadł mur berliński. Tego wszystkiego dokonała ta słaba, a jakże silna kobieta.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

PRZEZ ŚWIETLIK

Z półobrotu

Zła wiadomość jest taka, że Chuck Norris właśnie skończył 80 lat. Dobra jest taka, że mamy całe pokolenie jego następców, i to nad Wisłą. Wprost nieprawdopodobnych mamy w Polsce paru twardzieli. Kiedy większość kupuje płyny do mycia rąk i odwołuje wyjazdy do Włoch, jeden – do tego marszałek – właśnie z Włoch wrócił i poddał się kwarantannie. Kwarantanna twardziela wygląda tak – jak wynika z słów samego prof. Grodzkiego – że zgłosił się do szpitalnej izby przyjęć. Tu kaszlnie na dzieciaka ze złamanym palcem, tu kichnie na schorowaną staruszkę, trzeba mieć nerwy jak stal, by tak dać radę. Inny planował z „mężem" wakacje w Chinach. W sumie zmarło tam ponad trzy tysiące osób. Ale wycieczki potaniały. Śmiechu było co niemiara. Potem chłopaki wyjaśnili, że to takie Chiny na Śląsku. Jeszcze więcej śmiechu. Twardzieli trupy przecież nie ruszają.



Potem jeszcze jeden dołączył. Kuźniar Jarosław. Rozzłościło go, że kina zamykają, bo on by sobie poszedł. Czyste szaleństwo – mówi. On sam jest twardy jak Roman Bratny, więc robił mu kawę „barista prosto z Włoch". Potem Kuźniar pójdzie i kogoś zarazi. Niestety wirus nie wybiera według pofałdowania kory mózgowej ani jakości zwojów znajdujących się w tym zbędnym do życia organie, ale według wieku i kondycji organizmu. Jak barista przywiózł coś więcej oprócz sztuki przedłużania espresso w stylu takim, jaki szczególnie upodobał sobie pan Kuźniar, to dla niego i pana Kuźniara może skończyć się katarkiem, bo obaj są zapewne zdrowi i względnie młodzi. Ale jak jakaś starsza osoba po zapaleniu płuc się dodatkowo załapie, to ją może wykończyć. Co tam, twardzieli to nie rusza.

Tylko pisowskie społeczeństwo i rząd nie dorosły. Spękały. Znajomy, pracownik inspektoratu sanitarnego, mówi wprost, że gdyby nie decyzje o zamykaniu, odwoływaniu imprez i to, że ludzie bardzo zaczęli uważać, mielibyśmy dziś dużo, dużo więcej przypadków koronawirusa, a i ofiar śmiertelnych tej paskudnej choroby. Tchórze z nas wszystkich, na szczęście mamy wokoło siebie radosnych Chucków Norrisów, którzy spontanicznie, z radosną bezmyślnością i zawsze fajowym kozactwem kopną zdrowie publiczne z półobrotu i jeszcze się pochwalą w wywiadzie lub na Facebooku.

Wiktor Świetlik

REKLAMA



66/0220/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Tylko zgoda

Czas zakończyć animozje w dobrej zmianie



Ryszard Makowski

Jacek Kurski został doradcą zarządu TVP. Świetna wiadomość dla wszystkich wspierających reformy w Polsce. Dla pana prezydenta także. Przecieki kontrolowane, że podpisanie rekompensaty abonamentowej dla mediów publicznych jest uzależnione od dymisji prezesa TVP, zasmucały. Jacek Kurski zachował się z klasą, oświadczając, że jego prezesura nie będzie przeszkodą w podpisaniu ustawy. Na całe szczęście po walkach buldogów pod dywanem słynny „bulterier" wspiera TVP.

Żelazny elektorat PiS ma wiele pretensji do prezydenta. Słyszy się głosy z prawej strony o niepójściu na wybory. Ochłońmy, nim będzie za późno. Tylko druga kadencja Andrzeja Dudy jest szansą dla Polski. Spójrzmy na Senat przejęty przez antypis. Marszałek tej izby, lekarz notabene, wyjeżdża do skażonych koronawirusem Włoch, a po powrocie beztrosko styka się z senatorami, dziennikarzami i całą masą ludzi. Robi sobie test i tryumfuje, że nie jest posiadaczem koronawirusa. Ale gdyby był!? I tacy ludzie, zadufani w sobie, aroganccy, pomiatający zdrowiem innych, szykują się do skoku na Belweder. Dopuszczenie, by kwiat III RP, będący de facto chwastem, znowu się plenił, byłoby dziejową katastrofą.

Przeniesienie kampanii wyborczej do internetu i mediów to zła wiadomość dla sztabu PAD. Przewaga fejkmediów nie podlega kwestii. Widać mobilizację internetowych POtrolli. Cieszmy się, że w TVP jest nadal ktoś, kto umiejętnie przyczyni się do reelekcji obecnego prezydenta. Oczywiście z naszym bezwzględnym udziałem.

eprasa.pl 0d79d6c8e0

***Michał Korsun prezentuje:* Maski, maski, maski...**



Wycinki z przeszłości

Czas ciężki, więc szczypta oddechu nie zaszkodzi. Dziś w naszym kąciku anegdoty z „Kuriera Literacko-Naukowego" z 3 kwietnia 1933 r.

Sławny amerykański humorysta Mark Twain (1835–1910) wydał jedną ze swoich córek za Polaka Kuryłowicza. Gdy obchodził 70. rocznicę swoich urodzin, oświadczył, że resztę swego życia pragnie spędzić w zupełnym spokoju. „Pozostały czas – oświadczył – pragnę poświęcić wyuczeniu się poprawnego wymawiania nazwiska mojego zięcia".

***

Na telegraficzne zapytanie, czy wiadomość o jego śmierci jest prawdziwa, odpowiedział Mark Twain natychmiast telegraficznie: „Wieści o mojej śmierci są bardzo przesadzone. Mark Twain".

***

Meillart, kompozytor (zmarł w 1871 r.), twórca opery „Lara" i opery „Dzwonek eremity", otrzymał zaproszenie od mało mu znanego fabrykanta pieców. Na końcu zaproszenia był dopisek: „Będzie się robić muzykę" . Meillart skorzystał z zaproszenia i nawet zagrał kilka utworów. Po pewnym czasie fabrykant otrzymał zaproszenie od kompozytora. Na dole widniał dopisek: „Będzie się robić piece".

***



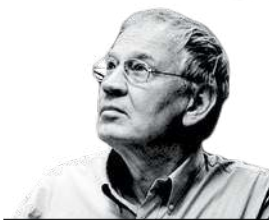
W Wólce został założony nowy klub piłki nożnej. Świeżo zaangażowany trener rozpoczyna pierwszą lekcję:

– Podczas gry trzeba uważać na przeciwnika, a przede wszystkim nie wolno spuszczać oka z piłki...

– I ja tak myślę – odzywa się nagle Jaś – przecież taka piłka kosztuje przeszło 25 złotych.

Na tamte czasy, sporo pieniędzy. ***(mk)***

Dzwonią, dzwonią ptaki...



Leszek Długosz

(piosenka na tę porę)

Zielona leszczyna, zieleni się trzcina
Dzwonią dzwonią ptaki, że to się zaczyna
Hardzieją chłopaki, pięknieją dziewczyny
Przyznaj no się Wiosno, z Twojej to przyczyny?

Wiosenko Wiosenko, cóżeś ty za Pani
Mrugniesz błyśniesz świśniesz
– Sami zakochani?
Sami zakochani znowu w Twej urodzie
– W niebie co się chwieje w Twej wiosennej wodzie...

Ty Wiosno budź w gałęziach szum
Po drogach po rozstajach niech rozlega się
Twój jasny dzwon
W martwe ulice poleć miast
I skrzydłem wiatru w okna bij
Kto zwątpił i bez wiary kto
W drętwocie serca tkwi od lat
Twego powrotu słysząc pieśń
Niech szepnie: jest
– Oto jest dzień, oto jest czas
Do szczęścia raz, ten raz choć raz
Odwagi niech nie zbraknie nam
– Wysoko w niebo trąbko rwij
Nadziei nowej hejnał graj!

Zielona leszczyna, zieleni się trzcina
Dzwonią dzwonią ptaki, że to się zaczyna
– Hardzieją chłopaki, pięknieją dziewczyny
Przyznaj no się Wiosno
Z twojej to przyczyny?
Wiosenko Wiosenko, cóżeś ty za Pani
Mrugniesz błyśniesz świśniesz
– Sami zakochani?
Sami zakochani znowu w Twej urodzie
– W niebie co się chwieje w Twej wiosennej wodzie.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 0d79d6c8e0

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Antyrozum w czasie epidemii?

Po roku 2015 nieraz mówiono, że nie ma większego błogosławieństwa dla rządzących niż kiepska jakość opozycji – zwłaszcza jej części platformowej. Czy za czasów nowego szefa PO sytuacja się zmieniła?

WPISY

Skąd takie pytanie? Wielu publicystów zwróciło uwagę na rażące twitterowe wpisy na temat epidemii czołowych postaci PO: Donalda Tuska (był premierem), Jacka Rostowskiego (był wicepremierem) oraz Małgorzaty Kidawy-Błońskiej („prawdziwą prezydent" zostać chciałaby).

Tusk: „Rząd stwierdził, że przed koronawirusem uchronić nas mogą tylko czyste ręce. PiS może nie przetrwać".

Kidawa-Błońska: „Wzywam premiera Morawieckiego i rząd do ujawnienia prawdy o przypadkach koronawirusa w Polsce. Bezpieczeństwo Polek i Polaków jest najważniejsze".

Rostowski: „Cel jest prosty: ogłosić pierwszy przypadek koronawirusa na 30 minut przed rozpoczęciem konwencji Małgorzaty Kidawy-Błońskiej".

Przypomnimy te pochodzące z 28 lutego wpisy, gdyż ukazują one niepokojący stan ducha tych osób. Kondycję, którą – można się obawiać – podziela nie tylko część polityków Platformy, lecz niestety także jakaś część jej elektoratu.

SPISKOWA TEORIA

Rzecz trafnie skomentował redaktor Konrad Piasecki: „Zadziwiające, jak mocno opozycja lansuje spiskową teorię ukrywania pierwszego przypadku koronawirusa. W taką operację musiałoby być zaangażowanych co najmniej kilka osób, ryzyko wycieku info byłoby ogromne. I nie za bardzo widać cel".

Tusk, oczywiście (!), nie zalinkował do wypowiedzi kogoś z rządu. Dlaczego tak bzdurnie napisał? Przypuszczamy,



W polityce, przy wszystkich jej cieniach, chodzi przecież o odpowiedzialność za państwo. A to znaczy, że lepsza jest opozycja cyniczna niż obsesyjna

że były premier dał się uwieść propagandzie swego środowiska. Naprawdę uwierzył, że rząd to banda kretynów, przekonanych, że poza myciem rąk nie ma innych metod przeciwdziałania epidemii. Że Rostowski naprawdę uwierzył, że pisowcy są tak głupi, że nie tylko by opóźniali poinformowanie społeczeństwa o wystąpieniu przypadku zachorowania, lecz jeszcze byliby przekonani, że odwołanie konwencji kandydatki może istotnie pomóc w kampanii wyborczej prezydentowi Andrzejowi Dudzie. Kandydatka „prawdziwa" naprawdę zaś wierzy, że pisowcy są w stanie – mimo zwiększonej społecznej czujności – ukrywać informacje o rozwijającej się epidemii.

Całkiem niedawno ci politycy PO najwyraźniej w to święcie wierzyli. Jakie z tego wnioski?

NA KRAWĘDZI

Po pierwsze, ważne figury Platformy padły ofiarą tak daleko posuniętego schematu antypisu, że zbliżyły się do antyrozumu, antyrozum zaś prowadzi do ciągów skojarzeń przyczynowo-skutkowych, które z rzeczywistością niewiele mają wspólnego – wytknął im to red. Piasecki.

Uznanie rządzących za nieporadnych kretynów – nie możemy przecież przyjąć, że w tak poważnej dla społeczeństwa sytuacji Tusk, Rostowski i Kidawa-Błońska na Twitterze bawili się ironią lub lekkomyślnie prowokowali – musi prowadzić do przedziwnego, bo podświadomego, samoupokorzenia. Skoro pisowscy durnie od 2015 r. wygrywają bowiem wszystkie wybory, a pod ich rządami gospodarka rośnie, to jaki poziom kompetencji posiadają politycy z kimś takim przegrywający kolejne polityczne starcia?

Politycy PO z takim zaangażowaniem pomniejszali swego przeciwnika, tak go w swej wyobraźni kretynizowali – sami w to po drodze uwierzywszy – że gdy już sobie postawią pytanie o źródła ich porażek, to muszą stanąć na krawędzi niemal psychozy. Jak bardzo odklejona od rzeczywistości musi być ekipa polityczna, która daje się regularnie ogrywać głupcom?

NIEBEZPIECZNIE

W polityce, przy wszystkich jej cieniach, chodzi przecież o odpowiedzialność za państwo. A to znaczy, że lepsza jest opozycja cyniczna niż obsesyjna. Dlaczego? Bo ta pierwsza, gdy manipuluje, to wie, że manipuluje, i dlatego potrafi oddzielić zagrożenia rzeczywiste od urojonych.

Jak formacja opozycyjna (na szczęście nie jest to cała opozycja) na krawędzi obsesji jest w stanie odpowiedzialnie zachować się w obliczu epidemii stanowiącej wyzwanie dla całego społeczeństwa?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 49/0220/F

eprasa.pl 0d79d6c8e0

Forum wGospodarce.pl

II edycja projektu Grupy Medialnej Fratria

To platforma wymiany doświadczeń o roli inwestorów zagranicznych w polskim modelu państwa dobrobytu

- **Zainicjujemy dialog** między inwestorami obecnymi na polskim rynku, ekspertami a administracją.
- **Podsumujemy** dotychczasowy wpływ inwestycji zagranicznych na naszą gospodarkę.
- **Przeanalizujemy** postrzeganie możliwych kierunków budowania polskiej konkurencyjności.
- **Zaprezentujemy** znaczenie obecności globalnych marek w Polsce.

Więcej informacji w dedykowanej zakładce na

www.wgospodarce.pl

PATRONAT HONOROWY:

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej – PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Rozwoju

Ministerstwo Zdrowia – Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNERZY GŁÓWNI:

British American Tobacco Polska

Coca-Cola

Philip Morris Polska

Veolia

PARTNER WSPIERAJĄCY:

AstraZeneca

Deloitte.

emitel

JTI

NOVARTIS

STRABAG

VELUX

eprasa.pl 0d79d6c8e0



DRAPIEŻNIKU,

POCZUJ DRESZCZYK NOWOŚCI!

LOTTO

DRAPIEŻNICY KOCHAJĄ Zdrapki

eprasa.pl 0d79d6c8e0